



**U KROK
Christian Plowman
ZA DALEKO**

Dlaczego twardy glina chce popełnić samobójstwo

O KROK ZA DALEKO

Christian Plowman

Przełożyła
Małgorzata Szubert



*Książkę tę dedykuję Maxowi i Vinnie – mam nadzieję, że teraz zrozumiecie
– oraz Albie i Amelii (małym agentom!), a także DGB*

Od autora

Wszystkie wydarzenia w tej książce są prawdziwe. Zmieniłem nazwiska i cechy charakterystyczne większości bohaterów oraz niektóre miejsca akcji, nie opisałem natomiast wielu metod pracy policji i starałem się nie ujawnić poufnych informacji.

Nie chcę przeładowywać tekstu nadmiarem terminologii policyjnej i akronimów, warto jednak przybliżyć dla jasności kilka terminów, ponieważ ich znajomość jest niezbędna.

Zacniemy od „tajnego funkcjonariusza” (undercover officer, UC lub UCO). Termin ten określa kogoś, kto działa pod przybranym nazwiskiem, by zebrać dowody przeciwko przestępcom. Gdy pracowałem po cywilnemu, zwykli ludzie, podobnie jak media, nazywali nas „tajniakami”. Tajni funkcjonariusze nie mają radia, pałek ani legitymacji policyjnych. Podczas pracy są innymi ludźmi i nie chodzi tylko o cywilne ubranie. Nie mają w samochodach niebieskich świateł i nie jeżdżą na sygnale. Całkowicie zakamuflowani żyją w innym świecie, pod innymi nazwiskami i adresami, nie żyją swoim życiem. Pełny odlot, co?

Drugim rodzajem tajnego funkcjonariusza jest specjalista od zakupów kontrolowanych (test purchase officer, TP lub TPO). Kupuje on – lub ona – na ulicach małe ilości narkotyków (takich jak crack, kokaina czy heroina), aby zebrać dowody przeciwko dilerom narkotykowym. TPO może również podawać się za prostytutkę lub udawać pijaną potencjalną ofiarę rabunku. Tego typu praca sytuuje się o stopień niżej w hierarchii policyjnej i z pewnością jest mniej prestiżowa niż praca UCO, którzy często lekceważą TPO i patrzą na nich z góry. Niewielu UCO pracuje jednocześnie jako TPO, choć wielu TPO aspiruje do zostania UCO. Nie zanudziłem jeszcze? TPO nie mają radia ani legitymacji policyjnych, fałszywych tożsamości, wynajętych mieszkań ani samochodów zarejestrowanych pod przybranym nazwiskiem – żadnej z mnóstwa rzeczy, które są do dyspozycji UCO. Z drugiej strony TPO często spędza na ulicy zaledwie pół godziny i już dokonuje zakupu narkotyków, podczas gdy niektórzy tajni funkcjonariusze żyją z fałszywą tożsamością niekiedy całymi latami.

SO10 (Specialist Operations), SCD10 (Specialist Crime Directorate), Covert Ops, czy jakkolwiek to nazwiemy, są uważane za elitę Met (Metropolitan Police, policja londyńska). Jest to mały wydział, do którego zadań należą, między innymi: szkolenie funkcjonariuszy dokonujących zakupów kontrolowanych, nadzorowanie i doradztwo przy tajnych operacjach, rekrutacja, szkolenie i prowadzenie tajnych funkcjonariuszy w Londynie, w całym kraju i za granicą oraz kierowanie tajemniczą, elitarną Full-

Time Undercover Unit (tajną jednostką pracującą w systemie ciągłym), zwaną też jednostką infiltracyjną.

Trzon SO10 stanowi małe biuro w New Scotland Yardzie, zatrudniające kilku detektywów sierżantów (detective sergeants, DS), którzy doradzają i nadzorują tajne działania, dobierają funkcjonariuszy do poszczególnych zadań, a także monitorują i oceniają ich poczynania oraz sytuację.

Szkolą oni również funkcjonariuszy dokonujących zakupów kontrolowanych i prowadzą kursy z tego zakresu. Ostatnio zmieniły się sposoby rekrutacji, system szkolenia i nazwy kursów, podstawowe reguły pozostały jednak takie same.

Wyświechtany dowcip mówi, że biuro SO10 jest zbyt małe, by pomieścić wybujałe ego członków zespołu. Często są oni żenująco aroganccy i niegrzeczni dla osób z zewnątrz (czyli niebędących tajnymi funkcjonariuszami), a także dla starszych oficerów i doświadczonych TP. Nawet jako samodzielny tajny funkcjonariusz z siedmioletnim doświadczeniem byłem często lekceważony i traktowany z wyższością, zwykle przez ludzi, którzy mieli ułatwić mi pracę. Znaczną większość zespołu SO10 stanowią potężni biali faceci po czterdziestce, z ogolonymi głowami. Funkcjonują w atmosferze zastraszenia i maczyzmu, w której codziennością są niewybredne żarty, drwiny i uwagi niemające nic wspólnego z polityczną poprawnością. Niektórzy funkcjonariusze są po prostu niegrzeczni i ten styl bycia utrzymuje się od założenia tej tajnej jednostki. Podejmowano niezliczone próby zmiany takiego stanu rzeczy, lecz bez powodzenia. Ludzie ci uważają się za elitę i nie bez racji. Niektórzy z nich znajdowali się w sytuacjach, które trudno sobie nawet wyobrazić, i wybrnęli z nich tylko dzięki zimnej krwi i przytomności umysłu.

Ulubione marki tej ekipy to Stone Island i Prada Sport z niewielkim dodatkiem North Face, a czasem może Ralphi Lauren lub Armaniego. Na porządku dziennym są grube bransolety i rolexy oraz przydziałowy akcent z południowo-wschodniego Londynu; bez końca mówi się o „masakrach” (aresztach), „bębnach” (domach) i „kapusiach” (informatorach). Czasami przypomina to parodię scen z serialu *The Sweeney*. Wszyscy detektywi sierżanci z tego zespołu są doświadczonymi tajnymi funkcjonariuszami, choć niektórzy nie pracowali od lat. Raczą się nawzajem opowieściami o brawurowych wyczynach, zwykle próbując wykazać wyższość nad rozmówcą.

Biuro ma do dyspozycji samochody, naturalnie tylko wysokiej klasy – range rovery, bmw i audi. Detektywi sierżanci mają dużo swobody i potężne wpływy w świecie operacji specjalnych. Prowadzą szkolenia na całym świecie i często latają odrzutowcami do egzotycznych miejsc. Zawsze odnosiłem wrażenie, że każdy przejaw niedostosowania się do zasad obowiązujących w ich środowisku, każda oznaka słabości, spotka się z nieprzychylną reakcją. Okaż choćby odrobinę

wrażliwości, a możesz pożegnać się z karierą w operacjach specjalnych.

Ta książka opowiada o mojej brzemiennie w skutki wędrówce po tych niebezpiecznych rejonach.

Prolog

Szedłem ulicą i rozmawiałem z Alanem, czując, że dwie dychy w mojej brudnej dłoni robią się cieplejsze. Z każdym krokiem coraz wyraźniej docierał do mnie smród brudu i moczu z moich zabłoconych dzinsów. Wystrzępione sznurowadła zdartych reeboków wlokły się za mną po chodniku.

Włóczyliśmy się bez celu, tęskniąc do następnej działki. Alan powiedział, że może będziemy musieli poczekać chwilę w mieszkaniu, do którego się wybieraliśmy. Skrzywiłem się i zapaliłem papierosa. Alan głośno przywitał się z dziewczyną idącą niepewnym krokiem z naprzeciwka. Wychudzona, o nieobecny spojrzeniu oczu z czerwonymi obwódkami, była najprawdopodobniej dziwką sprzedającą się za crack.

– Idziesz do D? – zapiszczała.

– No – odparł Alan. – Coś się szykuje?

– Za minutę, tak myślę – odparła, spluwając na chodnik. Spojrzała na mnie i wymamrotała powitanie, przyglądając się moim długim cienkim włosom, zmęczonym oczom, czerwonemu nosowi, owrzodzonym ustom i palcom o brudnych paznokciach.

– Dasz szluga? – zapytała.

– Jasne – odparłem, wyciągając wymiętą paczkę bensonów.

Wyjęła jednego, przypaliła zapalniczką wyciągniętą z kieszeni krótkiej skórzanej kurtki i po prostu odeszła bez słowa pożegnania. Szybko ruszyliśmy przed siebie. Alan sapał, próbując złapać oddech. Nie chcieliśmy stracić tej dostawy.

– Co bierzesz, Al? – zapytałem.

– Wszystkiego po trochu.

– Ja też.

Skęciliśmy w boczną ulicę i znaleźliśmy się przed sześciopiętrowym galeriowcem.

– Nie mów – rzuciłem. – Ostatnie piętro?

– Tak, synu – uśmiechnął się Alan.

Z niemałym wysiłkiem wspięliśmy się zimną, wilgotną i ciemną klatką schodową na samą górę. Przeszliśmy galerię. Patrząc na nas, bez trudu można było zgadnąć, że zdążamy do mieszkania numer 36, którego okna miały odrapane, łuszczące się ramy, a drzwi nosiły charakterystyczne uszkodzenia po policyjnych taranach.

Jak zawsze w tego rodzaju sytuacjach poczułem mdłości, strach przed nieznanym, przed tym, co czeka mnie za tymi drzwiami.

Wiedzieliśmy, że facet rządzący tym miejscem znany jest z tego, że bije po twarzy ludzi, którzy mu się nie spodobają. Na szczęście Alan był tu już wcześniej kilka razy, teoretycznie więc nie powinniśmy mieć problemów.

Mój towarzysz mocno zapukał. Po chwili usłyszeliśmy zgrzyt zamka. Drzwi otworzył masywnie zbudowany czarny chłopak. Skinął tylko głową, weszliśmy do frontowego pokoju.

Naszym oczom ukazał się, oględnie mówiąc, obraz nędzy i rozpacz. Niewiele osób spoza środowiska uzależnionego od ciężkich narkotyków marginesu społecznego zrozumiałoby tę scenę. W pokoju siedziało i stało około piętnastu ćpunów, wszyscy czekali na przybycie D z towarem.

Ostrożnie usiadłem na pustej, brudnej podłodze. Nie było żadnych mebli. W pokoju panowały ciemności, ponieważ do okien, jak to w domach komunalnych, przymocowana była gęsta krata, przez którą wpadało niewiele światła dziennego. Poza nim ciemności rozświetlały tylko płomienie zapalniczek, gdy ludzie przypalali papierosy lub fajki z crackiem.

Wszyscy rozmawialiśmy tylko o jednym – o narkotykach. Hera czy crack, brązowe czy białe, jedno lub drugie, czy może wszystkiego po trochu? Tylko to nas obchodziło. Snuliśmy niekończące się rozważania o jakości, cenie, paleniu, zdobywaniu, różnicy między prochami tutejszymi a tymi z West Endu. Przez około dwóch godzin tworzyliśmy coraz bardziej zdesperowaną bandę nieodpowiedzialnych próżniaków, wspólnotę rozbitków życiowych.

Czarny gość przy drzwiach był bez końca dręczony pytaniami.

– Gdzie jest D?

– Długo jeszcze?

– Kiedy on tu będzie?

Jego odpowiedź brzmiała niezmiennie:

– Wkrótce.

Niektórzy, bardziej ustosunkowani, dzwoniли do D z pytaniem, gdzie się podziewa, a potem uspokajali zniecierpliwionych klientów radosnym:

– Pięć minut. Będzie tu za pięć minut.

D, jak się wydawało, był dobrym marketingowcem, rozumiejącym zasadę popytu i sprzedaży; wiedział, że im dłużej jego klienci będą musieli czekać, tym więcej potem kupią.

Mijało pięć minut, potem następne pięć. W końcu w zgromadzonym tłumku rozszedł się szmer.

– On tu jest, on tu jest.

Już niedługo niczego nam nie będzie brakowało. Szczęście było blisko. Usłyszeliśmy szcęk zamka, trzask otwieranych drzwi. Wszedł wysoki, przysadzisty czarny facet, około dwudziestoletni, w typowym „mundurku” ulicznym, czyli w czapce bejsbolowej New Era, dresie Nike i butach Air Force One. W grupie zapanowała nerwowość, wszyscy wstali, zaczęły się przepychanki. Obowiązywał jednak nieformalny system kolejkowy – pierwszeństwo mieli ci, którzy byli tu najdłużej, a wśród nich Alan i ja. Dość szybko stanęliśmy przed D i podałem mu przepocone banknoty dziesięciofuntowe.

– Po jednym z każdego, bracie – powiedziałem.

Wziął gotówkę i otworzył lewą dłoń, pokazując 40 malutkich pakunczków, każdy wielkości grochu, niektóre zawinięte w niebieski plastik, inne w przezroczysty, aby można było odróżnić heroinę od cracku.

– Daj większe porcje, bracie – poprosiłem, gdy D wybierał po paczusce z każdego koloru. Uradowany włożyłem wszystko do kieszeni i czekałem, aż Alan dokończy transakcję. Gdy tylko dostał swoje prochy, rozległo się głośne walenie w drzwi. Pilnujący ich facet od razu wpuścił gościa, krótko obciętą kobietę o wymizerowanej, ziemistej, spoconej twarzy – gołym okiem było widać, że jest uzależniona. Z trudem łapiąc powietrze, ledwie przytomna wyrzuciła:

– Policja! Gliny są tutaj!

Te słowa jeszcze wisiały w powietrzu, gdy drzwi z hukiem wyleciały z zawiasów.

W ułamku sekundy do środka wpadła horda glin, krzyczących i wrzeszczących. Kazali wszystkim pokazywać ręce. W mundurach wydawali się ogromni. Niektórzy z obecnych odmówili i zostali powaleni na podłogę. Wśród hałasu i zamieszania wcisnąłem się do kąta z podniesionymi rękoma i nerwowo rozglądałem się dookoła, bliski sfajdania się ze strachu. Potężny gliniarz w hełmie z osłoną na oczy i w kominiarce złapał mnie za lewą rękę i ją wykręcił.

– Na podłogę! – ryknął i zmusił do położenia się twarzą do ziemi.

Cholera, pomyślałem. Przydusił mnie kolanami i skuł ręce na plecach. Policzek miałem mocno przyciśnięty do brudnych desek, czułem na skórze kurz i piasek.

Walcząc o oddech, boleśnie świadomy swej bezradności próbowałem trochę się poruszyć, ale wielki gliniarz usiadł na mnie mocniej, krzycząc:

– Przestań stawiać opór!

Zacisnął kajdanki, tak że poczułem ostry ból w rękach.

– Rany! Dlaczego, do cholery?! – krzyknąłem. – Alan, co oni robią?

– Spokojnie, synu, spokojnie! – odkrzyknął Alan.

– Zamknij się, do cholery! – rzucił natychmiast jeden z tych, którzy trzymali Alana.

Wielki glina przeszukał moje kieszenie i znalazł starą nokię 3310, którą rzucił na podłogę tak, że wypadła bateria. A potem oczywiście trafił na skarb – warte dwadzieścia funtów paczuski z heroiną i crackiem. Nie widziałem twarzy tego człowieka, ale wyczuwałem jego złośliwą satysfakcję.

– Jesteś zatrzymany, stary. Posiadanie. Klasa A.

Jeszcze mocniej zacisnął kajdanki, aż skrzywiłem się z bólu, a mój policzek wbił się głębiej w podłogę. Teraz już wszystko mnie bolało. Tego nie było w planie. Zapowiadał się zmarnowany dzień.

Pieprzony kutas, pomyślałem. Czy on, do cholery, nie wie, że jestem jego kolegą?

Dorastanie

Miałem na sobie krótkie szare spodenki, szare skarpetki i starannie wyprasowaną zieloną bluzę z odznakami skautowskimi. Przed wyjściem z sali parafialnej poprawiłem sznur i chustę. Ponieważ zamierzałem wrócić do domu bocznymi ulicami, łąpczywie wepchnąłem do ust gumę do żucia, kupioną za dwie dziesięciopensówki znalezione pod łóżkiem mamy.

Zabłądziwszy przypadkiem na High Street, zobaczyłem tabuny biegnących policjantów; niektórzy byli w rzadko widywanych hełmach z osłonami. Zauważyłem też spadające przed nimi race i grupę ludzi, głównie czarnych, obrzucających gliniarzy wyzwiskami.

Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, jak to bywa z ośmiolatkami, beztrąsko pobiegłem w podskokach do domu. Przecisnąłem się przez blokadę z policyjnych transporterów opancerzonych, ruszyłem na Broad Lane, a potem skręciłem na prawo w West Green Road.

Gdy szedłem po niej spacerkiem, słyszałem huk i brzęk rzeczy spadających na ziemię za moimi plecami. Świnie, pomyślałem, choć zupełnie nie wiedziałem, o co tu chodzi. Do tej pory miałem do czynienia z policją tylko wtedy, gdy jako pięciolatek zostałem okradziony i gdy wraz z kolegą, Michaeliem, rzucałem w policjantów kasztanami podczas marszów ruchu na rzecz rozbrojenia atomowego w śródmieściu Londynu, bardzo częstych w owym czasie, organizowanych między innymi przez matkę Michaela, hipiskę i lewaczkę. Uważałem, że to tylko niezła zabawa, naprawdę.

To była Tottenham. Mój dom. Zamieszki zobaczyłem później w wiadomościach telewizyjnych. W tym okresie – a nie zawsze tak bywało w moim dzieciństwie – stać nas było na telewizor, choć tylko czarno-biały.

Pierwszą przyczyną zamieszek była śmierć czarnoskórej kobiety, imigrantki z Karaibów nazwiskiem Cynthia Jarrett, która zmarła na atak serca w czasie przeprowadzanej przez policję rewizji w jej mieszkaniu w bloku komunalnym Broadwater Farm. Sytuacja stała się naprawdę poważna, gdy następnego dnia życie straciła druga osoba – posterunkowy Keith Blakelock, zamordowany nożami i maczetami przez bandę około pięćdziesięciu młodych opryszków, gdy upadł, próbując wycofać się pod naporem motłochu. Był pierwszym funkcjonariuszem zabitym podczas rozruchów ulicznych w Brytanii od 1833 roku.

Jako dzieciak ledwie zdawałam sobie sprawę, że to wszystko dzieje się pod moim

nosem. Nie znałem Broadwater Farm, choć mieszkało tam kilku moich kumpli z podstawówki. Danny i Tyrone nadal spotykali się jednak ze mną w soboty w centrum handlowym Wood Green, by pogadać i pozachwycać się pulowerami Gambicciego, kurtkami Pierre Cardina, dresami Sergio Tacchiniego i butami Diadory w tamtejszych sklepach. Nie wydawali się zaniepokojeni zamieszkami, więc ja też się nimi nie przejmowałem.

Trzy lata później szedłem tą samą West Green Road, dumny z nowego mundurka – wyprasowanych spodni, krawata i marynarki w fioletowo-czarne paski. Dla miejscowych chłopaków było oczywiste, że nie chodzę do szkoły w tej okolicy. Trzech takich podeszło do mnie, a gruby prowodyr uderzył mnie w twarz.

– Pieprzony wyelegantowany piździelec – rzucił.

Wstrząśnięty bardziej spoliczkowaniem niż językiem tego typka, wyjąkałem:

– C... c... co?

– Do jakiej pedalskiej szkoły chodzisz, kurwa? – zapytał przy wtórze gwizdów i drwin koleżków.

– Nie rozumiem – odparłem nerwowo, próbując go wyminąć.

– Pieprz się, mały pedale – splunął ze złością, po czym wepchnął mnie w żywopłot i odbiegł ze śmiechem. Czerwony na twarzy i zalany łzami bałem się, że podarłem marynarkę – a można było ją było kupić tylko u Harrodsa – na którą moja mama tak ciężko pracowała.

Mama przywykła do tego, że musi ciężko pracować, by mnie i siostrze niczego nie brakowało. Rodzice rozwiedli się, gdy miałem trzynaście lat. Tata, który został później znanym rzeźbiarzem, zostawił nas; widziałem go od tego czasu zaledwie trzy lub cztery razy. Mama miała szesnaście lat, gdy mnie urodziła. Początkowo mieszkaliśmy w Lewes w hrabstwie Sussex, potem przeprowadziliśmy się do Leicester, gdzie mój tata studiował sztukę. Dopiero gdy ukończył studia, zamieszkaliśmy w Londynie.

W ten sposób Tottenham stała się moim miejscem do życia. Czułem się bardzo szczęśliwy i uprzywilejowany, chodząc do jednej z najlepszych prywatnych szkół w Londynie. Dostałem stypendium dla zdolnych uczniów. Na co dzień musiałem jednak mierzyć się z wszelkiego rodzaju paradoksami, bo przecież moi koledzy szkolni należeli do bogatej elity, a po lekcjach wracałem do innego, znacznie uboższego świata. Pamiętam, że nie raz szukaliśmy między deskami podłogi i pod kanapą monet, za które można by kupić coś na kolację.

Nawet gdy przeprowadziliśmy się do Islington (właściwie do Newington Green, bardziej Hackney niż Islington), tego rodzaju problemy codziennie dawały o sobie

znać. Zapraszano mnie na przyjęcia i bar micwy do domów przyjaciół w Hadley Wood i Chelsea, wspaniałych domów z basenami i jacuzzi; często rodzice tych przyjaciół podwozili mnie swymi rolls-royce'ami i mercedesami. Potem wracałem do domu, zdejmowałem buty Nike (mama rujnowała się na nie, ale dzięki temu przynajmniej uznawano, że jestem „cool”) i snułem smętne marzenia o życiu takim, jakie wiodą moi szkolni koledzy.

Tak upłynęły moje szkolne lata. Nie były szczególnie trudne, obyło się bez większych zmartwień. O wiele gorsze rzeczy spotkały mnie później. A mama starała się ze wszystkich sił dla mnie i moich dwóch sióstr. Gdy byłem starszy, dorabiałem w soboty i niedziele. Pod koniec szkoły średniej miałem dużą grupę przyjaciół i spędzałem mnóstwo czasu na robieniu tego, co zwykle robią młodzi ludzie – paliłem, uprawiałem seks, zażywałem narkotyki, upijałem się, robiłem z siebie głupka. Nic nadzwyczajnego.

Sądzę, że umiejętność dostosowania się do szkoły i dogadania się z chłopcami, w większości pochodzącymi z bardzo zamożnych rodzin, połączona z instynktem przetrwania, który wykształciłem na ulicach Tottenham i Newington Green (wiele razy wracając do domu, musiałem kryć się ze strachu, że miejscowe chłopaki zauważą mnie w moim „wyelegantowanym” mundurku) pozwoliła mi nawiązywać naprawdę dobre kontakty z większością ludzi. Bez wątpienia dzięki temu w dorosłym życiu okazałem się dobry w pracy. Oznaczało to jednak również, że stałem się swego rodzaju outsiderem, nigdy nie przynależałem na dobre do żadnej grupy, z żadną się nie utożsamiałem.

Miałem duże zdolności do języków (szczególnie łatwo przychodziła mi nauka rosyjskiego i francuskiego), dlatego po maturze wstąpiłem na University of London School of Slavonic and East European Studies. Doskonale się tam bawiłem. Opuszczałem wiele zajęć i spędzałem mnóstwo czasu w barze college'u, gdzie, zgodnie ze słowiańskim duchem, serwowano szeroki wybór wódek z krajów bloku sowieckiego. Przyjemności związane z ciągłym odwiedzaniem tego miejsca szybko niestety zbladły, wkrótce pojawiła się nuda, zacząłem więc tęsknić za jakąś odmianą. W przypływie młodzieńczej porywczosci rzuciłem uczelnię i wyjechałem do pracy w Disneylandzie pod Paryżem, gdy tylko go otworzono w 1992 roku.

Zauważyłem ogłoszenie w „Standardzie” i pognałem na rozmowę kwalifikacyjną do Bayswater, nie wiedząc, co mnie czeka. Nie miałem pojęcia, jakiego rodzaju rozmowy się spodziewać ani o jakie zajęcie chodzi. Sądziłem, że szybko odpowiem na kilka pytań, a po kilku tygodniach wyjmę ze skrzynki list z wiadomością.

Już około dziesięciu minut po przyjeździe rozmawiałem z komisją rekrutacyjną. Sprawdzone mój stopień znajomości francuskiego (zaskakujące, że płynny francuski nie był wymagany), a po kolejnych dziesięciu minutach wyszedłem z umową o pracę

na czas nieokreślony, z pensją 6500 franków miesięcznie; zaczynałem za pięć dni.

Praca we Francji była przyjemna, a życie beztrudne – niczym na uczelni, tylko bez nauki. Świetnie się bawiłem. Po mniej więcej pół roku poznałem Jane. Zaczęliśmy się spotykać i razem wróciliśmy do kraju. Miałem się rozmaitych zajęć bez perspektyw, bez realnych szans na osiągnięcie czegoś w życiu. Nie miałem nic przeciwko pracy w pizzerii przy Oxford Street, gdzie zarabiałem marne grosze za długie godziny harówki i skąd wracałem do domu, śmierdząc przypaloną oliwą i potem grubego tureckiego szefa kuchni, przenikającym każdy centymetr pomieszczenia.

Nie miałem poczucia, że się marnuję, karmiąc turystów przy Oxford Street, jestem jednak pewny, że mama uważała inaczej. Gdy wracałem po dwunastogodzinnej zmianie, cuchnący tłuszczem, często widziałem w jej oczach niepokój.

Od czasu do czasu nachodziła mnie myśl, że potrzebuję jakiegoś katalizatora, czegoś, co kopnie mnie w tyłek i zmotywuje do znalezienia prawdziwej pracy. I stało się – w 1994 roku Jane zaszła w ciążę, a ja uznałem, że pora dorosnąć, wziąć odpowiedzialność za swoje życie i znaleźć uczciwe zajęcie. Takie, które daje widoki na przyszłość, ale ciekawe. Obawiałem się, że nie dojrzałem jeszcze do ojcostwa. Szczerze mówiąc, nadal tak uważam. Wciąż jeszcze nie całkiem dorosłem, zdarza mi się stroić fochy, mam skłonność do dziecinnych zachowań, które często budzą zdenerwowanie lub irytację. W tamtym czasie przypuszczałem, że jeśli znajdę „dorosłą” pracę, automatycznie stanę się odpowiedzialnym, dorosłym człowiekiem.

Rodzina Jane miała silne związki z policją. Jej wuj pracował w Met, w ochronie rodziny królewskiej. Nosił broń. To już lepiej! Tylko czy to ciekawe? Nie wiedziałem, że w rzeczywistości jego praca była nudna, niewiele miał do czynienia z ludźmi, a postrzelać mógł sobie raz do roku, podczas testów sprawdzających umiejętności. Jeśli chodzi o zatrzymania, znał z doświadczenia tylko zatrzymanie akcji serca.

Zacząłem zastanawiać się nad karierą w policji i szukać informacji, głównie w serialu stacji ITV, *The Bill*. Wyobrażałem sobie, że należę do policyjnej jednostki specjalnej i ubrany w niebieski kombinezon wskakuję na maski samochodów, wymachując bronią maszynową, po czym łapię brutalnych przestępców. Tak, to było coś dla mnie. W dzieciństwie napatrzyłem się na seriale o gliniarzach (zwłaszcza amerykański *CHiPs*), teraz nabrałem zamiłowania do broni palnej, złożyłem więc podanie o przyjęcie do Metropolitan Police, policji londyńskiej.

Podanie rozpatrywano ponad półtora roku. W tym czasie regularnie chodziłem do siłowni, zdeterminowany, by zdać obowiązujący wtedy test sprawnościowy, i z zazdrością przyglądałem się mijanym gliniarzom i przejeżdżającym wozom policyjnym. Dużo czytałem – nie istniał jeszcze luksus w postaci internetu – przede wszystkim książki o policji (do moich ulubionych należały *Talking blues* Rogera

Graefa i *Watching the Detectives* Andrew Browna). Lektura tych książek nieco mnie zaniepokoiła. Nigdy nie zetknąłem się ze środowiskiem ludzi napakowanych testosteronem, gdzie rządzą siła i przemoc. Byłem człowiekiem łagodnego usposobienia, spokojnym, absolwentem dobrej szkoły i denerwowała mnie sama myśl o kontakcie z agresywnym aresztantem oraz o kawałach zwyczajowo robionych nowicjuszom na wielu londyńskich komisariatach.

Mimo to bardzo pragnąłem zerwać z etykietką eleganckiego, układnego inteligenta, wychowanka ekskluzywnej szkoły. Zawsze czułem się z tym niezbyt dobrze, przede wszystkim dlatego, że wcale nie byłem elegantem z wyższych sfer. Wolałem, choć może to trochę dziwne, by postrzegano mnie raczej jako człowieka pracy, a przy tym musiałem utrzymać rodzinę, czekałem więc na list, w którym podana zostanie data rozmowy kwalifikacyjnej i budzącego postrach testu sprawnościowego.

Gdy w końcu nadszedł ten dzień, udałem się do Hendon Police College, gdzie ogromne wrażenie zrobił na mnie widok rekrutów, wyglądających elegancko i oficjalnie w nowych niebieskich mundurach z serży. Niektórzy z nich paradowali dumnie po szkole, demonstrując długie akrylowe pałki i kajdanki (nowość w owym czasie). Stanowczo pragnąłem zostać jednym z nich!

Zdałem test sprawnościowy – ledwie, ledwie. Nie do wiary, ale zdołałem zrobić czterdzieści pompek na minutę. Z dumą donoszę, że poza tym uzyskałem jeden z najniższych zanotowanych wyników w „teście rozciągliwości”. Nigdy nie byłem przesadnie sprawny.

Po teście sprawnościowym wszystkich kandydatów po kolei przepytowała komisja złożona ze starszych oficerów policji. Wydawało się, że rozmowa poszła mi jak po maśle. Wszystkim nam polecono zostać po rozmowie, ponieważ przed końcem dnia mieliśmy się dowiedzieć, czy nam się powiodło, czy też nie. Jako mieszkaniec śródmieścia Londynu byłem ostatni w kolejce. Po godzinie czekania w zimnym, cuchnącym papierosami pokoju poinformowano mnie, że zdałem i wkrótce zostanie mi podana data rozpoczęcia szkolenia w Hendon.

Nie posiadałem się z radości. Byłem też zdenerwowany – bycie gliną wiąże się z dużą odpowiedzialnością. Od policjanta może zależeć ludzkie życie. Oglądając odcinki *The Bill*, myślałem przejęty: O mój Boże, może będę musiał ratować czyjeś życie albo powiedzieć, co robić w razie niebezpieczeństwa. Nie uważałem, że musi mi się to udać.

Jako świeżo upieczony tata trochę wydorostałem. Chyba nie miałem wyboru. Było to wyzwanie – niełatwe, ale warte trudu. Piszę tę książkę w chwili, gdy znów zostałem ojcem, wciąż towarzyszą mi więc obawy i naturalne poczucie, że jestem

odpowiedzialny za małego człowieka. Jestem przekonany, że ojcostwo było nie tylko bezpośrednią przyczyną mojego wstąpienia do policji, lecz sprawiło również, że stałem się całkiem dobrym policjantem. Bardzo szybko nauczyłem się cierpliwości, dyplomacji, sztuki komunikowania się i kontynuowania pracy po zaledwie krótkiej drzemce.

Tak, rozpieszczała mnie radość. Mając pracę, zyskiwałem stabilizację. Tak to wówczas postrzegałem. Z pewnością nie myślałem o karierze. Cały mój plan ograniczał się do tego, że po dwuletnim stażu wstąpię do jednostki zbrojnego reagowania i spełnią się moje marzenia. A może będę robił coś w wydziale specjalnym i łapał rosyjskich szpiegów. Niewiele wiedziałem o pracy w Met. Zakładałem, że spędzę w policji około pięciu lat. Wiedziałem, że łatwo się nudzę i że w niedługim czasie zapragnę zmiany.

Jakże się myliłem.

Na szkoleniu

Ośrodek szkoleniowy Hendon jest miejscem bez wyrazu, zupełnie tak samo, o ironio, jak niektóre osiedla komunalne, patrolowane przeze mnie po dyplomie. Wysokie ponure bloki górują nad brzydkim boiskiem, niższe budynki stoją przy drogach i ścieżkach do biegania. Mieszczą się tam między innymi siłownia, basen oraz ośrodek szkolenia detektywów, przemianowany teraz niefortunnie na „Akademię Zbrodni”.

Dotarłem do Hendon z niewielką ilością gotówki w kieszeni, zostawiając w domu swą drugą połowę i małego synka. Szybko zawarłem przyjaźnie z kolegami z rocznika i wciągnąłem się w nurt życia szkoły. Nie ujawnię szczegółów szkolenia, ale zaskoczyło mnie to, jak dobrze się bawiliśmy. Od samego początku polubiłem zajęcia i z przyjemnością uczestniczyłem w scenkach z „czarnymi charakterami”.

Zdziwiło mnie również, że bez trudu przyswoiłem sobie obowiązujące w policji reguły. Zawsze uważałem się za wolnego ducha, człowieka o liberalnych poglądach, niepodporządkowującego się łatwo władzy. W Hendon prędko zrozumiałem jednak, że od chwili wstąpienia do policji, to ona staje się twoim światem. Wraz z innymi rekrutami szybko w to weszliśmy. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do wyglansowanych butów, krótko ostrzyżonych włosów i hierarchii służbowej.

Mimo że bardzo podobało mi się szkolenie, dwadzieścia tygodni to jednak długi czas, byłem więc zadowolony, gdy dobiegło końca i powiadomiono mnie, że ukończyłem je pomyślnie.

Prosiłem o przydział do West End Central, sądziłem bowiem – niemądrze, jak się okazało – że do tego rejonu należy Oxford Street, na której roi się od turystów, będę więc mógł zrobić dobry użytek ze swej znajomości języków. Szybko odkryłem, że West End Central nie obejmuje Oxford Street, a komisariat znajduje się przy Vine Street, tuż przy Piccadilly, natomiast duży komisariat przy Savile Row jest właśnie odnawiany. Londyńskie centrum zakupowe znajdowało się więc poza moim rejonem, cieszyłem się jednak, że będę patrolował między innymi ruchliwe Coventry Street, Piccadilly i Regent Street.

Kończąc szkolenie, nie poświęcałem zbyt wielu myśli kwestii, co w istocie oznacza bycie funkcjonariuszem policji. Moje aspiracje nie sięgały daleko, ograniczały się w zasadzie do spacerowania po ulicach w mundurze. Gdy przyszła pora na prawdziwą pracę, po raz pierwszy poczułem niepokój. Zacząłem zastanawiać

się nad swoją sytuacją i gdy przyszło do rozważań nad związaną z tą pracą odpowiedzialnością, ogarnęło mnie przerażenie. Czyjeś życie mogło znaleźć się w moich rękach. Może będę zmuszony przeprowadzić resuscytację krążeniowo-oddechową (RKO). Uczono nas tego szczegółowo na szkoleniu, ale czy podołam temu zadaniu, gdy przyjdzie się z nim zmierzyć? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym silniejsze rosło we mnie przekonanie, że jako policjant jestem do niczego. Opadło mnie zwątpienie w siebie. Czy kompletnie do tego się nie nadaję? Wstąpiłem do policji, ponieważ wydawało mi się, że bezpieczeństwo to najlepsza rzecz dla mojej rodziny, i dopiero teraz zacząłem uświadamiać sobie, w co wdepnąłem. Czy potrafię sprowadzić bezpiecznie z dachu jakiegoś samobójcę? Czy zdołam opanować nieprzewidywalną sytuację lub w razie potrzeby użyć siły, by poskromić agresywnego drania? Nie miałem pojęcia, lecz bardzo się bałem.

Kiedy nadszedł pierwszy dzień pracy, uznałem, że nie ma odwrotu, choć zupełnie nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać.

W chwili, gdy przekroczyłem próg, stało się dla mnie jasne, że komisariat przy Vine Street to prawdziwy komisariat starego typu. Od razu trafiłem na grubych sierżantów palących fajki, detektywów w skórzanych kurtkach ze skrętami w ustach i wymizerowanych posterunkowych, klnących na szwankujące radia lub na zły stan starych samochodów. To byli doświadczeni gliniarze, wielu miało za sobą ponad dwadzieścia lat służby, a niektórzy z nich wydawali się naprawdę przerażający.

Pierwsze dziesięć tygodni służby spędziłem na ulicach, cały czas pod okiem opiekuna. Moich kolegów i mnie łatwo rozpoznawano jako nowicjuszy (tak samo łatwo rozpoznaje się ich dziś) po błyszczących nowych czarnych butach Hi-Tec Magnum i nylonowych pasach taktycznych z różnymi pojemnikami. Na szkoleniu słyszeliśmy opowieści o kierowcach wozów policyjnych, mających w kantine własny stół. Szybko przekonałem się, że te opowieści były prawdziwe. Biada każdemu z nas, kto usiadł przy tym stole lub choćby miał czelność odezwać się do któregoś ze starszych funkcjonariuszy. Przełożeni zupełnie się nie przejmowali sytuacją nowicjuszy. Wydawało się, że wręcz nie mam prawa należeć do tego świata.

Po zakończeniu okresu próbnego inspektor powinien wzywać każdego stażystę i powiadomić go, jak została oceniona jego praca. Mój inspektor, Paul, wydawał się na pierwszy rzut oka porządnym gościem. Zawsze widziałem go z papierosem w ustach – w tamtych czasach wolno jeszcze było palić w komisariatach. Czapkę nosił zsuniętą na tył głowy.

Gdy nadeszła pora zatwierdzenia mnie na stanowisku posterunkowego, wezwał mnie do raportu. Wszedłem trochę zdenerwowany. Inspektor siedział z nogami na biurku, w jak zwykle przekrzywionej czapce, krawat miał rozluźniony, z ust zwiisał mu nieodłączny papieros.

- Wszystko u ciebie w porządku, Christian? – zapytał. – Podoba ci się tu?
- Tak, wszystko w porządku, szefie.
- I dobrze. Miły chłopak. No to do roboty.

I tyle.

Szybko zorientowałem się, że Paul nigdy nie chwalił podwładnych ani nie rozmawiał z nimi ot, tak sobie, ale gdy zasłużyło się na ochrzan, nie żałował sobie. Im mniej do kogoś mówił, tym lepiej, bo oznaczało to, że tego kogoś lubi.

Odbyłem staż, lecz gdy zacząłem prawdziwą pracę, opadły mnie stres i obawy. Najbardziej bałem się starć na ulicach.

Istniała jednak niewielka szansa na to, że od razu na początku wydarzy się coś dramatycznego. Mój zespół pracował na „ranki”, „popołudnia” i „nocki”. Podczas stażu musiałem wykonywać wszystkie te podrzędne obowiązki w rodzaju parzenia wszystkim herbaty, robienia tostów w niedziele, odbierania głupich telefonów o przedawkowaniach i drobnych wykroczeniach, udziału w otepiających patrolach. Były to zajęcia rutynowe, nudne, ale pozwoliły wdrożyć się do pracy.

Czuję zażenowanie na myśl o głupotach, które robiłem przez pierwszych kilka miesięcy, takich jak niesłuchanie poleceń wydawanych przez radio, wskutek czego nie potrafiłem powiedzieć kierowcy, dokąd powinniśmy jechać. Może się to wydawać mało ważne, lecz tego rodzaju drobne błędy mogą stać się przyczyną większych problemów. Miałem szczęście, że w okresie moich wyskoków nie wydarzył się żaden nagły przypadek.

Te kilka pierwszych tygodni pozwoliły mi również przystosować się do zwyczajów. Było oczywiste, że zanim zostanie się zaakceptowanym, trzeba się sprawdzić, jednak w sytuacji, gdy nie działo się nic nadzwyczajnego, trudno było znaleźć po temu okazję. Siedząc z bardziej doświadczonymi funkcjonariuszami w zadymionej kantine, słuchałem opowieści o wojowniczych pijakach, bezczelnych złodziejach sklepowych i uzbrojonych w noże włamywaczach niczym bajek ze świata całkiem innego niż ten, o którym uczono nas w Hendon. Może było w tych opowieściach dużo przesady, podejrzewam jednak, że pilnowanie porządku na ulicach mocno odbiegało od tego, czego uczono nas na szkoleniu. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli chcę zasłużyć na szacunek kolegów, ja również będę musiał uciekać się do jakiegoś rodzaju przemocy, być może nawet bez istotnej potrzeby.

Nie jestem wojowniczy, nie cierpię przemocy i zawsze wolałem raczej unikać bezpośredniej konfrontacji, niż do niej dążyć. Nawet uzbrojony w długą policyjną pałkę wpadałem w przerażenie na myśl, że zostanę zaatakowany lub będę musiał walczyć. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy znalazłem się w sytuacji, która

uświadomiła mi siłę policyjnych opowieści.

Pewnej nocy byłem na służbie, gdy kolega stażysta imieniem Bob wezwał przez radio wóz. Przyskrzynił w Soho kłótliwego pijaka. Pojechałem jako pasażer, a moje zadanie polegało na zrobieniu wszystkiego poza prowadzeniem samochodu, włącznie z załadowaniem aresztanta na tył furgonetki. W strugach deszczu zatrzymaliśmy się na Rupert Street, co spowodowało, że grupka ćpunów natychmiast czmychnęła. Zauważyłem Boba, próbującego ciągnąć brodatego jegomościa potężnej budowy, który wykrzykiwał coś ze złością w naszą stronę. Niewiele myśląc, bez żadnych obaw wysiadłem z wozu, złapałem pijaka za ramię, rzuciłem na ziemię, klęknąłem na nim i założyłem mu kajdanki. Takiego właśnie postępowania z trudnymi klientami uczono nas na szkoleniu.

Bob, ekszołnier, był wyraźnie pod wrażeniem. Gdy później tego wieczoru wróciłem do kantyny, dostałem brawa za bojową postawę.

– Dobra robota, synu – oznajmił jeden z bardziej doświadczonych policjantów. – Bob mówi, że powaliłeś na ziemię jego aresztanta. Kłótlivy gnojek zasłużył sobie na to.

– No, najwyraźniej mu się należało – dorzucił ktoś inny. – Dobrze, że tam byłeś. Bob mówi, że pięknie go załatwiłeś.

Nie przejąłem się zbyt mocno całą tą sprawą, incydent ten miał jednak wpływ na moją pozycję na komisariacie. Nagle zostałem przyjęty do zespołu, stałem się jednym ze swoich. Nikt nie mówił już do mnie „chłopcze” i nie musiałem wykonywać idiotycznej roboty. W ciągu następnych kilku tygodni opowieść o tym, jak poskromiłem starego pijaka, stawała się coraz barwniejsza. Powtarzano, jak to dopadłem go i skułem, ale przedtem wymierzyłem mu na dokładkę parę kopniaków. Nic takiego się nie zdarzyło, ale tak właśnie opowieści obrastają w rozmaite dodatki, a ja szybko sobie uświadomiłem, że trzymanie się prawdy nie leży w moim interesie. To wręcz nieprawdopodobne, jak policjanci potrafią w ciągu kilku rozmów zrobić ze zwykłego incydentu historię z gatunku fantastyki. W oczach weteranów osiągnąłem pełnoletność i można mi było zaufać. Od tej chwili przestałem się denerwować, a zająłem się walką z przestępcami.

Niemal z dnia na dzień z zamkniętego w sobie stażysty stałem się stanowczym mundurowym gliną. Ku swemu zaskoczeniu, zacząłem lubić tę pracę. Przestałem marzyć o noszeniu broni i wstąpieniu do jednostki zbrojnej, podobała mi się natomiast codzienna praca w zespole ludzi, za których z ochotą oddałbym życie. Wiem, że brzmi to naiwnie i idealistycznie, ale tak właśnie czułem. Kochałem swoją pracę.

Zacząłem spędzać mnóstwo czasu, patrolując Soho. Zanim odnalazłem się

w nowej sytuacji, sztywno trzymałem się bezpiecznych ulic Mayfair, ale nowo odkryta pewność siebie sprawiła, że polubiłem teraz ściganie złodziei i agresywnych pijaków oraz przemykanie się ukradkiem po labiryncie bocznych uliczek Soho w poszukiwaniu wszelkiej maści kryminalistów. Wiele widziałem, zetknąłem się z niewiarygodnymi, czasem wprawiającymi w osłupienie sytuacjami, w jakich znaleźli się ludzie; poznałem nieznany mi dotąd świat. Dziwki, alfonsi, ćpuni, kokainiści i heroiniści, bezdomni, alkoholicy, włóczędzy, dilerzy, nielegalni imigranci, taksówkarze, skankerzy, koniki, transwestyci – całe to towarzystwo znajdziesz w Soho.

Pewnej nocy podczas rutynowego obchodu zobaczyłem parę uprawiającą dość ostry seks w wejściu dla dostawców domu przy Romilly Street. Dopiero po rozdzieleniu tych dwojga zorientowałem się, że mam do czynienia z facetem i transwestytą. O dziwo, mężczyzna ten uważał, że zabawia się z kobietą. Wyras prerażenia na jego twarzy, gdy powiedziałem mu, że uprawia seks gejowski, był wręcz nie do opisania.

Niedługo później na Dufour Place natknąłem się na narkomana, który wstrzykiwał sobie heroinę w podstawę zwiotczonego penisa. Kiedyś kokainista, zrozpaczony perspektywą utraty ostatniej działki, groził mi nożem. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność.

Bójki, pościgi, wypadki, nożownictwo, kradzieże sklepowe, włamania, okradanie samochodów zdarzały się codziennie. Włoscy kieszonkowcy, północnoafrykańscy złodzieje torebek, uliczni przekupnie z Kosowa, somalijscy naganiacze do taksówek, chińscy spece od ulicznych gier hazardowych, jamajscy dilerzy cracku i wielu innych tworzyło fascynującą, choć mocno podejrzaną wielonarodową mieszaninę przestępców działających w Soho. Polubiłem tę dzielnicę, zawsze będzie ona miała dla mnie szczególne znaczenie; to miejsce z pewnością wchodzi w krew.

Wkrótce zyskałem reputację solidnego gliniarza, „łapacza złodziei”, urodzonego policjanta. Nigdy nie zapomnę, jak kilka lat później, już po przeprowadzce z Vine Street na Savile Row, pewien bardzo doświadczony, zmęczony życiem policjant, mający za sobą długie lata służby, powiedział mi swym charakterystycznym dla East Endu nosowym głosem:

– Jesteś dobrym gliniarzem, Christianie.

Poczułem dumę, choć skromnie stwierdziłem, że komplement jest przesadzony. Muszę przyznać, że mam na swym koncie wyjątkowo dużo aresztowań, prawie zawsze uzasadnionych – nigdy nie zamykałem ludzi, którzy nie musieli zostać zamknięci. Jeśli zatrzymałem siedemnastoletniego ucznia z odrobiną haszyszu, a chłopak był w porządku, narkotyk szedł do studzienki i koniec sprawy. Ale czarne

charaktery z Soho zawsze maszerowały ze mną do aresztu – za co się dało. W pewnym momencie doszło do tego, że aresztowałem kokainistów i heroinistów w parku na dawnym cmentarzu przy kościele św. Anny w Soho.

Jeśli nie mogłem zamknąć ich za narkotyki, z pewnością mogłem ich dopaść za „rozmyślne zanieczyszczanie ławki w parku” albo „przebywanie w parku w stanie zawszenia”. Z jakiegoś powodu wydawało mi się to bardzo zabawne.

Mniej więcej w tym czasie dostałem pierwsze wyróżnienie. Odebrałem wiadomość, że w Haymarket jakiś mężczyzna wspiał się na szczyt rusztowania wysokości trzydziestu metrów i grozi, że skoczy.

Siedziałem w policyjnym wozie na miejscu pasażera, patrzyłem na stojącego na górze faceta z rozpostartymi ramionami i myślałem: O mój Boże, on naprawdę skoczy.

Wszedłem do budynku i pobiegłem wraz z ochroniarzem na piętro, na którego wysokość wspiał się desperat. Poleciałem ochroniarzowi otworzyć okno, wyjrzałem i zobaczyłem, że mężczyzna odsunął się nieco od krawędzi.

Dzięki Bogu, pomyślałem. Wyglądało na to, że mamy ułamek sekundy na podjęcie decyzji, co robić. Mogliśmy spędzić cały dzień, rozmawiając z tym człowiekiem, istniała też szansa, że zdołam przykuć go do rusztowania. Z pewnością nie chciałem dopuścić, by skoczył. Wyszliśmy oknem, gość spojrzał na nas i zanim się zorientował, co się dzieje, chwyciliśmy go i zatrzasnąłem kajdanki. Nieszczęśnik miał problemy psychiczne. Przy pomocy strażaków bezpiecznie sprowadziliśmy go na dół. Gdy było po wszystkim, poczułem zadowolenie, że udało mi się załatwić tę sprawę bez użycia siły.

Umocniłem swoją reputację w policji, ale jednocześnie wyrobiłem sobie markę wśród tutejszych oprychów. W Soho funkcjonował prężny rynek cracku i heroiny, a wraz z nim kwitły wszelkie związane z tym rodzaje degradacji. Nadal tak się dzieje, tylko jak sądzę, jest to niewidoczne dla zwykłych obywateli. Widzą to tylko dobrzy gliniarze z patroli ulicznych. Jeszcze dziś potrafię bezbłędnie rozpoznać narkomana i złodzieja po drobnych sygnałach, gestach, postawie, zachowaniu. Lekkie, niemal niedostrzegalne drganie ust i prawie niezauważalne rozbiegane spojrzenie wskazują na to, że ktoś ma pełne usta kokainy; krótki rzut oka na jego otoczenie pozwala zorientować się, że oto złodziej torebek ubrany w podróbki Prady namierzył właśnie ofiarę.

Jeśli się takiego rozeznania nie ma, nigdy się tego nie zrozumie. Bohater grany przez Denzela Washingtona w filmie nazywa to „magicznym okiem”. Miałem i nadal mam „magiczne oko”. Dlatego właśnie Steve nazwał mnie dobrym gliniarzem.

Już wcześniej skłonność do ciągłych zmian miała fatalne skutki dla mojego życia

osobistego. Zapał, z jakim poświęcałem się pracy, nieuchronnie wiódł do częstych kłótni i sporadycznych rozstań, ale problemy rodzinne w niczym nie stłumiły mojego entuzjazmu dla tego zajęcia. Przeciwnie, chciałem jeszcze więcej. Byłbym najszczęśliwszy, pracując na okrągło, siedem dni w tygodniu, dzień i noc. Świetnie się bawiłem i byłem przekonany, że służę dobrej sprawie. Przyjemność sprawiała mi myśl, że zarówno moi koledzy, jak i łapani przeze mnie przestępcy uważają mnie za dobrego policjanta.

Po kilku latach pomyślałem jednak, że czas na zmianę. Wielu moich kolegów opuściło zespół, uznałem więc, że dojrzałem już do zrzucenia munduru i do pracy w cywilnym ubraniu, że być może – ale tylko być może – powinienem zostać detektywem.

Detektywi

W West End Central działała wówczas tak zwana jednostka do walki z przestępczością, zespół detektywów zajmujących się wszystkim. Podlegali oni wydziałowi kryminalnemu (Criminal Investigation Department, CID), a ja żywiłem do nich wielki szacunek. Nosili długie włosy i skórzane kurtki, nigdy się nie golili. Nie ośmielałem się z nimi rozmawiać – byłem zaledwie mundurowym gliną – zacząłem jednak marzyć o dołączeniu do ich szeregów.

W tamtych czasach istniała zwyczajowa ścieżka kariery, po której przejściu zostawało się detektywem. Należało sprawdzić się w mundurze, wstąpić do miejscowej jednostki walki z przestępczością, potem ciężko pracować i czekać, aż komisarz zarekomenduje cię na szkolenie w CID. Inaczej niż w USA, gdzie zostanie detektywem nie jest uważane za awans, lecz po prostu przejście na równorzędne stanowisko w innym wydziale. Tyle że można się było nie golić, a taka perspektywa bardzo mi odpowiadała; miałem wrażliwą skórę.

Sposobność nadarzyła się, gdy zaproponowano mi dołączenie do małego zespołu pracującego w cywilu, zwanego jednostką z Soho. Stało się tak wyłącznie dzięki mojej uczciwej pracy i dużej liczbie aresztowań. Cieszyłem się, że w pewien sposób doceniono moje wysiłki i zaangażowanie.

Jednostka została założona ponoć w celu zwalczania osobliwego zjawiska „strzyżenia” – sprytnego przekrętu dokonywanego przez dziewczyny, które proponowały klientom seks, brały pieniądze, po czym się ulatniały. Zaraz potem do zdeprymowanego klienta podchodziła druga „fryzjerka”, wysłuchiwała jego żalów i udając, że potrafi znaleźć oszustkę, wyciągała od niego jeszcze więcej pieniędzy. I tak to się kręciło. Niewątpliwie wszystkie te dziewczyny należały do jednej bandy.

Ten przekręt w ogóle nie powinien się udawać.

Gdy dziewczyna zainkasowała dwieście funtów za pełny seks, wstawiała kiepską bajeczkę o tym, że musi zapłacić zaliczkę za mieszkanie, do którego oboje mieli się udać, ponieważ wynajęła je tylko na godzinę. Prowadziła naiwnego klienta do drzwi domu, najczęściej przy Bouchier Street lub St Anne's Court. Tam mówiła coś w rodzaju: „Dobra, zaniosę tam pieniądze. Mieszkanie będzie dla nas gotowe za dziesięć minut. Spotkamy się za rogiem”.

I już. Nie była to zbyt wyrafinowana sztuczka. Tyle tylko, że dziewczyna zniknęła z dwustoma funciakami, a klient już jej więcej nie widział. Potem często podchodziła

do tego mężczyzny druga dziewczyna z zespołu i pytała: „Wszystko w porządku, kochasiu?”. Klient wyjaśniał, co się stało, a ona mówiła: „Znam ją. Mogę ją znaleźć. Muszę wykonać parę telefonów. Daj mi trochę pieniędzy, to porozmawiam z pewnymi ludźmi”. Czasem ta druga proponowała mu seks i sytuacja się powtarzała.

Wszystkie dziewczyny były kokainistkami o zepsutych zębach albo wynędzniałymi, lecz szczerwanymi czterdziestkami ze wschodniego Londynu – żadnej z nich nie sposób było uznać za atrakcyjną. Faceci, którzy dali się w ten sposób nabrać – a było ich mnóstwo – często wzywali policję i zawiadamiali, że ich obrabowano. Nierzadko opowiadali, że napadło ich pięciu czarnych gości z nożami, lub inne podobnego rodzaju fantastyczne historie. Nauczyłem się doskonale czytać między wierszami i często szokowałem kolegów zajmujących się „ofiara”, gdy pojawiałem się i zaczynałem ją ostro przesłuchiwać, rzucając takie zdanka jak: „Jesteś pieprzonym kłamcą” lub „Nie łyj, piździelcu”. Złamany w końcu „poszkodowany” przyznawał, że nie było bandy zbójców grasujących po Soho i rabujących kogo popadnie, lecz że dał dwieście funtów palącej skręta, zaćpanej dziwce o ziemistej, pokrytej krostami twarzy i cuchnącym oddechu, ponieważ chciał wypieprzyć ją w śmierdzącym moczem zaułku, podczas gdy jego żona i dzieci czekały w domu. Nie żywiłem specjalnego współczucia dla takich osobników. Mimo to byli oni formalnie ofiarami oszustwa, a niekiedy szantażu, musieliśmy więc przeprowadzać dochodzenia w ich sprawach.

Sądzę, że poświęciliśmy tak wiele sił zwalczaniu tego przekrętu dlatego, że policja miała obsesję na punkcie statystyki, a priorytetem naszych przełożonych było ograniczenie liczby rabunków w Soho. Ofiary oszustw „fryzjerek” najczęściej składały mundurowym policjantom doniesienia o rabunku i choć ich opowieści zalatywały kłamstwem, system odnotowywał, że miał miejsce rabunek, a statystyki przedstawiały się jeszcze gorzej.

Często udawało się zakończyć sprawę w ten sposób, że znajdowaliśmy dziewczynę, odzyskiwaliśmy pieniądze, oddawaliśmy je ofierze i było po wszystkim.

Pewien gość został naciągnięty na dziesiątki tysięcy funtów. Mieszkał w Ameryce, lecz regularnie przyjeżdżał do Zjednoczonego Królestwa, by się dowiedzieć, co stało się z jego pieniędzmi. Inny gość, z Nowego Jorku, utrzymywał, że pewien mężczyzna obrabował go, stosując podobny przekręt. Znalazłem winowajcę i aresztowałem go. Powiedział, że Amerykanin prosił o małych chłopców, lecz mu nie uwierzyłem. Sprawa nie została zamknięta i nie trafiła do sądu, załatwiłem jednak, że ten Amerykanin przyleciał do Londynu, złożył zeznania, wziął udział w okazaniu i tak dalej. Ten człowiek był naprawdę wdzięczny; w dowód wdzięczności zaś przysłał mi pięć czapek nowojorskiej policji. Nie do wiary, jakie perturbacje to wywołało. Musiałem wypełnić stopy dokumentów, by wyjaśnić, że nie była to łapówka, lecz

zwykły, nieoczekiwany prezent.

Pracując w takim środowisku, mieliśmy stały kontakt z ćpunami i narkotykami. Naszym zadaniem było ścigać prostytutki okradające klientów, lecz niemal cały czas pochłaniała nam walka z narkotykami. Aresztowaliśmy ludzi za posiadanie i sprzedaż, a nawet za samą propozycję sprzedaży, lecz tych ostatnich zatrzymań było tak dużo – trzy lub cztery dziennie – że ostatecznie zrezygnowaliśmy z aresztowań pod tym zarzutem.

Crack i heroina były dla mnie nowością. Nie miałem pojęcia, czym są i jak działają. Dzięki pracy na ulicach szybko się tego dowiedziałem. W metrze można się było naogłądać wyniszczonych, sinawych na twarzy heroinistów, z których ramion sterczały igły, lub takich, którzy zgięci w pół chwiali się w narkotycznym transie niczym drzewa na wietrze. Widziało się kokainistów wykonujących „kokainowy shuffle” – jak to nazywałem na długo przedtem, nim taniec o tej nazwie stał się popularny na całym świecie. Kiwali się na boki, z rozbieganymi oczyma i zaciśniętymi szczękami, pogrążeni w ekstazie, zapominając na chwilę o paskudnych ranach i bolących rękach i nogach, częściej przypadłości narkomanów.

Niesamowite, że choć nazywałem ich kanalami lub kompletnymi dupkami, z narkomanami na ogół łatwo było sobie poradzić. Być może jestem w tej opinii odosobniony, lecz bardzo rzadko miewałem z nimi problemy, podobnie jak oni ze mną. Widziałem w nich ludzi z problemami i sądzę, że dlatego mieli dla mnie trochę szacunku.

Kiedyś pewien facet potężnej budowy, mający ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dostał szału w swojej brudnej noclegowni i zaczął demolować pomieszczenie. Policja, nie wiedząc, czego się spodziewać, zareagowała rutynowo. Przed moim przybyciem kilku policjantów próbowało przemówić mu do rozumu, lecz bez rezultatów. Znałem tego gościa z ulicy, mieliśmy już ze sobą do czynienia, i gdy tylko się odezwałem, posłuchał mnie z tej prostej przyczyny, że przyzwoicie go wcześniej traktowałem. Bardzo często rozmaite typki z okolicy żegnały się ze mną słowami: „Jesteś w porządku. Naprawdę w porządku”. Szalejący facet zupełnie się uspokoił i wyciągnął przed siebie ręce, jak do kajdanek, co jak powszechnie wiadomo, miało znaczyć: „Aresztuj mnie”.

Zrobiłem to więc, zyskując poklask zarówno ze strony kolegów, jak i miejscowych łobuzów.

W Soho wszyscy wiedzieli, że jesteśmy gliniarzami, a mimo to wciąż ktoś próbował sprzedać nam narkotyki. Nie zamierzaliśmy działać pod przykrywką. Chodziliśmy co prawda w cywilnych ubraniach, lecz mieliśmy radia i bez trudu dało się zauważyć, że mamy również pałki i kajdanki.

Dla młodego policjanta praca w cywilu była czymś fascynującym, ale też przerażającym, ponieważ mundur już nie chronił. Miałem tylko małą odznakę w portfelu. A gdy ktoś znajdzie się w sytuacji, w jaką nigdy nie wpakowałyby się w mundurze, adrenalina gwałtownie wzrasta. Często stałem w grupce ćpunów, słuchając ich i obserwując, co robią. Codziennie, gdy wychodziłem na ulice, istniało duże ryzyko, że wdam się w awanturę i to z najgorszymi mętami.

Nierzadko widywałem heroinistę z działką schowaną w dłoni. Chwytałem go za nadgarstek, ale ostatnią rzeczą, jakiej chciałby ćpun, to zostać pozbawionym narkotyku. Walczyłem zajadle, by go powstrzymać, a zwykle kończyło się to tarzaniem się po ziemi. Takie rzeczy zdarzały się codziennie. Miałem wrażenie, że gram w jakimś filmie, a przy okazji w ekscytujący sposób zarabiam na życie.

Jednostkę Soho tworzyło zaledwie pięciu policjantów. Pracowaliśmy przeważnie w nocy. Mnóstwo czasu spędzaliśmy z prostytutkami i „fryzjerkami”, słuchaliśmy opowieści o ich ciężkiej doli. Jedną z dziewcząt, Erica, była przez krótki czas naszą informatorką. Młoda i bardzo ładna, miała około dziewiętnastu lat. Zawsze do głębi poruszały mnie spotkania z nią – zwłaszcza w mieszkaniu, w którym pracowała. Wydawała się taka niewinna i naiwna. Prawdziwa laleczka. Zawsze rozmawialiśmy jednak w miejscu, gdzie czekała na klientów i gdy raczyła nas opowieściami o dzieciństwie i swym pragnieniu powrotu do domu, do Irlandii, przez cały czas miałem przed oczyma wiszący na ścianie cennik: „Obciążanie druta – 10 funtów; seks zwykły – 20 funtów; seks analny – 50 funtów”.

Ta urocza dziewczyna zupełnie nie pasowała do brudnego, zabałaganionego świata, w którym się znalazła. Jej sytuacja mnie bolała. Ostatecznie, po długich rozmowach, zdołaliśmy przekonać ją, by zostawiła to wszystko. Gdy ostatni raz o niej słyszałem, znajdowała się w drodze do domu, do Irlandii, gdzie zamierzała zmienić swoje życie. Erica należała do nielicznych bohaterów historii z dobrym zakończeniem. Zbyt często osób, z którymi się stykaliśmy, nie dawało się już uratować.

Radziliśmy sobie jakoś, ja zaś zyskiwałem coraz lepszą reputację. Wcześniej bałem się chodzić nocami po marnie oświetlonych ulicach Soho, teraz chętnie podchodziłem do dilerów narkotykowych i ćpunów, machając odznaką i patrząc, jak jeden po drugim uciekają. Zdobywałem mnóstwo informacji od zarejestrowanych i nieformalnych informatorów. Tutejsza jednostka wywiadu kryminalnego zaczęła mnie zauważać.

Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie jeden z funkcjonariuszy tej jednostki z prośbą, bym przyszedł do biura na pierwszym piętrze West End Central. Bernard, młody posterunkowy, miał cięte poczucie humoru i umiejętność wysławiania się, jakiej przedtem nigdy nie widziałem u żadnego policjanta. Został moim bliskim przyjacielem, a na pewnym etapie mojej kariery – moim szefem. Czekał na mnie

przed drzwiami biura zamkniętymi, co było niezwykle, na zamek cyfrowy. Na drzwiach widniał odręczny napis zakazujący wstępu.

– Cześć Christian – powiedział Bernard. – Potrzebujemy od ciebie przysługi.

– Jasne – odparłem.

Bernard otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka. Rozejrzałem się po niewielkim pokoju. Na ścianach wisiały zdjęcia przestępców; niektórych znałem ze swoich patroli w Soho. Jedną ze ścian zakrywała biała tablica z ponad siedemdziesięcioma nazwiskami. Okna były zasłonięte przez półki z papierami.

– Od kilku miesięcy prowadzimy w Soho tajną operację przeciwko handlarzom narkotyków – powiedział Bernard. – Ani słowa nikomu, zgoda?

– Zgoda – potwierdziłem nieco onieśmielony.

– Wiem, że w tym tygodniu pracujesz na noc, a my potrzebujemy kogoś godnego zaufania, aby upewnić się, że nasz sprzęt działa bez zarzutu.

No, no! Byłem pod wrażeniem i ogromnie ucieszyło mnie, że powierzano mi takie zadanie. Do tej pory nie miałem nic wspólnego z tajnymi operacjami. Zupełnie nie wiedziałem, co robią rozmieszczeni w Soho policjanci, by dostać się do około siedemdziesięciu handlujących tam narkotykami osobników. Uznałem, że tak czy inaczej nie powinienem zadawać zbyt wielu pytań i uważnie słuchałem instrukcji Bernarda. W tych sprawach byłem przecież nowicjuszem.

Bernard poprosił, bym poszedł do miejscowego hotelu i wręczył mi kartę do drzwi do pokoju na ostatnim piętrze. Wyjaśnił, że w pokoju znajduje się duża ilość sprzętu technicznego i że ktoś musi wejść tam około czwartej rano i wyłączyć sprzęt z prądu.

Speszony, lecz zaintrygowany, zgodziłem się. Przed świtem ostrożnie włożyłem kartę w drzwi nędznego pokoju hotelowego. Karta kliknęła, pchnąłem drzwi, wszedłem. W pokoju, opróżnionym ze zwykłego hotelowego wyposażenia, stało mnóstwo monitorów telewizji przemysłowej, na każdym widać było inny fragment znajomych ulic Soho. Jezu, pomyślałem. Ukryte kamery śledziły wszystko. Przed monitorami leżał panel sterowania z dwoma lub trzema joystickami, dzięki czemu użytkownik mógł do woli robić zbliżenia, ustawiać obraz pod kątem albo na ujęcie panoramiczne. Do systemu było również podłączonych kilkanaście magnetowidów, upchanych na zasłanych łózkach piętrowych, gdzie leżały też pudła z zapisami z obserwacji, baterie do radia oraz puste butelki po napojach energetyzujących. Oszołomiony wyłączyłem sprzęt z prądu, jak prosił Bernard. Zamknąłem za sobą drzwi i nikomu nie wspomniałem ani słowa.

Dopiero lata później dotarło do mnie, jak skomplikowana jest tego rodzaju operacja i jak wiele ciężkiej pracy wymaga nie tylko jej przeprowadzenie, lecz także

utrzymanie wszystkiego w sekrecie przed gliniarzami, takimi jak ja. Sądziłem, że wiem wszystko o tym, co dzieje się w Soho. Myliłem się.

Mniej więcej w okresie, gdy przeprowadzano tę operację, dla mnie wówczas nieco tajemniczą, grube ryby podjęły decyzję, że jednostka Soho zostanie przeniesiona do wydziału kryminalnego w West End Central, większego, którego funkcjonariusze nosili cywilne ubrania i zajmowali się wszelkiego rodzaju przestępstwami, a przede wszystkim ulicznymi napadami rabunkowymi, kradzieżami z włamaniem i handlem narkotykami. W wydziale pracowali ludzie, którzy wykonywali tego typu robotę od trzech czy czterech lat, ja zaś chciałem zostać jednym z nich. Niektórzy mieli długie włosy, nie golili się, ubierali się niechlujnie i w ogóle byli odjazdowi.

Typowym ubiorem gliniarza pracującego w cywilu – nie tajniaka – była kurtka North Face, niebieskie dżinsy i buty Timberland. Jeden czarny gość miał krótkie dredy.

Przez następny rok byliśmy częścią tego większego zespołu i nadal pracowaliśmy na ulicach. Mimo że spędzaliśmy dziewięćdziesiąt procent czasu w cywilu, formalnie wciąż byliśmy glinami mundurowymi, nie detektywami, i w każdej chwili mogliśmy zostać odwołani do służby w charakterze posterunkowych.

Zdarzyło się tak podczas zamieszek w czerwcu 1999 roku, w dniu marszu protestacyjnego przeciwko szczytowi G-8 i kapitalizmowi. Dzień zaczął się dość spokojnie. Stawiliśmy się o piątej rano; powiedziano nam, że plan zakłada powstrzymanie dużej grupy protestujących, którzy zbierali się w różnych miejscach w centrum Londynu.

Z każdą godziną dochodziły nowe wiadomości o atakach na naszych kolegów. Doprowadzało nas do furii, że nie możemy zareagować z własnej inicjatywy, tak jak normalnie by się stało. Siłami policyjnymi dowodził oficer, którego sygnał wywoławczy brzmiał „Silver”. Narzekaliśmy, krzyczeliśmy, biadoliliśmy naszemu sierżantowi, że nie rozmieszczono nas odpowiednio, ale dopiero o godzinie pierwszej po południu usłyszeliśmy przez radio wiekopomny rozkaz: „Od Silvera do wszystkich jednostek – przygotować się!”.

Oznaczało to, że wreszcie skończyło się czekanie i ruszamy do akcji. Wskoczyliśmy z furgonetki przed oknami Pizza Hut i na oczach zdziwionych klientów zaczęliśmy zakładać ochraniacze, kamizelki kuloodporne, rękawiczki, kominiarki i hełmy. Przynajmniej mogliśmy pomóc naszym kolegom. Adrenalina szalała, a testosteronem można by napełnić bak – tak byliśmy wszyscy nabuzowani.

Wjechaliśmy w sam środek zamieszek. Na Queen Victoria, naprzeciwko salonu wystawowego Mercedesa, w pobliżu Mansion House, zebrała się grupa protestujących. Autobus przed nami jakoś odjechał i wtedy się zaczęło. Ludzie

obskoczyli nasz wóz. A my musieliśmy ochronić strażaków, którzy znaleźli się pod obstrzałem. Robili, co w ich mocy, by odpędzić tych błaznów od policyjnego autobusu, ale za swoje wysiłki obrywali kijami, cegłami, butelkami. Zdołaliśmy opanować sytuację z niewielką pomocą pałek, lecz gdy wycofywaliśmy się do samochodu, nastrój tłumu nagle gwałtownie się zmienił. Zanim dotarło do mnie, co się dzieje, tłum oddzielił od naszej grupy mnie i jeszcze jednego policjanta. Nie miałem wątpliwości, że ten facet, Marvin (mój późniejszy przełożony), pomyślał w tej chwili to samo co ja: „O, cholera!”.

Tłum przestał zachowywać się jak banda rozłoszczonych osobników, zjednoczył się. To było przerażające. Zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, przez głowę przemknęła mi myśl, że ci ludzie rzeczywiście chcą mnie zabić.

Próbowałem wycofać się do miejsca, gdzie, jak sądziłem, znajdował się autobus. Tłum napierał ze wszystkich stron – wydawało się, że rozerwą mnie na kawałki – zacząłem więc ostro atakować, desperacko usiłując wywalczyć trochę przestrzeni między sobą a napastnikami. Przerażony do granic, biłem na oślep. Pewien gość po mojej prawej stronie miał w jednej ręce kask motocyklowy, a łom w drugiej. Zanim zdążył zamachnąć się na mnie, Marvin, znajdujący się przy moim prawym boku, grzmotnął go tak, że facet padł na ziemię. Reszta naszej grupy nagle ruszyła do akcji i odciągnęła osobnika z łomem. Jakoś zdołaliśmy wyjść z opresji bez szwanku. Cały incydent nie trwał nawet minuty, ale bałem się straszliwie.

Następnego dnia odwiedziłem siostrę, która miała właśnie gości – tłumek lewicowych naprawiaczy świata, udających że mówią cockneyem, opitych winem nicponi. Wszyscy uważali rozruchy i przemoc za usprawiedliwione i twierdzili, że policja nadużyła siły, co wprawilo mnie w furję; do dziś nie potrafię myśleć o tym spokojnie. Jak ci zadufani w sobie idioci śmiało opowiadać takie brednie? Naprawdę robiłem w gacie ze strachu i na serio myślałem, że umrę.

Rok później zamieszki majowe były równie gwałtowne, lecz nie tak przerażające, ponieważ tym razem policja się przygotowała – nie nastawialiśmy się na akcje z pałkami, natomiast niezwykle sprawnie otaczaliśmy agresywne grupy. W tym czasie przestałem już wyglądać jak typowy mundurowy glina. Przed operacją zebraliśmy się wszyscy w pobliżu pałacu Buckingham, gdzie nas nakarmiono – nazywano to „karmieniem operacyjnym” – a my wszyscy musieliśmy wyglądać jak nieboskie stworzenia. Prezentowaliśmy się naprawdę niechlujnie. Jeden z nas miał włosy związane w kucyk, ja nie goliłem się od sześciu dni, Duży Eddie nosił dredy. Nie byliśmy typowymi gliniarzami. Pamiętam, że gdy staliśmy w kolejce po jedzenie, pewien policjant z komisariatu gdzieś w Bromley popatrzył na nas i powiedział do swojego zezowatego kumpla:

– A więc to jest ta cholerna brygada do walki z przestępczością z West Endu.

Uśmiechnąłem i się pomyślałem: Jesteś po prostu zazdrosny, stary.
Niedługo miałem zacząć pracę jako tajny agent.

Starsky i Hutch

Na ziemię, do cholery! – krzyknąłem, przeklinając w duchu swój nałóg, czyli dwadzieścia wypalanych co dzień papierosów.

Clarence, cuchnący kokainista, ze wszystkich sił próbował wyrwać się z mojego uścisku, gdy usiłowałem zmusić go do położenia się na ziemi.

Mój kolega Adrian uderzył go w nogę, krzycząc, żeby się położył. Clarence, choć zajęli się nim policjanci, nie otworzył ust; trzymał je mocno zaciśnięte, desperacko próbując zatrzymać znajdującą się w nich kokainę, którą my chcieliśmy mu odebrać. Odpychał mnie, lecz Adrian podciął mu nogi i obaj padliśmy na ziemię. Znalazłem się na górze, z nosem na przepoconej, śmierdzącej bluzie od dresów Clarence'a. Wciąż dysząc, zdołałem przewrócić ćpuna na plecy, aby przyszpilić go do podłoża. Adrian klęczał mu teraz na głowie, usiłując chwycić jego młóćące powietrze ręce.

– Złapię go za ramiona, ty wyciągaj prochy – rzuciłem do Adriana i siedząc okrakiem na plecach Clarence'a, chwyciłem go za nadgarstki.

Adrian skinął głową i zaczął na siłę otwierać usta narkomana za pomocą swojego radia, jednocześnie naciskając na nerw za uchem naszego więźnia – sztuczkę tę miał opanowaną do perfekcji – i krzycząc:

– Wypluj te narkotyki!

Mocując się z przegubami Clarence'a, zdołałem zdjąć z pasa kajdanki i zacząłem je zakładać.

W ustach mi zaschło, z wysiłku nie mogłem złapać oddechu. I wtedy coś mnie uderzyło z taką siłą, jakby najechał na mnie autobus. Runąłem jak długi, kajdanki zabrzęczały na kocich łbach Moor Street.

Wylądowałem na jezdni. Wstałem, próbując zrozumieć, co się tu dzieje. Kajdanki leżały kilka metrów dalej, u stóp jakiegoś turysty, który, jak się zorientowałem, wszystko filmował. A potem ktoś złapał mnie z tyłu i rzucił na ziemię. Kątem oka zauważyłem policyjne mundury i odbicie niebieskich świateł w witrynie sklepu.

Policjant, który mnie powalił, teraz brutalnie stawiał mnie na nogi.

– Jestem w pracy. Pracuję, ty pieprzony ciulu – protestowałem rozzłoszczony, jednocześnie wyciągając z tylnej kieszeni legitymację policyjną i wymachując nią, by wszyscy mogli zobaczyć.

– Cholera, przepraszam, stary – powiedział policjant. – Po prostu myśleliśmy, że

się bijecie.

Wskazał na Clarence'a, najwyraźniej zatrzymanego, który do tego czasu zdążył już połączyć swoją kokainę. Policjant był z TSG (Territorial Support Group, Terytorialnej Grupy Wsparcia), jednostki Met, której zadaniem było między innymi tłumienie zamieszek. On i jego koledzy nie znali Adriana ani mnie, nie byli na swoim terenie, mogłem więc zrozumieć, dlaczego interweniowali, gdy dokonywaliśmy zatrzymania.

Gdy ponury ruszyłem podnieść kajdanki z rynsztoka, usłyszałem, jak Adrian wzywa przez radio karetkę, która miała zabrać Clarence'a do szpitala. Oznaczało to, że dzięki cholernej TSG będzie mnóstwo papierkowej roboty.

Podszedł do nas sierżant i jeszcze raz przeprosił.

– Wy dwaj sami wyglądacie jak para pieprzonych narkomanów – tłumaczył.

Lekko tylko urażony, uśmiechnąłem się do siebie. Długowłosi, z trzydniowym zarostem, w skórzanych kurtkach i brudnych dżinsach z pewnością nie prezentowaliśmy się jak gliny.

– W porządku, sierżancie – odparłem. – Jestem do tego przyzwyczajony.

Odkąd zacząłem pracować z Adrianem, tego rodzaju sytuacje zdarzały się bardzo często.

Adriana poznałem, gdy byłem jeszcze mundurowym, zanim wstąpiłem do jednostki Soho. Nie rozmawialiśmy wówczas wiele. Pochodził z północy, był arogancki, hałaśliwy i szczery do bólu. Nie lubił słuchać przełożonych i był nieco ekscentryczny. Prawdę mówiąc, wydawał się bezczelny i zbyt pewny siebie, ale miał w sobie coś intrygującego. Nosił mundur, podobnie jak pozostali policjanci, miał jednak mnóstwo tatuaży, pokrywających niemal całe jego ramiona, oraz nastroszone włosy, niespotykane u gliniarza. A do tego nosił kolczyki i inne świedelka i wszędzie był poprzekłuwany. W zespole pełnym sztywniaków przestrzegających przepisów wydawał się całkowicie nie na miejscu. Niektórzy uważali jego wygląd za dziwaczny, ale niezbyt go to obchodziło. Wstąpił do policji około siedem lat wcześniej niż ja, poprzednio pracował w obyczajówce, zajmując się prostytutkami i młodocianymi uciekinierami.

Z obyczajówki przeszedł do wydziału kryminalnego. Zostaliśmy partnerami i szybko przekonałem się, że jest w porządku. Nie wiedziałem, jaki będzie miał wpływ na moją karierę, a w konsekwencji i na życie. Gdy go poznałem, wydawał się bratnią duszą. Przypuszczałem, że – podobnie jak ja – niekoniecznie jest najlepszym gliniarzem na świecie, pracował jednak ciężko i z zapałem. Od czasu do czasu potrzebował po prostu kopniaka w tyłek – to go motywowało, ja zaś zyskiwałem w takich razach uznanie jako specjalista od kopniaków motywujących. Gdy zaczęliśmy pracować razem w Soho, bardzo szybko pozostawiono nas samym sobie,

ponieważ bardzo regularnie dokonywaliśmy aresztowań. Może brzmi to dziwnie – jestem pewny, że wszyscy wyobrażają sobie, iż na tym polega praca policjanta – proszę mi jednak wierzyć, że nie zawsze tak jest. Wielu gliniarzy unika aresztowań. Niektórzy nawet się do tego przyznają. „To mnie nie kręci”. W porządku. Inni są po prostu nieudolni. Nie widzą tego, co powinien dostrzegać dobry gliniarz.

Poruszaliśmy się z Adrianem po Soho, jakby ta dzielnica należała do nas. Namierzaliśmy dilerów narkotykowych, ich klientów, drobnych złodziejasków i wszelkiego rodzaju przestępców działających na ulicach. Najczęściej była to brudna robota. Nie raz tarzaliśmy się po ziemi z jakimś ćpunem, próbując odebrać mu ukryty zapas narkotyków.

Dobrze nam się razem pracowało, rozumieliśmy się nawzajem, dzięki Adrianowi wyćwiczyłem swoje „magiczne oko”. Adrian polegał na mnie w kwestii, kogo warto śledzić i kogo szukać. Tworzyliśmy zgraną parę, co umacniało naszą reputację.

Działaliśmy i myśleliśmy podobnie, a wkrótce zaczęliśmy się nawet tak samo ubierać. Zwyczajowy „mundur” cywilnego policjanta – kurtki North Face, wyprasowane levisy i buty Timberland – zamieniliśmy na stare buty Nike, brudne dżinsy z second-handu i skórzane kurtki z lat siedemdziesiątych. Chodziliśmy nieuczescani i nieogoleni, a naszymi narzędziami pracy były radia i starego typu kajdanki z łańcuchem. Mieliśmy siatkę informatorów, znaliśmy wszystkich w Soho i wszystko wiedzieliśmy o tym miejscu. Zwracaliśmy na siebie uwagę, zarówno wśród policjantów, jak i na ulicach, nie chodziło jednak o popisywanie się. To działało. Codziennie aresztowaliśmy przestępców i staliśmy się znani – przynajmniej na komisariacie i wśród tutejszych kryminalistów.

W pierwszych tygodniach pracy z Adrianem wielokrotnie byłem powalany na ziemię zarówno przez policjantów, jak i przechodniów, ponieważ wyglądałem jak opryszek. Pewnego razu pędziłem Shaftesbury Street, ścigając jakiegoś drobnego kanciarza czy ćpuna, a za mną biegło dwóch mundurowych gliniarzy. Zupełnie jak na słynnym zdjęciu z „Guardiana” z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, przedstawiającym białego gościa, czarnego gościa i policjanta w mundurze, cała trójka biegła ulicą. Powszechne było błędne przekonanie, że policjant gonił czarnego faceta, który w rzeczywistości był gliną w cywilu i ścigał tego samego chuligana. Próbowałem właśnie włączyć radio, by uprzedzić Adriana, że kogoś gonię, gdy hiszpański turysta zauważył zamieszanie i uznał za swój obywatelski obowiązek uniemożliwienie złodziejowi ucieczki. Kłopot w tym, że uznał, iż gliniarze ścigają mnie, i od razu przewrócił mnie na ziemię. Padłem na środku ulicy. Facet, którego goniliśmy, zwiął. Turysta bez końca przeproszał. *C'est la vie.*

Taką cenę płaciło się za największą liczbę aresztowań na komisariacie. Adrian i ja stawaliśmy się duetem nie do pokonania. W tutejszym środowisku dilerów

narkotykowych już wcześniej mówiono o nas „Starsky i Hutch”. Szybko zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi i niemal wszystko robiliśmy razem, w pracy i prywatnie. To były szczęśliwe czasy, żyło nam się jak w filmie.

„Skakanie” na dilerów narkotykowych – tak nazwaliśmy schwytanie ich, zanim zdążyli połączyć swój towar – opracowaliśmy do perfekcji. Ci goście często nosili w ustach od pięciu do pięćdziesięciu działek koki, a przyłapani nie wahali się ich połączyć. Obmyśliliśmy sposoby nakłaniania ludzi do otwarcia ust poprzez naciskanie, oczywiście delikatne, zakończeń nerwowych i inne tego typu działania. Nazywałem to technikami ekstrakcji narkotyków. Nazwa się nie przyjęła, ale sposoby działały, nawet jeśli nie zawsze kończyły się sukcesem.

Zatrzymywani zawsze stawiali opór, z potyczek wychodziliśmy poranieni i posiniaczeni. Nie mogliśmy bić się tak jak oni, czasem trzeba więc było czterech policjantów, by obalić jednego faceta. Wyglądało to brzydko, nieprzyjemnie, lecz sytuacja zawsze była pod kontrolą. Tylko celnicy mieli prawo zatrzymać kogoś i przeszukać, w tym zajrzeć podejrzanemu w usta. My musieliśmy najpierw – aby mieć pewność, że działamy w granicach prawa – aresztować dilerą, aby potem go zrewidować. Byliśmy pionierami, wiele stosowanych przez nas wówczas metod postępowania z dilerami narkotykowymi sprawdza się jeszcze dziś. Obecnie ci goście bardzo rzadko trzymają narkotyki w ustach, a jeśli to robią, chodzi o trzy lub cztery działki, a nie pięćdziesiąt.

Pewnego razu omal nie doszło do śmierci podczas zatrzymania. Byłem na ulicy w mundurze wraz z komisarzem, szefem naszego komisariatu. Naprawdę miły człowiek, bardzo energiczny, lubił Adriana i mnie. Towarzyszył nam mundurowy policjant, patrolujący Soho Square. W naszym kierunku zbliżał się czarny facet. Nic nie mówił, nie zrobił nic podejrzanego. Mundurowy glina i ja spojrzeliśmy na siebie bez słowa. Wiedziałem, że ten człowiek jest handlarzem narkotyków i byłem gotów założyć się o miesięczną pensję, że ma w ustach prochy. Uciekał wzrokiem w innym kierunku, a może drżały mu usta, dość że zacząłem coś podejrzewać.

Natychmiast rzuciliśmy się na niego. Miał w ustach narkotyki, ale nie zamierzał ich wypluć. Gdy próbował je połączyć, utkwily mu w gardle. Zaczął toczyć pianę z ust, z trudem oddychał. Jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Przestał oddychać. Nie mieliśmy pojęcia, co robić, jednak na szczęście tuż przed rzucając się na niego zadzwoniliśmy po pomoc. Nadszedł wóz policyjny, prowadzony przez kierowcę, który tak się złożyło, był również sanitariuszem. Kierowca zastosował chwyt Heimlicha, diler zwiymiotował, a naszym oczom ukazało się piętnaście grudek cracku. Handlarz pojechał prosto do szpitala.

Pamiętam wyraz twarzy komisarza. Pobladł. Wyglądał tak, jakby żegnał się już z własną karierą i to tylko dlatego, że chciał być równym gościem i wyszedł na ulicę

z dwoma idiotami. Niepotrzebnie się denerwowałem. Wszystko skończyło się dobrze.

Któregoś wieczoru wstawiony Adrian zabawiał grupę naszych kolegów opowieściami o swoich brawurowych wyczynach z czasów, gdy pracował jako TPO, spec od zakupów kontrolowanych. Nie miałem pojęcia, że istnieje takie zajęcie. Adrian wyjaśnił, że wyszkolony TPO kupuje od dilerów małe ilości narkotyków, aby zebrać dowody potrzebne do postawienia tymże dilerom zarzutów. Niewiele osób wiedziało, że dzieją się takie rzeczy. Słuchając wspomnień Adriana o tym, jak posługiwał się sprytem przy kupowaniu cracku na ulicach północnego Londynu lub wychodził cało z trudnych sytuacji, byłem oszołomiony. Dowiedziałem się, że z tego właśnie powodu grube ryby pozwalały mu na tatuaże i piercing – dzięki temu mógł łatwiej wtopić się w środowisko, które infiltrował.

Jeden z obecnych w klubie sierżantów powiedział do mnie:

– Christianie, jesteś wychudzony i wyglądasz niezdrowo jak ćpun. Może powinieneś to zrobić!

Wywołało to wybuch śmiechu; uznano, że sierżant robi sobie jaja. Pomyślałem jednak, że to wspaniały pomysł, i zacząłem ostrożnie badać możliwości zostania TPO. Wiedziałem, że trzeba złożyć podanie do wydziału tajnych operacji, SO10, i czekać na odpowiedź w sprawie szkolenia.

Adrian również przeszedł szkolenie, bardzo trudne, po którym wybierano kandydatów na tajnych funkcjonariuszy (UCO). Uważano, że stoją szczebel wyżej od TPO; działali w zupełnej tajemnicy i posługiwali się różnymi tożsamościami, infiltrując gangi, kupując broń i duże ilości narkotyków. Mój przyjaciel złożył podanie o przyjęcie na kurs z zakresu prowadzenia tajnych operacji.

Zafascynowany od razu uznałem, że chcę robić to samo. Interesował mnie zwłaszcza kurs dla TP, ponieważ sądziłem, że nadaję się do tego rodzaju pracy na ulicach. Skoro Adrian zdołał go ukończyć, mnie też się uda.

Poczytałem o SO10 i próbowałem dowiedzieć się czegoś o tym wydziale od doświadczonych detektywów z komisariatu. Niewielu z nich mogło udzielić mi informacji. Najwyraźniej ten wydział Met był rzeczywiście tajny. Sprawiało to tylko, że tym bardziej mnie pociągał.

Szukałem informacji wszędzie i w końcu znalazłem książkę o Met – miała chyba tytuł *Scotland Yard* – w której opisano każdy wydział. Pamiętam, jak niecierpliwie przeglądałem zawartość i znalazłem rozdział pod tytułem *SO10 – Tajne Operacje*. W przeciwieństwie do pozostałych liczył pół strony i podano w nim tylko, że SO10 jest najbardziej tajną jednostką Met, prowadzącą tajne operacje i szkolenia. Poza tym prawie żadnych informacji. Intrygujące! Bardzo chciałem się tam dostać.

Pogadałem z Bernardem, tym, który przed laty zlecił mi wykonanie zadania dla

jednostki wywiadu kryminalnego. Bernard skontaktował mnie z Johnem, gościem zajmującym się wszystkimi TPO i przydzielającym ich do poszczególnych operacji. Po krótkiej rozmowie John wręczył mi dwadzieścia pięć stron formularzy do wypełnienia. Przystudiowałem je dokładnie, wypełniałem przydługi kwestionariusz podania przez kilka tygodni, syjąc zabawnymi anegdotami, wychwalając się, a nawet wspominając o sobie jako o znanej w Soho „osobistości”. Myślałem, że wodolejstwo zrobi wrażenie na grubych rybach z SO10.

Zadowolony z napisania kawałka pierwszorzędnej literatury oraz z podpisu mojego komisarza na formularzu podania, ochoczo pogałem do New Scotland Yardu (powszechnie zwanego „Yardem”). Kurczowo ściskając w ręku podanie o przyjęcie na TPO, czułem się w pewnym sensie kimś ważnym. Przeszedłem nijakim korytarzem na ostatnim piętrze i znalazłem dyskretne wejście do świata, którego częścią pragnąłem zostać. Przylepiona do drzwi karteczka wielkości pudełka zapalek informowała tylko: „SO10”. Zza tych drzwi, przypominających wrota do stajni, dochodziły krzyki i śmiech. Górna ich połowa była lekko uchylona, dolna – zamknięta. Ostrożnie zapukałem w górną połowę, która została gwałtownie otworzona przez wielkiego faceta, brutala o krótkich rudawych włosach i twarzy pokrytej plamami. Wyglądał tak, jakby jadał na śniadanie drobnych gliniarzy z wyższych sfer i sądząc po złamanym nosie i bliznach, najwyraźniej lubił przemoc.

– Czego chcesz, do cholery? – wychrypiął mi w twarz, a w jego głosie nie dał się wyczuć choćby cień żartu.

– Hm, przyniosłem podanie o przyjęcie na TP – wyjąkałem potulnie.

– Dawaj je.

Wyrwał mi kopertę z ręki i rozdarł ją. Przeczytał kawałek wypełnionego formularza, śmiejąc się od czasu do czasu. Po krótkiej chwili spojrzał na mnie i powiedział:

– W porządku. A teraz znikaj.

– Och... Hm, to wszystko? – zapytałem. Nie wiedziałem nawet, kim jest ten osobnik. Ludzie z SO10 nie nosili identyfikatorów.

– Tak.

I zamknąłem górną połowę stajennych drzwi przy wtórze śmiechu z głębi pokoju.

Cała sprawa wydawała się zagadkowa. Było oczywiste, że SO10 jest jednostką niepodobną do żadnej innej i zacząłem naprawdę pragnąć znaleźć się w jej szeregach. Teraz jednak, jak przypuszczałem, po prostu musiałem czekać.

– Złe wieści, synu – powiedział mój sierżant kilka dni później.

– O cholera, no nie. O co chodzi? – zapytałem przekonany, że moje podanie

zostało odrzucone.

– Straciłeś kumpla – odparł sierżant, skinąwszy głową w stronę Adriana, który siedział zgarbiony nad komputerem w drugim kącie pokoju. – Ukończył kurs, jest teraz detektywem. Wkrótce zaczniesz pracę na innym komisariacie.

Podszedłem do Adriana.

– Co jest, stary? – zapytałem.

– Po prostu złożyłem podanie na UCO. Niedługo będzie kurs i muszę go zrobić.

– Wspaniale. A zrobiłeś też kurs na detektywa?

– Tak – odparł i spojrzał na mnie przepaszająco. – Zostanę po prostu przydzielony do jakiejś wstrętnej nory, takiej czy innej, prawda?

– W każdym razie gratulacje, bracie.

W głębi duszy byłem jednak smutny. Wiedziałem, że to koniec pięknych czasów. Adrian wkrótce przeniesie się do CID, wydziału kryminalnego, prowadzącego śledztwa w sprawach najcięższych przestępstw w naszym rewirze. Nie będzie już wspólnych wędrówek po ulicach.

Jabłoki

W Met funkcjonował w tym czasie wydział SO7, złożony z detektywów odwiedzających różne rejony Londynu o wysokiej przestępczości i zwalczających kradzieże, przemoc i handel narkotykami.

Niedługo po moim wstąpieniu do wydziału kryminalnego, SO7 pojawił się w śródmieściu Londynu i przez trzy miesiące prowadził tu intensywne tajne działania. My wszyscy zostaliśmy przydzieleni na czas trwania operacji do różnych małych zespołów. Trafiłem do Zespołu Czerwonego, kierowanego przez zapracowanego detektywa nazwiskiem Craig. Był chyba najbardziej napalonym na pracę gliniarzem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, miał na jej punkcie prawdziwą obsesję. Od początku dobrze nam się pracowało, a po kilku tygodniach zajmowania się w Soho różnymi drobiazgami Craig zorganizował zakup kontrolowany, aby namierzyć tych dilerów, którzy nie zamierzali dać się złapać na ulicy.

To była moja pierwsza tego rodzaju operacja, nic więc dziwnego, że byłem zaintrygowany i podekscytowany, tym bardziej że złożyłem już podanie na TPO.

Craig wykonał całą papierkową robotę, przygotował zespół, zorganizował bezpieczną bazę w Soho (w domu, gdzie kiedyś mieściły się tymczasowe kwatery dla policjantów) i zdobył niezbędny sprzęt, a nawet telewizor, termos bufetowy na herbatę i lodówkę dla naszej wygody. W zespole było paru sierżantów i komisarz, ale zasadniczo wszystkim kierował Craig.

– Pierdoły! – krzyknął. Często mu się to zdarzało.

– Co jest? – zapytał Ginger, jeden z sierżantów.

– Pierdoły, pierdoły i jeszcze raz pierdoły – powtórzył Craig. – Pieprzone szefostwo samo nie wie, czego chce.

Wydaje się, że w centrum Londynu tajne działania przeciw dilerom narkotykowym nie budziły entuzjazmu (i do dziś nie budzą), a od Craiga bez końca domagano się dogłębnych analiz i tłumaczeń, jak i dlaczego.

– Pierdoły! – krzyknął ponownie. – To wszystko pierdoły!

Podczas luźnej rozmowy tuż przedtem, nim Craig musiał przekopać się przez niewiarygodną ilość papierów związanych z operacją, poprosił mnie, bym nadał tej operacji rosyjski kryptonim – coś niezwykłego, wyróżniającego. Uśmiechnąłem się w duchu i powiedziałem:

- Dobra, już wiem. Jabłoki. Operacja Jabłoki. Brzmi dobrze, nie?
- Jabłoki? – zadumał się Craig. – W porządku, niech będzie. Ale co to znaczy?
- Pierdoły – odparłem, uśmiechając się szeroko.

Tak narodziła się operacja Pierdoły. Zespół ze zdziwieniem przyjął fakt, że szefostwo zaakceptowało kryptonim, będący w istocie przekleństwem. Na szczęście słowo to znaczy również „jabłka”, pozostawiono nam więc wolną rękę.

Otrzymałem zadanie, które nie wymagało pokazywania się na ulicach Soho, ponieważ byłem tam zbyt dobrze znany. Musiałem rozmieszczać tajniaków, rozliczać ich z toreb z narkotykami, przekazywać im pieniądze na zakupy, pilnować, by skrupulatnie i na bieżąco wszystko zapisywali i robić mnóstwo innych rzeczy. Oznaczało to, że zawsze przychodziłem do „biura” pierwszy i wychodziłem ostatni. Skorzystało na tym moje konto w banku, lecz niekoniecznie życie rodzinne. W następnych latach moje życie zawodowe układało się według tego wzorca.

Klamka zapadła, w końcu ruszyliśmy do akcji.

– Dzień dobry – zaczął Craig. – Witam uczestników operacji Jabłoki.

Kilkoro z nas zachichotało.

– Wszyscy jesteśmy tu z tego samego powodu. Krótko przedstawię plan działania. Ale najpierw chciałbym podziękować za to, że tu jesteście, wam wszystkim: SO7, TSG, funkcjonariuszom z West End Central, Charing Cross i Marylebone. Teraz przedstawię pierwszą parę TPO uczestniczącą w operacji.

Craig zamaszystym ruchem otworzył drzwi do pokoju – dawnego pokoju telewizyjnego – i weszli Mark i Scotty. Zatkąło mnie. Ci dwaj faceci wyglądali zupełnie jak brudni ćpuni. Mark Kennedy, pełnoetatowy tajny funkcjonariusz, trafił na pierwsze strony gazet, gdy ujawniono, że infiltrował obrońców środowiska naturalnego. Podobnie jak ja, uznał ostatecznie, że praca koliduje z jego zasadami moralnymi. Mark miał długie, brudne blond włosy, piercing w każdym możliwym miejscu i lekkiego zęza – wyglądał, jakby właśnie zszedł z planu *Uwolnienia*. Scotty występował w roli bezdomnego, miał krwawiące rany na twarzy i rzadkie, koszmarnie przetłuszczone włosy. Później dowiedziałem się, że robił te rany za pomocą tarki do sera, papieru ściernego lub nożyka do papieru, a na włosy aplikował sobie olej kokosowy. Nie do wiary. Fascynowali mnie ci goście, postanowiłem więc, że skorzystam z okazji i szczegółowo ich wypytam o pracę TPO i kurs, który miałem w perspektywie.

Przez trzy miesiące, noc w noc, niezależnie od pogody wysyłaliśmy Marka, Scotty’ego i innych tajnych funkcjonariuszy w najgorsze rejony Soho, z ukrytymi kamerami, znaczone banknotami i zespołami obserwatorów.

Spędziłem dużo czasu zwłaszcza z Markiem i bardzo się polubiliśmy. Przypominał trochę mnie samego – był idealistą, do tego bardzo wygadany. Często wspominał o zamiarze ukończenia ogólnokrajowego kursu dla tajnych funkcjonariuszy, a wcześniej wstąpił do tajnej jednostki zwalczającej „krajowy ekstremizm”. Z pewnością nie był przeciętnym gliniarzem. Dobrze się dogadywaliśmy, ponieważ obu nas uważano za nieco dziwnych, czyli nienormalnych. Nie wiem, czy z powodu ubioru, języka czy sposobu bycia, lecz z pewnością tak mnie postrzegano, zwłaszcza po okresie współpracy z Adrianem. Nie przeszkadzało mi to. Lubiłem – i nadal lubię – wykraczać poza sztywne normy, trochę się wyróżniać i niekoniecznie stosować się zawsze do oczekiwań otoczenia.

W czasie pracy wiele się nauczyłem od tajnych funkcjonariuszy. Niejednokrotnie znajdowali się w trudnych sytuacjach – proszono ich na przykład o włożenie do ust cracku lub heroiny – i potrafili wyjść z nich cało. W tamtym czasie zalecano tajniakom za wszelką cenę unikać trzymania narkotyków w ustach ze względu na niebezpieczeństwo infekcji i inne zagrożenia. Mark bez przerwy jadł snickersy albo jakieś równie lepkie słodczyce i w ten sposób się wymigiwał. Niektórzy używali kapsułek ze sztuczną krwią ze sklepu z zabawkami, by pokazać dilerom, że im „pękł wrzód” lub udawali, że mają inne dolegliwości jamy ustnej, by uniknąć włożenia tam narkotyków.

Nauczyłem się profesjonalnie spisywać dowody, manipulować ukrytymi kamerami tak, by uzyskać jak najlepszy obraz, skutecznie ukrywać podsłuch pod ubraniem, przenosić pieniądze na zakup narkotyków, zdobywać numery telefonów dilerów, robić kopie materiału filmowego, odpowiednio opisywać torebki z narkotykami. Było to wspaniałe doświadczenie, doskonale wprowadzające w świat tajnych operacji.

Craig był prawdziwym zawodowcem, odbywaliśmy więc szczegółowe odprawy i składaliśmy także sprawozdania (w późniejszych latach robiłem jako TPO dokładnie to samo) i omawialiśmy wszystkie kwestie.

– No więc, jest mały problem, Craig – mówił sierżant z TGS.

– Co znów, do cholery, narobiliście? – jęczał Craig.

– Zeszłej nocy rzuciliśmy się na Seana Garnera. Mówiłeś, że zdaniem wywiadowców on ukrywa crack w protezie prawej ręki?

– Hm, to prawda.

Wiedziałem, że Sean Garner był obrotnym jamajskim dilerem cracku i często mimo protezy wdawał się w bójkę przy próbie zatrzymania. Zwykle zdarzało się, że proteza mu odpadała i nie sposób było nałożyć mu kajdanków.

– Cóż, ostatniej nocy bił się jak sukinsyn i ręka odpadła. – Rozległy się śmiechy. – Powiedzieliśmy mu więc, po przeszukaniu, że zabierzemy protezę na komisariat

i będzie mógł ją dzisiaj odebrać – ciągnął sierżant.

– Dobra. I co dalej? – zapytał Craig.

– No więc, na nieszczęście, ten tu Dingo – sierżant wskazał jednego ze swych ludzi – włożył protezę na całą noc do zamrażarki z próbkami DNA.

Salwy śmiechu, gdzieś histerycznego.

– A jakąś godzinę temu Garner przyszedł po swoją rękę. Obawiam się, że złożył formalną skargę do oficera dyżurnego. Narzekał, że ręka jest zamrożona na kość!

Teraz już wszyscy skręcali się ze śmiechu.

– W dodatku – dorzucił sierżant – w papierach jest wszędzie pana nazwisko, więc skarga jest do pana.

Craig spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Wy palanty. Wy pieprzeni idioci. Poskarży się na mnie jednoręki jamański handlarz cracku, bo jego pieprzona proteza jest zamrożona na kość?

– Ale pierdoły, Craig, co? – rzucił ktoś z radosną satysfakcją.

– Owszem, pierdoły – odparł Craig, uśmiechając się nieznacznie.

Przez trzy miesiące zebraliśmy dość dowodów przeciwko ponad trzydziestu dilerom narkotykowym. Policjanci z TGS pracujący w naszym małym zespole zaczęli teraz aresztowania. Oznaczało to przeczesywanie ulic w poszukiwaniu namierzonych handlarzy – TPO musieli zwabić ich na miejsce rzekomej transakcji, czyli operacji, i wówczas wkraczali doświadczeni ludzie z TSG. W większości miejsc, gdzie sprzedawano i kupowano narkotyki, zamontowaliśmy ukryte kamery, mogłem więc z przyjemnością obserwować wraz z TPO, jak policjanci ładują wszystkich aresztowanych do furgonetki TSG.

Było dla mnie oczywiste, że po całym wysiłku włożonym przez tajnych funkcjonariuszy, po niezliczonych godzinach ciężkiej i bardzo ryzykownej pracy przy każdej pogodzie, po konieczności obcowania z najgorszymi mętami, te aresztowania sprawiały im niekłamaną satysfakcję. Wydawało się, że ich praca znalazła najlepszy z możliwych finał.

Wiedziałem już na pewno, czego chcę – jak najszybciej ukończyć kurs TP i robić to, co oni.

Jakiś czas po zakończeniu operacji Jabłoki siedziałem na komisariacie, a przede mną leżały stosy nakazów aresztowania, gdy odezwał się mój telefon. Dzwonił Adrian. Był właśnie w trakcie ogólnokrajowego kursu na tajnych funkcjonariuszy, odebrałem więc od razu w nadziei, że dowiem się czegoś więcej o tym sekretnym świecie.

– To zupełne piździelce – powiedział Adrian. W jego głosie wyraźnie dawały się wyczuć emocje.

O cholera, pomyślałem.

– No cóż, to ich strata – starałem się go pocieszyć.

– Czepiali się moich tatuaży. Nigdy nie idź na ten pieprzony kurs z tatużami. To banda kompletnych palantów.

Zacząłem myśleć, że w ogóle nie pójdę na kurs. To brzmiało jak jakiś koszmar. Adrian został wyrzucony już po pierwszym tygodniu. Przygotowywał się solidnie i był absolutnie zdecydowany zostać UCO. Wyrzucono go bez powodu. I bez wytłumaczenia – po prostu został ot tak usunięty z kursu i odesłany z powrotem do wydziału kryminalnego w West End Central.

Adrian był świetnym facetem, a do relegowania go przyczynił się prawdopodobnie w pewnym stopniu jego ekstrawertyczny charakter. Chyba oczekiwano od niego, żeby trzymał buzię na kłódkę i bez słowa przyjmował krytykę. Nie mogłem wyobrazić sobie mojego przyjaciela w tej roli.

Kilka tygodni później Adriana przeniesiono do wydziału kryminalnego w Fulham, gdzie pracował jako detektyw. Gdy przestaje się z kimś blisko współpracować, trudno utrzymać stały kontakt. Staraliśmy się oczywiście to robić, lecz nasze drogi trochę się rozeszły. Adrian ostatecznie zwolnił się z policji, ożenił z piękną Karen i wyjechał do Australii.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że przez resztę życia będę próbował odnaleźć to samo poczucie przynależności, tę samą satysfakcję i taką samą pozycję, jakimi cieszyłem się, gdy pracowaliśmy w Soho jako Starsky i Hutch. Usiłowałem znaleźć nowego Adriana. Czasami niemal mi się udawało, nigdy jednak nie było już tak samo. Tęskniłem za naszymi wspólnymi akcjami, przeżyliśmy razem tyle zabawnych chwil i w pracy, i poza nią.

Odrobinę zniechęcony, lecz mimo to jak zawsze chętny do pracy, nie ustawałem w wysiłkach, nie rezygnując jednak z marzeń o znalezieniu się w świecie SO10.

Kilka miesięcy później, ubrany w trzyczęściowy, szyty na miarę garnitur z drugiej ręki i półbuty od Paula Smitha, uśmiechałem się, gdy wagony metra dotaczały się do Colingdale, a przed moimi oczyma ukazały się ponure wieżowce ośrodka szkoleniowego Hendon.

Gdy pociąg stanął, zdenerwowany, a jednocześnie podekscytowany przygotowywałem się psychicznie do czekającego mnie tygodnia. Niedbałym krokiem wyszedłem ze stacji i ruszyłem w stronę ośrodka, zapalając tego dnia któregoś z rzędu papierosa, po czym spojrzałem na zegarek. Cholera, pomyślałem,

jestem spóźniony. Z tupotem zacząłem biec.

Upłynęło dużo czasu, nim znalazłem się na tym kursie. Gdyby mi się powiodło, co stało pod znakiem zapytania, mógłbym pójść w ślady Adriana i zarabiać na życie kupowaniem narkotyków. Tylko to chciałem robić. Ale zanim stanie się to możliwe, muszę ukończyć kurs.

Krążyły o nim dziesiątki legend, przede wszystkim o tym, jak bardzo jest trudny, odpadało około pięćdziesięciu procent kursantów. Miał jednak z mego punktu widzenia dużą zaletę – był jedynym kursem na TP, podczas którego zajęcia trwały od ósmej rano do szóstej po południu, a potem wracaliśmy do domów, podczas gdy zwykle kursanci przebywali w ośrodku dzień i noc, przez cały tydzień. Oczekiwano, że będą przypochlebiać się instruktorom – doświadczonym tajnym funkcjonariuszom z SO10 – i pić z nimi po zajęciach całymi godzinami.

Zadyszany i zasapany wpadłem do sali spóźniony około dwóch minut, co rozdrażniło instruktora, sierżanta. Z trudem łapiąc oddech, przeprosiłem i znalazłem swoje miejsce wśród ustawionych w półokrąg krzeseł; moje nazwisko widniało na przymocowanym do krzesła składanym pulpicie. Gdy opadałem na krzesło, z łoskotem upuszczając torbę pełną brudnych ciuchów, potrzebnych do odgrywania roli ćpuna, instruktor, facet o urodzie południowca, imieniem Anthony, rzucił:

– Siadaj, do cholery, proszę.

Zdenerwowany wymamrotałem kolejne przeprosiny i zebrałem się w sobie. Instruktor wrócił do wygłaszania mowy wstępnej.

Dr... Dr... Dr...

Cholera, cholera, cholera, pomyślałem.

No tak, zapomniałem wyłączyć komórkę. Co za idiotyzm. Zacząłem po omacku przeszukiwać kieszenie, desperacko próbując uciszyć ten cholerny telefon. W końcu go znalazłem. Czerwony na twarzy i zlany potem szybko wyjąłem baterię i speszony przeprosiłem Anthony'ego, którego oczy miały pioruny.

Niezły początek. Mimo zakłopotania pomyślałem jednak wtedy, że przynajmniej mnie zauważono. Głupio.

Teraz, gdy uwaga instruktorów całkowicie skupiła się na mnie, zaczęło się przesłuchanie. Nie chcąc choć raz wyjść na kompletnego kretyna, powiedziałem instruktorom, że nade wszystko uwielbiam przedstawianie dowodów w sądzie, że traktuję to jak grę w szachy z obroną i mnóstwo tego rodzaju bzdur. Chyba myślałem, że to właśnie chcieli usłyszeć, lecz moje wynurzenia utwierdziły ich tylko w mniemaniu, że jestem pyskatym dupkiem z wyższych sfer.

W czasie kursu musieliśmy odgrywać dziesiątki scenek, które miały

skonfrontować nas z rzeczywistością oraz sprawdzić naszą znajomość narkotyków i prawa precedensowego. Naszymi partnerami byli doświadczeni TPO i praca z nimi kosztowała nas wiele trudu. W późniejszych latach w ten sam sposób szkoliłem kandydatów na TPO na dziesiątkach kursów.

Program tego kursu był zbliżony do innych programów szkoleń dla tajnych funkcjonariuszy, uczono niemal tego samego, nie ulegało jednak wątpliwości, że instruktorzy z SO10 uważają policjantów od zakupów kontrolowanych za drugiej kategorii obywateli świata tajnych operacji. Ukończenie kursu na TP nie wystarczało, by zyskać wiarygodność wśród elity SO10.

Pogubiłem się podczas odgrywania pewnej sceny i byłem przekonany, że wyrzucą mnie w połowie szkolenia. Dopisało mi jednak szczęście i udało mi się je ukończyć. Jestem pewien, że ktoś, być może Craig, który występował tu jako uczestnik scenek, szepnął za mną dobre słowo. Nie było lekko, lecz wszyscy wiedzieliśmy przynajmniej, że wiele się nauczyliśmy bez konieczności przebywania w ośrodku okrągłą dobę, co było bez porównania mniej wyczerpujące, niż całotygodniowe szkolenia, jakie pomagałem prowadzić w następnych latach.

Jako jedną z ostatnich odgrywaliśmy scenę w sądzie, gdzie musieliśmy przedstawić dowody na podstawie notatek zrobionych podczas innej scenki. Gdy siedziałem z kolegami na „galerii dla publiczności”, czekając na swoją kolej na miejscu dla świadków – role sędziego, prokuratora i obrońcy odgrywali instruktorzy – zupełnie wyleciało mi z głowy, że pierwszego dnia kursu opowiadałem, jak to „uwielbiam” przedstawiać dowody. W roli obrońcy, który miał nas maglować, występował Anthony.

Kursanci (z szesnastu zostało nas dziesięciu) jeden po drugim podchodzili i przedstawiali dowody. Zadanie było proste, żaden z moich kolegów nie pozostał w ławce dla świadków dłużej niż pięć minut. Powoli zaczęło do mnie docierać, że Anthony zostawił mnie na koniec i zaplanował dla mnie „specjalną” linię przesłuchania.

Nie myliłem się. Gdy stanąłem w ławce, wszystkie zasady uleciały za okno. Tkwiałem tam około dwóch godzin, odpowiadając na absurdalne pytania Anthony’ego.

– Czy to prawda, że jest pan „osobistością” w Soho?

Związany przysięgą nie mogłem kłamać. Kłamstwo oznaczałoby usunięcie z kursu. Nikt nie chciałby widzieć policjanta krzywoprzysięzcy w roli tajniaka.

– Hm, tak jakby – odparłem.

– Tak jakby, hę? – ciągnął Anthony. – A czy pan „tak jakby” kupował narkotyki od mojego klienta? I „tak jakby” rozpoznał go z poprzednich transakcji? Czy „tak jakby” włożył pan narkotyki do torebki na dowody po powrocie do swojej kryjówki? Tak

było, proszę świadka?

Chryste, pomyślałem, cokolwiek powiem, on mnie zetrze na miazgę.

– Czy pan zna Adriana W.? – nie ustępował Anthony.

Cholera, nie mogliśmy ujawniać tego rodzaju informacji. Zwróciłem się do sędziego, który wyglądał jak stadionowy chuligan z wygoloną głową i ze złotymi pierścionkami na każdym palcu.

– Hm, odmawiam odpowiedzi na to pytanie, ponieważ może to zagrozić tajnej operacji policyjnej.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – zażądał sędzia.

– Chyba znam – wyszeptalem.

– A czy to prawda, że dzwonił do pana i mówił o instruktorach „piździelce”?

W sali rozległy się śmiechy.

– Hm, nie wiem.

Zastanawiałem się, skąd, do cholery, oni to wiedzą.

– Cóż, niewiele pan wie, prawda?

I tak to się ciągnęło przez dwie godziny. Pytania były nonsensowne i nigdy, przenigdy nie mogłyby paść w prawdziwym sądzie. Chodziło o to, abym poczuł się nieswojo. Był to po prostu odwet za moją karierowiczowską pewność siebie i bezczelne stwierdzenie, że „uwielbiam” przedstawiać dowody. Tak to działało w SO10.

Nie złamałem się jednak, udało mi się jakoś utrzymać fason, tak że gdy wyczerpany opuszczałem ławkę dla świadków, koledzy uprzejmie nagrodzili mnie oklaskami.

Krótko potem, po dwóch kawach i sześciu papierosach, zebrano nas w sali wykładowej i powiedziano, że ukończyliśmy kurs z pomyślnym wynikiem. Przybiliśmy piątki. Wszystkich ogarnęła przemożna ulga; niemal było słychać, jak z ludzi uchodzi napięcie. W głębi duszy wiedziałem, że niemal na pewno udało mi się tylko dzięki komuś, kto szepnął za mną słowo. Szczerze mówiąc, nigdy nie uważałem, że w stu procentach zasłużyłem na pomyślny wynik.

Wpadł John, facet, który miał przydzielać nam pracę, wziął od nas numery telefonów i powiedział, że dostaniemy telefon, gdy coś się znajdzie. A potem poszliśmy całą gromadą do pubu oblać sukces.

Zaledwie tydzień później John zadzwonił do mnie i oznajmił swym miłym, miękkim szkockim akcentem:

– Christianie, mam dla ciebie małą robótkę w Tottenham, jeśli jesteś wolny.

Cholera, to jest to, pomyślałem podekscytowany.

I wypowiedziałem słowa, które potem bardzo często padały z moich ust:

– Oczywiście, John. Oczywiście jestem wolny.

Z powrotem w Tottenham

Do małego komisariatu policji w północnym Londynie wkroczyłem zdenerwowany i zaniepokojony. Przedstawiłem się szorstkiemu w obejściu detektywowi, który obejrzał mnie od góry do dołu i zapytał, czy to moja pierwsza praca. Potulnie potwierdziłem, on zaś zaprowadził mnie do „biura” zespołu do walki z narkotykami. Znajdowało się tam około trzydziestu pięciu policjantów. Gdy podnosiłem na ramię torbę z ekwipunkiem i szedłem do małego przedpokoju, by się przebrać, wszystkie oczy były we mnie wpatrzone.

Przerażony, niemal bliski wymiotów, trzęsącymi się rękoma przystąpiłem do charakteryzacji, czynności rutynowej dla TP; wkrótce miałem opanować ją do perfekcji. Wyciągnąłem z torby śmierdzącą kurtkę z polaru, po czym wróciłem do pełnej zgiełku sali odpraw i niepewnie usiadłem z przodu, blisko sierżanta.

– Dobra. Chris jest dzisiaj naszym TP – oznajmił sierżant, machając na mnie ręką.
– Chris, wstań, proszę.

Wrzawa ucichła.

Wstałem i pomachałem lekko policjantom zgromadzonym na odprawie. Krępowwały mnie trochę moje brudne ubranie, makijaż (worki pod oczyma, rany na ustach), czarne paznokcie, przyprawiony nos i kolczyk w uchu.

Sierżant przedstawił nasze zadanie – kupić crack i heroinę od somalijskiego gangu z West Green Road w Tottenham. Gang działał niespełna dwadzieścia metrów od domu, w którym dorastałem.

Pamiętając o tysiącu rzeczy na raz (notebook, telefon, sprzęt nagrywający, sygnały ostrzegawcze, osoby do namierzenia, miejsce akcji, pieniądze na zakup narkotyków), przygotowałem się do wyjścia na ulice Tottenham, tym razem nie w mundurku prywatnej szkoły, lecz jako glina udający narkomana. Zostawiłem na komisariacie wszystko, co łączyło mnie z prawdziwym życiem (legitymację policyjną, portfel itd.) i stałem się pozbawionym tożsamości ćpunem.

Godzinę później, zapalając drżącymi ze zdenerwowania rękoma jednego papierosa za drugim, przechadzałem się (nonszalancko, jak mi się wydawało) po West Green Road. Mimo ciemności na ulicy panował ruch, a moje „magiczne oko” bez trudu wyłapało osoby, które najprawdopodobniej coś „serwowały”. Podszedłem do grupy Somalijczyków i naśludując śmieszny akcent „młodzieżowy” (który później stał się zmorą mojego życia), ostrożnie zapytałem, czy „może coś mają”.

Prowodyr – można go było rozpoznać na pierwszy rzut oka – najwyżej piętnastoletni chłopak, obejrzał mnie od góry do dołu i powiedział tylko:

– Spieprzaj, policjancie.

Zaśmiałem się nerwowo i spróbowałem jeszcze raz.

– Ale ja nie...

– Posłuchaj, biały chłopcze. Masz spieprzać! – huknął i wybuchnął śmiechem.

Jeden z jego koleśki splunął na ziemię. Byłem zdenerwowany, wiedziałem jednak, że za rogiem czuwa moja obstawa, a na ulicy zamontowanych jest mnóstwo kamer. Demonstracyjnie kopnąwszy stojący na ulicy worek ze śmieciami, odszedłem z udawaną wściekłością.

W głębi duszy czułem niepokój. Czy oni mnie rozpoznali? Czy moje udawanie było zbyt oczywiste? Mówiłem jak glina? Nie wyglądałem na narkomana? Czy mogli poznać po moich oczach, że kłamię? Zorientowali się, że jestem gliną?

Kupiłem piwo dla uspokojenia nerwów i przez pół godziny po prostu się włóczyłem tam i z powrotem. W końcu podszedł do mnie młody somalijski chłopak i sprzedał mi coś, co miało być kokainą, za dwadzieścia pięć funtów. Przekonany, że odniosłem sukces, i wielce uradowany wróciłem jak triumfator na komisariat.

Okazało się, że po pierwsze mocno przepłaciłem za działkę koki, a po drugie – to wcale nie była kokaina. Nie miałem czasu sprawdzić i był to kosztowny błąd. Ten chłopak sprzedał mi zamiast cracku gumę do żucia!

Następnego dnia wróciłem (po dniu spędzonym na normalnej pracy w wydziale kryminalnym w West End Central). Odbyła się taka sama odprawa, a potem też wszystko wyglądało tak samo, tylko że tym razem polowałem na chłopaka, który wcisnął mi gumę do żucia, aby go dopaść za zrobienie mnie w konia.

Nigdy go nie znalazłem. Spędziłem około półtora miesiąca, chodząc tam i z powrotem po West Green Road; często kazano mi spieprzać, sprzedawano mi kredę lub paracetamol. Nauka słono kosztowała.

Desperacko pragnąłem odnieść sukces, zauważyłem jednak, że ilekroć wychodzę na ulice jako TP, straszliwie boli mnie głowa. Ból pojawiał się zawsze, gdy czekałem na rozpoczęcie zadania i kończył dopiero po jego zakończeniu lub wówczas, gdy zorientowałem się, że noc nie będzie tak stresująca, jak się obawiałem. Czasem wychodziłem na pięć minut, niekiedy na pięć godzin. Odkryłem wówczas, że w trudnej sytuacji moja umiejętność udawania kogoś innego jest ograniczona. Nie chodziło o to, że praca była szczególnie stresująca, przyczyna leżała we mnie. Wciąż zadawałem sobie pytanie: „A co, jeśli on wie, że jestem gliniarzem?”

Sądziłem, że podobnie jak policjanci mogą mieć magiczne oko, przestępcy

również potrafią zwęszyć glinę. Może mimowolnie dawałem jakieś znaki? Robiłem coś pozornie nieznaczącego, na przykład dotykałem paska, za którym tkwiły kajdanki, a ktoś to zauważył? Albo dotykałem ucha lub miejsca, gdzie miałem urządzenie nagrywające? A może zdradzały mnie oczy? Byłem pewny, że kryminaliści potrafią wyczuć, gdy ktoś, kto powinien być zdesperowany, jak większość ćpunów, jest po prostu przerażony. Ci ludzie nie mieli skrupułów, by zabić kogoś, kogo uznali za kapusia, uderzyć pięścią lub pchnąć nożem osobę, której spojrzenie im się nie spodobało.

Opanowanie strachu było dla mnie nieustannym wyzwaniem.

Wytrwałość jednak popłaca, w końcu udało mi się nawiązać kontakt z grupą młodych Somalijczyków, którzy zignorowali mnie tamtego pierwszego wieczoru. I oto prowodyr, ten, który tak ostro wówczas zareagował, teraz dawał mi numer swojego telefonu, sprzedając jednocześnie heroinę po piętnaście funtów za torebkę (zwyczajowa cena wynosiła dychę, piątak stanowił oczywiście jego prowizję).

Ten zakup wprowadził mnie w prawdziwą euforię. To była czysta i prosta akcja na linii frontu. Nie, coś więcej – akcja za liniami nieprzyjaciela! Uwielbiałem to. Wspaniałe uczucie.

Przez cztery czy pięć miesięcy wychodziłem na ulice dziesiątki razy i za każdym razem kupowałem crack i heroinę, a potem pomagałem zidentyfikować dilerów i ustalić miejsca przechowywania towaru – a wszystko to oprócz moich zwykłych obowiązków w wydziale kryminalnym. Funkcjonowałem w ten sposób zawsze, ilekroć podejmowałem kolejne zadanie jako tajniak od zakupów kontrolowanych; mój tydzień pracy liczył siedemdziesiąt godzin. Owszem, szły za tym pieniądze, lecz wówczas pracowałem przede wszystkim dlatego, że kochałem tę robotę. Uważałem ją za ekscytującą, sprawiała mi frajdę i satysfakcję.

Wszystkie operacje muszą się jednak kiedyś skończyć, a dla wszystkich dilerów nadchodzi dzień, gdy lądują w areszcie. Ponieważ działałem pod przykrywką, nie mogłem oczywiście brać udziału w aresztowaniach. Dobrą stroną pracy w charakterze TPO było to, że otaczała nas aura tajemnicy – pojawialiśmy się nie wiadomo skąd, nikt nie wiedział, kim jesteśmy, kupowaliśmy narkotyki, zbieraliśmy dowody, a potem wracaliśmy do domu. Ciężka harówka, składanie spraw w całość i aresztowanie przestępców przypadają w udziale zespołowi operacyjnemu.

Byłem młody, pełen wigoru i entuzjazmu, nie chciałem więc czekać na następne zadanie. Mogło się trafić nie dość szybko. Praca w wydziale kryminalnym wydawała mi się nieciekawa i nudna. I nie lubiłem swojego szefa. Poszedłem kiedyś wykonać nakaz rewizji w kamizelce kuloodpornej, na której widniał wizerunek Jezusa Chrystusa, taki jak na prawosławnych ikonach. Pomysł umieszczenia go

zaczepnąłem z sequelu filmu *Shaft*, w którym nowojorski policjant grany przez Samuela L. Jacksona nosi podobnie ozdobioną kamizelkę. Szef zakazał mi ją wkładać, ponieważ mogłoby to obrazić niechrześcijan. Zdenerwowany tą absurdalną poprawnością polityczną pod wpływem nagłego impulsu postanowiłem wstąpić do policji rzecznej.

Jednostka ta, powszechnie zwana wydziałem Tamizy, była tradycyjnie przytuliskiem dla starych gliniarzy chcących dotrzeć do końca służby albo dla pasjonatów łodzi i żeglugi. W swej naiwności łudziłem się, że zdołam tchnąć trochę młodzieńczego entuzjazmu w to cieszące się niezbyt dobrą sławą miejsce. Funkcjonariusze policji rzecznej nosili mundury, detektyw zaś stanowczo nie miał tam nic do roboty.

Sądziłem, że bardzo fajnie będzie pływać po rzece w tę i z powrotem szybkimi łodziami oraz zwalczać przestępczość i terroryzm na Tamizie i innych londyńskich drogach wodnych. W policji rzecznej służył już mój bliski przyjaciel, który zachęcał mnie do wstąpienia do niej. Frank, chyba najbardziej niechlujny sukinsyn na ziemi, z przekonaniem zapewniał mnie, że mała jednostka, w której pracuje, to śmietanka wydziału Tamizy i że tamtejsi policjanci są bardzo aktywni i często wykonują zadania w cywilu na rzece i w jej okolicach.

Uwierzyłem w jego zapewnienia (dacie wiarę?) i złożyłem podanie o pracę, ku wielkiemu zdumieniu moich kolegów z wydziału. Wszyscy oni usilnie próbowali odwieść mnie od pomysłu rezygnacji – wszyscy prócz mojego ówczesnego szefa, który nie zrobił nic, by mnie zniechęcić. Nie dziwiło mnie to, ponieważ był to ten sam gość, który zakazał mi noszenia sławetnej kamizelki kuloodpornej z Jezusem.

Procedura przyjmowania mnie do policji rzecznej okazała się zaskakująco skomplikowana, obejmowała między innymi egzamin z pływania. Szczegółów nie pamiętam, ale należało przepłynąć w określonym czasie kilka długości basenu w ośrodku szkoleniowym Hendon. W pełnym umundurowaniu. Najogólniej mówiąc, moja kondycja pozostawiała wiele do życzenia, radośnie paliłem dwadzieścia papierosów dziennie. Do tego szczerze nie znosiłem pływania. Zdałem jednak egzamin, dopłynąłem sześć sekund przed czasem.

Po rozmowie kwalifikacyjnej zaproponowano mi pracę, a ja ochoczo przyjąłem propozycję. Chyba podobało mi się, że robię coś całkowicie nieprzewidywalnego, jeśli chodzi o karierę zawodową. Tego rodzaju ruch był niespodziewany i niezwykły. I typowy dla mnie, ponieważ zawsze lubiłem zbaczać z utartych ścieżek. Koledzy z wydziału kpili ze mnie, gdy pojawiłem się na komisariacie po odebraniu munduru policji rzecznej. Zignorowałem to, już bardzo chciałem znaleźć się na pokładzie szybkiej łodzi policyjnej w tym czarnym mundurze i ciemnych okularach i chłonąć słońce londyńskiego lata.

Szybko okazało się, że dużą część policjantów z wydziału Tamizy, którego siedziba znajdowała się na komisariacie w Wapping, stanowią osobnicy i osobniczki wcale nie najbardziej aktywne, a raczej w ogóle nieaktywne. Przez pierwszych kilka tygodni uczono nas prowadzenia łodzi, co sprawiało mi trudności, ponieważ w owym czasie nie umiałem nawet prowadzić samochodu. Uczyliśmy się przyływów i odpływów, wiązania węzłów, ratownictwa, przeżycia na morzu, walki z pożarami, pierwszej pomocy i wielu innych rzeczy, które zdążyłem zapomnieć. Muszę powiedzieć, że było naprawdę ciężko. Wkrótce zrozumiałem jednak, że był to jedyny okres wytężonej pracy podczas służby w policji rzecznej.

Po szkoleniu udało mi się wkręcić na krótki czas do zespołu prewencji, co było bardzo zabawne. Wraz z moim niechlujnym kumplem, Frankiem, i jeszcze jednym gościem, Jimem, którego znałem z Westminsteru, spędziłem kilka tygodni w Camden – jest tam kanał z podwójną śluzą, leżący w gestii wydziału Tamizy – w mundurze i w cywilnym ubraniu, przemykając dilerów marihuany i walcząc (czasami dosłownie) z przestępcami. To była prawdziwa policyjna robota. Dostaliśmy za nią jedno czy dwa wyróżnienia. Jim, były żołnierz piechoty morskiej, był najtwardszym gościem, jakiego znałem i dobrze było mieć go przy sobie. Często podchodziliśmy w cywilnych ubraniach do dilerów narkotykowych, a oni oferowali nam prochy. Z miejsca oznajmialiśmy, że są aresztowani – popełniali przecież przestępstwo – oni zaś, gdy tylko się przedstawiliśmy, zaczynali bójkę lub próbowali uciekać. Jim po mistrzowsku radził sobie z powalaniem tych facetów na ziemię. Większość z nich stanowili potężnie zbudowani Gambijczycy. Gdy siłą wprowadzaliśmy zatrzymanych do aresztu policyjnego, brudnych, pokrytych błotem od stóp do głów, wyraz twarzy policjantów był nie do opisania, zwłaszcza że funkcjonariusze policji rzecznej nigdy nie byli tam widywani, a już na pewno nie z aresztantami.

Te wspaniałe dni szybko się jednak skończyły, zostałem odesłany do zespołu mundurowego. Pracowaliśmy w systemie dwunastogodzinnych zmian, a naszym zadaniem było reagowanie na wszelkie incydenty na rzekach i wodzie. Mieliśmy kilka szybkich łodzi i furgonetkę.

Wyglądało to tak, jakbym wrócił do początków i znów był stażystą krążącym po Vine Street. Teraz wpadałem do kantyny w Wapping, by spotkać się z nowymi kolegami. Miałem za sobą około siedem lat służby i sądzę, że na każdym innym komisariacie uchodziłbym za doświadczonego glineę. Tu jednak, w moim nowym zespole, drugi policjant z najkrótszym doświadczeniem był w służbie od dwudziestu jeden lat. Znów zostałem cholernym nowicjuszem!

Większość z tych facetów mało lub nigdy nie pracowała na ulicach, spędzali czas przede wszystkim na wodzie.

– Och, nie będziesz tego potrzebował – zadrwił jeden z sierżantów, wskazując na broń przy moim pasie.

– Nigdy nie wiadomo, sierżancie – odparłem.

– Przekonasz się. Wychodzisz na główną przystań z Paddym i Johnno.

– Tak jest – odparłem lekko zaniepokojony.

Usiadłem przy stole obok Paddy'ego i Johnno; obu poznałem podczas szkolenia na łodziach. Jedli bez pośpiechu śniadanie. Po dwóch godzinach bezsensownego czekania, gdy już przeczytałem wszystkie gazety, zebrałem się w końcu na odwagę i zapytałem:

– Czy my kiedyś wyjdziemy?

Paddy ziewnął i przeciągnął się.

– Jasne. Ruszamy! Możesz prowadzić. – Rzucił mi klucze.

Nie znośmę prowadzić łodzi, wręcz nie cierpiałem. Zupełnie mnie nie interesowały. Woląłem patrolować rzekę – rozpoznawać kryminalistów i sprawdzać niektóre statki z Europy Wschodniej pływające w okolicach Barking.

Ponury ruszyłem do wartej 250 tysięcy funtów łodzi, ruszyliśmy. Próbowałem przypomnieć sobie te bzdety o przyptywach i odpływach i wszystko inne, lecz bez rezultatu, udawałem więc po prostu, że prowadzę samochodzik na autodromie czy coś w tym rodzaju. Gdy dopływaliśmy do mostu Southwark, zobaczyłem w wodzie przed nami potężny pień drzewa. Takie widoki były częste i wiedziałem, że pień może uszkodzić łódź, jeśli w nią uderzy. Gwałtownie skręciłem, by uniknąć zderzenia, lecz niefortunnie skierowałem łódź w stronę przęsła mostu, obok którego zamierzałem przepłynąć.

Silny nurt, niewprawne sterowanie i zepsuty bieg wsteczny sprawiły, że katastrofa była nieuchronna. Paddy, odepchnąwszy mnie na bok, desperacko usiłował wyminąć przęsło, lecz na próżno.

Łuuuuup!

Przy akompaniamencie charakterystycznego chrzęstu zgniatanego metalu, zgrzytu pękającego szkła i krzyków Johnno powoli się zatrzymaliśmy, całkiem unieruchomieni, jak się okazało.

Z przerażenia zrobiłem się czerwony na twarzy. Gdybym miał pełny pęcherz, chyba bym się zsikał. Chciałem wyjść na pokład, by zobaczyć szkody, lecz Paddy złapał mnie i rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Lepiej tam zostać, do cholery.

Po kilku zręcznych manewrach, którym towarzyszył zgrzyt stali i aluminium,

Paddy zdołał wyprowadzić łódź spod mostu. Na wodzie wokół nas pływały kawałki plastiku i rozmaite szczątki.

Chciałem zapaść się pod ziemię. Gdy wlekliśmy się do Wapping, w pędzie minęła nas na sygnale łódź ochotniczego stowarzyszenia ratownictwa morskiego. Paddy pokazał im środkowy palec.

– Cholera, na pewno wszystko widzieli – powiedział.

W drodze powrotnej żaden z kolegów nie powiedział do mnie ani słowa. Przed Wapping Johnno przejął ster, a Paddy i ja poszliśmy na pokład obejrzeć szkody. O rany. Zniknął cały system antenowy i większość pokładu. Wyglądało to okropnie. Naprawa mogła kosztować ponad 20 tysięcy funtów. Jak wszystkim w wydziale Tamizy, tak i tą sprawą zajmowano się opieszale, nie wyciągnięto wobec mnie konsekwencji. Ja sam uznałem jednak to zdarzenie za omen oznaczający koniec mojej kariery w policji rzecznej.

Załoga łodzi ochotniczego stowarzyszenia ratownictwa morskiego, która przepływała koło nas po „incydencie”, najwyraźniej wszystko widziała i wydobyła z wody naszego koguta. Wiedzeni poczuciem obowiązku przywieźli go do Wapping, gdzie w tajemnicy przede mną umieszczono go na dużym drewnianym cokole z wyrytym moim nazwiskiem!

Dzień po wypadku zgodziłem się w rozmowie z moim sierżantem, że wydział Tamizy to nie miejsce dla mnie, i złożyłem podanie o przeniesienie. Sprawy nie potoczyły się jednak szybko, musiałem więc spędzić na rzece jeszcze parę miesięcy z tymi samymi ludźmi. Czułem się przygnębiony, zwłaszcza podczas nocnych dyżurów. Do tej pory najbardziej lubiłem pracować nocą, teraz nocna służba stała się czymś okropnym. Większość kolegów urywała się i przesypiała dyżury. Rankami pojawiali się, by przekazać obowiązki dziennej zmianie, w mundurach pokrytych charakterystycznymi niebieskimi kłaczkami z koców policyjnych stanowiących wyposażenie łodzi.

Nastąpił okres beznadziejnej nudy i depresji, urozmaicany od czasu do czasu znalezieniem w rzece starych zwłok lub wezwaniem do bójki na statku, na którym odbywała się jakaś impreza. We dnie spacerowałem w tę i z powrotem po Wapping High Street, desperacko szukając okazji do działania. Zrobiło się tak źle, że sierżant musiał to zauważyć. Ostatnie trzy tygodnie służby w policji rzecznej przepracowałem w cywilu, wysłany z drugim funkcjonariuszem wydziału Tamizy do Camden (choć większość czasu i tak spędziliśmy w Soho, z dala od jakiegokolwiek rzeki), gdzie mieliśmy ścigać dilerów narkotykowych. Nieodmiennie bawił mnie wyraz twarzy wszystkich mych ówczesnych partnerów, gdy wkraczaliśmy z zatrzymanym do aresztu policyjnego. Nie mieli pojęcia, co się dzieje i często przyznawali, że po raz

ostatni mieli do czynienia z aresztantem na długo przedtem, nim wstąpiłem do policji.

Muszę jednak podkreślić, że z kilkoma wyjątkami wszyscy, z którymi pracowałem w policji rzecznej, byli naprawdę miłymi i godnymi zaufania ludźmi, choć nieco nas różniło podejście do pracy. Nierzadko przyznawali, że nie są „prawdziwymi glinami” i nie interesuje ich „prawdziwe pilnowanie porządku publicznego”. No cóż, co kto lubi. To nie była moja sprawa.

Poprosiłem o przeniesienie do Camden, dzielnicy, którą dość dobrze poznałem, pracując w policji rzecznej. Nie było tam jednak wolnych etatów, był natomiast wakat w Islington. Zgodziłem się, ponieważ chciałem definitywnie skończyć z dotychczasową nudną rutyną i po pół roku zakończyłem karierę w policji rzecznej.

W Islington pracowałem kilka miesięcy jako mundurowy, lubiłem pościgi, jazdy na sygnale i zgrany zespół, czegoś mi jednak brakowało; nigdy nie czułem się tam naprawdę dobrze. Tęskniłem, jak sądzę, za światłami śródmieścia, za atmosferą Soho. Mnóstwo czasu spędzałem wówczas, kręcąc się po Charing Cross. Rejon ten leżał poza granicami Islington, przypominał mi jednak Soho, widywałem tam takie same twarze i podobne typy ludzkie.

Skłonność do zmian mi nie przeszła, złożyłem podanie o przyjęcie do jednostki zajmującej się kradzieżami. Ten rodzaj pracy wykonywałem w West End Central, obowiązywały w niej bardziej regularne godziny, co było wygodne, ponieważ Jane znów spodziewała się dziecka. Musiałem poczekać chwilę na decyzję, desperacko potrzebowałem jednak mniej monotonnej pracy.

Wydawało mi się zagadkowe, że nie ma dla mnie pracy w charakterze TP, podczas gdy moim kolegom nie brakowało zajęcia. Zadzwoiłem więc do administratorki SO10, by upewnić się, że mają moje dane kontaktowe.

– O, cześć, Christian – powiedziała. – Myśleliśmy, że przeniosłeś się do Avon i Somerset.

Rzeczywiście rozważałem taką możliwość, lecz rzecz nie doszła do skutku. Najwyraźniej gdzieś coś nie zadziało.

– Nie, oczywiście, że nie. Wciąż jestem w Met – odparłem.

– Dobra, powiem Johnowi.

Pięć minut po skończonej rozmowie zadzwonił telefon. To był John.

– Cześć, stary – powiedziałem.

– Cześć, młody. Mam małą robótkę w północno-zachodnim Londynie, jeśli jesteś wolny.

Dzięki Bogu, pomyślałem. Oderwę się od tej nudnej codziennej rutyny.

– Tak, John. Oczywiście jestem wolny.

Zakład fryzjerski

Czego chcesz, do cholery?

Cichutki głos w mojej głowie odpowiedział w wytwornej angielszczyźnie z wyższych sfer: „Chciałbym prosić o trochę kokainy”.

Patrzyłem nieco zdziwiony na wysokiego, liczącego blisko dwa metry wzrostu Jamajczyka, który wprowadził mnie do zakładu fryzjerskiego. I zamknął za mną drzwi.

Rozejrzałem się szybko. Pomieszczenie było maleńkie i wydawało się, że raczej nie przyciąga zbyt wielu klientów. Prawdę mówiąc, nie ufałem żadnemu z tych gości z fryzjerskimi nożyczkami w rękach. Zauważyłem jednak, że nie ma tu fryzjerów ani włosów na podłodze, są tylko opary marihuany i sześciu czy siedmiu wielkich czarnych facetów.

Najbardziej niepokoiło mnie, że znalazłem się w zamknięciu. Dostrzegłem krzesło, którym dałoby się w razie napaści wybić szybę w oknie, miałem też kulę inwalidzką, której mógłbym użyć jako broni. Zdawałem sobie sprawę, że może zdradzić mnie sprzęt nagrywający – ukryty pod ubraniem walkman Sony połączony z maleńką kamerą. Walkman był rozmiaru najnowszego bestsellera Johna Grishama w wydaniu kieszonkowym i w twardej oprawie z dodatkiem dużej, grubej baterii. Nie miałem pojęcia, jakim cudem nikt go nie zauważył.

– Słuchaj no, dupku, czego chcesz?

Wyglądałem jak włóczęga. Nieogolony, brudny, śmierdzący piwem i moczem, a wszystko dzięki kolegom, którzy szczerze oblali moje przebranie odpowiednimi płynami. Tylko że zamiast piwa Stella Artois powinni byli użyć jamajskiego Red Stripe.

Tak czy inaczej pomyślałem sobie: „A jak ci się zdaje, idioto, czego ja mogę chcieć?” Ale zapytałem grzecznie:

– Macie może coś? Coś białego?

– Tak, tak, chodź, siadaj – powiedział duży mężczyzna.

Usiadłem na fotelu fryzjerskim i wyjąłem dwadzieścia z trzydziestu funtów przydzielonych na zakup prochów.

Wielki Mężczyzna wyjął z kieszeni około dwudziestu działek cracku.

– Tylko dwie, bracie – powiedziałem.

„Bracie”, słowo bardzo dobrze mi znane, było używane przez gliny jak wytrych pozwalający znaleźć się w towarzystwie z „ulicy”. Dziś wzdrygam się na myśl o tym, wtedy jednak zawsze wydawało się działać. Później zastąpiło je słowo „staruszk”, a po kilku latach, w ostatnim okresie mojej pracy, gdy byłem już mocno osadzony w tamtym środowisku, awansowałem i mogłem nawet używać słowa „ziom” – ku wielkiemu zdziwieniu mego nastoletniego syna.

Wielki Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu. Duże zęby. Zwykli ludzie uznaliby ten uśmiech za przyjacielski. Dla mnie był tylko złowieszczy. I miałem rację.

– Skąd jesteś, biały chłopcze?

– Hm, stąd.

– Człowieku, nie widziałem cię wcześniej. Jesteś Babilończyk?

Czyli z policji.

– Nie, nie, bracie – wyjąkałem. Jasne, że nie.

– Kurwa, to dlaczego masz kulę?

– Ach, bracie, zraniłem się w nogę, co nie?

(„Co nie” to wtręt od dawna bardzo rozpowszechniony wśród ludzi ulicy, a więc i wśród pracujących na ulicy policjantów).

Zagrałem swą kartą atutową – podwinąłem nogawkę spodni i zaprezentowałem clou mojego przebrania, czyli brudne bandaże spowijające łydkę, odpowiednio ozdobione, tak że wyglądały, jakby kryła się pod nimi ropiejąca krwawa rana.

Wielki Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem i ruchem ręki nakazał mi opuścić nogawkę. Wykonałem polecenie.

Wydawał się zadowolony, podał mi dwie działki cracku, a ja wręczyłem mu dwadzieścia funciaków i ochoczo ruszyłem do wyjścia. I wtedy poczułem dziwne kliknięcie i szarpnięcie w pasie.

Hmm. Na wysokości pasa „ukryty” był mój śmiesznie duży walkman video. Wiedziałem, że szarpnięcie spowodował przewód łączący walkmana z kamerą. Nie wiedziałem natomiast, że zwisał teraz między moimi nogami, na widoku, jak ogon.

Wielki Mężczyzna odryglował drzwi do zakładu fryzjerskiego, a ja wyszedłem, kuśtykając, szczęśliwy i pełen ulgi, że udało mi się nawiązać kontakt z naszymi podejrzanymi. Ostrożnie włożyłem dwie działki cracku do kieszeni dżinsów i pomaszerowałem niezdarnie bardzo okrężną drogą do swego „bezpiecznego samochodu”. Po drodze zorientowałem się przerażony, że drut zupełnie się obłuzował i jest na wierzchu. Chwyciłem go i bezceremonialnie wepchnąłem za pasek spodni

z myślą, że zajmę się nim później.

Zacząła mnie ogarniać panika. Czy to znaczy, że nie nagrałem tej jakże ważnej transakcji? Co gorsza, czy to oznacza, że banda z zakładu fryzjerskiego widziała ten drut, gdy wychodziłem? Jeśli tak, moja następna wizyta nie będzie już taka przyjacielska.

Gdy wróciłem do opuszczonego komisariatu, którego używaliśmy jako bazy wypadowej, szybko zerwałem z siebie ekwipunek, nerwowo przewinałem taśmę i włączyłem odtwarzanie. Pomodliłem się w duchu do bóstw opiekuńczych policji. No już, proszę, niech coś się pokaże. Mały ekran odtwarzacza ożył. Pojawił się Wielki Mężczyzna podchodzący do mnie. Nerwowa wymiana zadań. Potem – bingo – transakcja. Przewód musiał się zerwać dopiero, gdy wstawałem. Przynajmniej udało się zdobyć ważny dowód.

Gdyby ten jeden dowód wystarczył, byłoby po robocie. Niestety, rzadko tak się działo. Coś już mieliśmy, ale potrzeba było więcej dowodów na taśmie. A to oznaczało, że muszę tam wrócić. Raz miałem szczęście, lecz jeśli Wielki Mężczyzna lub ktoś z jego bandy zauważył zwisający ze mnie drut, następnym razem, gdy się tam pokażę, będę miał kłopoty.

Jakiś dzień później przyszła pora na następny zakup. Podczas przygotowań mocno się denerwowałem, powróciło to samo mdlące uczucie, które dopadło mnie, gdy się zorientowałem, że mogę wpaść. Miałem stargane nerwy. Mogło to zadziałać jednak na moją korzyść, ponieważ nie potrzebowałem teraz zdolności aktorskich, by dobrze odegrać rolę rozedrganego ćpuna.

Opierając się kuli, po raz drugi poszedłem do zakładu fryzjerskiego. Tym razem było tam jeszcze więcej osób, a wszystkie patrzyły na mnie groźnie, gdy wchodziłem.

Darowałem sobie towarzyskie pogaduszki.

– Dwie – mruknąłem, wystawiając dwa brudne palce.

Milczenie. Zgraja wpatrywała się w Wielkiego Mężczyznę, czekając na jego reakcję. Teraz mogłem się przekonać, jak bardzo był spostrzegawczy i ile zobaczył, gdy wychodziłem poprzednim razem.

Coraz bardziej się bałem, lecz właśnie w chwili, gdy pomyślałem, że zaraz nastąpi bardzo szybki i paskudny koniec, Wielki Mężczyzna wstał z fotela, podszedł do mnie i podsunął mi lepką dłoń, na której leżały dwie działki cracku.

Kolejny zakup załatwiony.

Przez następnych kilka tygodni wracałem w tym samym przebraniu, zawsze z pomyślnym wynikiem. A potem musiałem rozstać się z kulą. Ekipa ubezpieczająca (której zadaniem było towarzyszyć mi, w rozsądnej odległości, do zakładu

fryzjerskiego), nieustannie skarżyła się, że ze wszystkich TPO to mnie najwięcej czasu zabiera dotarcie na miejsce akcji z powodu przesadnego eksponowania chorej nogi. Ledwie mogłem w to uwierzyć. Moja sztuczka była co prawda czasochłonna, ale przynosiła rezultaty. Komisarz prowadzący sprawę był jednak stanowczy i rozkazał mi odstawić kulę, ja zaś niechętnie posłuchałem.

Mimo to kula zrobiła swoje. Stałem się już dobrze znany w zakładzie fryzjerskim i nie miałem problemów ze zbieraniem kolejnych dowodów w naszej sprawie. Po około trzech miesiącach nastąpiły w końcu aresztowania. Przeprowadzono naloty na lokale, zatrzymano wszystkich podejrzanych. Przeszukano zakład fryzjerski i podobne miejsca i ku memu zaskoczeniu znaleziono między innymi broń.

Dopiero wówczas dotarło do mnie w całej pełni, z jakiego rodzaju osobnikami miałem do czynienia. Gdyby naprawdę nabrali podejrzeń, że jestem policjantem, byłbym załatwiony. Ci goście, choć sprzedawali tylko niewielkie ilości prochów, za dziesięć czy dwadzieścia funtów, najwyraźniej mieli dostęp do broni. Przyszło mi do głowy, że jeśli by coś podejrzewali, bez skrupułów popisaliby się swymi gangsterskimi umiejętnościami. Akcja zakończyła się pełnym sukcesem, ale wyciągnąłem z niej lekcję, że zawsze konieczna jest jak największa ostrożność.

Gdy pokazano podejrzanym materiał filmowy nagrany przeze mnie w zakładzie fryzjerskim i w innych miejscach w okolicy, wszyscy oznajmili, że wydawali mi resztę, że zebrałem o gotówkę i byłem miejscowym pijakiem. Dowiedziałem się, że gdy powiedziano im, iż jestem gliną, nie mogli wręcz uwierzyć – wyraz ich twarzy wart był każdej ceny!

Zaczynałem już powoli zapominać o napięciu związanym z tym zadaniem, gdy spotkała mnie przykra niespodzianka. Po kilku tygodniach zadzwonił do mnie John, koordynator zakupów kontrolowanych, z wiadomością, że załatwił faceta z wydziału wsparcia technicznego Met, który zainstaluje w moim domu alarm. Zdumiony, zapytałem, po co. Wyglądało na to, że któryś z podejrzanych dostał zdjęcia moje i jeszcze jednego TP pracującego przy tym zadaniu (prawdopodobnie omyłkowo udostępnione obronie), zrobiono rzutkę i zebrano pięć tysięcy funtów na nagrodę za moją głowę. Pomyślałem, że to nieco przesadna reakcja; przecież sprzedano mi narkotyki wartości zaledwie kilkuset funtów. Informacja pochodziła jednak z bardzo wiarygodnego źródła i zagrożenie potraktowano poważnie. Zgodziłem się na założenie alarmu, ale bardziej przydałaby mi się broń do obrony siebie i rodziny. To byłby lepszy pomysł.

Byłem także nieco skonsternowany wiadomością, że moje życie zostało wycenione zaledwie na pięć tysięcy. Wydawało mi się, że jest warte dużo więcej!

Tak więc po wykonaniu drugiego zadania w charakterze TP miałem zainstalowany

w domu alarm i byłem człowiekiem, na którego głowę wyznaczono cenę. Witamy w świecie tajnych operacji.

Sukces oznaczał jednak, że stałem się zbyt zajęty, by siedzieć w domu i denerwować się, że płatni zabójcy zapukają do moich drzwi. W następnych tygodniach i miesiącach nie zdarzało się, bym oprócz zwykłej pracy nie uczestniczył w operacjach TP. Byłem wykończony, wyrabiałem sześćdziesiąt do siedemdziesięciu godzin tygodniowo.

John doszedł jednak najwyraźniej do wniosku, że po przeżyciach w zakładzie fryzjerskim zasłużyłem w nagrodę na coś nieco bardziej wyrafinowanego. Wkrótce znalazłem się wraz z trojgiem innych TPO w bardzo eleganckim klubie nocnym w centrum Londynu. Każdego z nas zaopatrzone w setki funtów. Każdy miał wsunąć bramkarzowi dwadzieścia funtów, aby dostać się dla części dla VIP-ów. Mieliśmy przechadzać się tam, popijając koktajle na szampanie i próbując zdobyć kokainę od prawdopodobnych podejrzanych – czyli znaleźć się w świecie odległym o lata świetlne od jamajskiego zakładu fryzjerskiego.

Nie trzeba dodawać, że podjęliśmy się tego zadania z entuzjazmem. Tym razem nie było pijaków w zasikanych dżinsach, tylko opici szampanem gliniarze. Pewnego wieczoru jedna z nas, dama imieniem Maria, przesadziła nieco z alkoholem i po zaledwie kilku godzinach musieliśmy opuścić klub. Była zupełnie zalana, nie mogła nawet utrzymać prosto głowy ani otworzyć oczu. Przypominało to scenę z któregoś z programów o „upadłej Brytanii” i szalejącym pijaństwie. Desperacko próbowaliśmy otrzeźwić Marię przed powrotem na komisariat, dosłownie wlewając jej do gardła morze czarnej kawy. Na próżno. Zakłopotani siedzieliśmy na komisariacie, usiłując napisać raporty, podczas gdy ona patrzyła tępo w nieczytelne bazgroły w swoim notatniku. Po tym incydencie musiała, jak sądzę, pójść na pewien czas na „urlop naukowy”.

Pracowałem też trochę w Haringey i Hackney i wyglądało to zupełnie inaczej niż w Soho. W tych dzielnicach budżet na operacje był ograniczony; ekipę ubezpieczającą tworzyło zamiast dziesięciu wyszkolonych obserwatorów kilku posterunkowych z miejscowego wydziału narkotykowego w cywilu.

Często operacje te polegały tylko na zakupie przez telefon. Dla mnie istny koszmar, nie cierpialem rozmawiać przez telefon i niebył dobrze sobie z tym radziłem. Dostawialiśmy listę zdobytych przez wywiadowców i informatorów numerów telefonów osób podejrzanych o handel narkotykami, po czym dzwoniliśmy do nich, aby umówić się na spotkanie i kupić prochy. Było to bardzo trudne. Zwykle padało mnóstwo pytań, przede wszystkim o to, skąd wziąłem numer. Odpowiadałem, że dał mi go Mario. Nie do wiary, ale czasami działało, najczęściej jednak słyszałem w odpowiedzi albo „Spieprzaj”, albo stwierdzenie, że mój rozmówca nie ma pojęcia,

o kogo i o co chodzi, i rozmowa się kończyła.

Zawsze dzwoniłiśmy po kilka razy pod ten sam numer, doprowadzając czasem odbierających do wściekłości. Niekiedy to oni oddzwaniali, prosząc do telefonu „detektywa posterunkowego z komisariatu Tottenham” lub coś w tym rodzaju, znali więc stosowane przez nas metody.

Gdy telefony zadziały, musieliśmy spotykać się z tymi idiotami. Nie mieliśmy pojęcia, kim oni są, jaka mają przeszłość, jak wyglądają, czy są wstrętnymi sukinsynami, czy też nie. Dzięki właśnie tej pracy wydoskonaliłem swoje „magiczne oko”. W rezultacie, gdy ktoś do mnie podchodził, potrafiłem zorientować się w ułamku sekundy, czy jest on dilerem, choć nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka.

Nie dawało się unikać odrobiny wzajemnych podejrzeń. Pierwsze spotkanie było jak krępująca randka w ciemno. Obie strony chciały jak najszybciej dobić targu i mieć to z głowy; ja – ponieważ nie wiedziałem, z kim mam do czynienia i obawiałem się, że ten ktoś może pomyśleć, iż jestem gliną, ten drugi zaś – bo nie miał pewności, czy nie jestem gliną. Te pierwsze transakcje zawsze odbywały się w pośpiechu, drugie i kolejne zwykle bywały łatwiejsze. W rezultacie z niektórymi dilerami wchodziło się w całkiem dobre relacje i nawet rozmawiało się z nimi o rodzinie, Bożym Narodzeniu, wakacjach. Jak podczas wizyty u fryzjera.

W dniu, w którym w Haringey miały zostać przeprowadzone aresztowania, spotkałem się z pewnym gościem. Jak zwykle sprzedał mi cracku za dwadzieścia funtów. Był miłym facetem, bardzo elokwentnym, mieszkał ze starą matką.

– Chris, wiesz, że cię lubię, prawda?

– Tak, oczywiście – odparłem nerwowo.

– No więc odpowiesz mi na jedno pytanie?

Boże Wszchemogący! Co teraz? Czy on chce zaprosić mnie na randkę? A może chce wiedzieć, skąd wzięłem swój podrabiany kolczyk?

– Jasne – zapewniłem.

– Jesteś policjantem?

Serce mi stanęło. Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Dlaczego pytasz? Śmieszne pytanie, ty fiucie.

– Och, wiesz, po prostu dlatego, że jeśli jesteś tajnym policjantem, będziesz musiał to powiedzieć. Tajna policja nie może kłamać, jeśli ktoś zapyta wprost, rozumiesz.

Ja również znałem tę bzdurną bajeczkę.

– Ojej – powiedziałem – nie wiedziałem o tym.

Rozstaliśmy się chwilę później. Po raz ostatni widziałem go zatrzymanego i prowadzonego na komisariat przez dwóch przysadzistych gliniarzy z Haringey. Biedny facet, zupełnie się pogubił.

Z zakupami na telefon wiązał się jeszcze dodatkowy stres, ponieważ gdy udało się umówić spotkanie, musieliśmy poinformować zespół operacyjny, który z kolei musiał szybko zająć pozycje, aby asystować przy nagrywaniu dowodów. Przy pierwszym spotkaniu z dilerem zespół ten często miał zaledwie kilka minut, by zjawić się na umówionym miejscu. Nie sposób było przewidzieć, co się wydarzy – czasami dzwoniłem do dilerów przez cały dzień bez rezultatu, a czasem trafiałem za pierwszym razem.

Zdarzało się, że pomagaliśmy policji z hrabstw w operacjach zakupów kontrolowanych. Przypominało to trochę zakupy przez telefon. Rzucano nas do obcego miasta, kazano włączyć się po ulicach i kupować jak najwięcej narkotyków. Od Sussex po Południową Walię pracowałem w najróżniejszych miastach, miasteczkach i majątkach ziemskich.

Od czasu do czasu trafiała mi się kolejna świetna robota w klubie nocnym, coś w rodzaju rekompensaty za czas spędzony na niebezpiecznych ulicach.

Od kiedy zacząłem uczestniczyć w coraz większej liczbie tajnych operacji, dręczyły mnie coraz częstsze i silniejsze bóle głowy. Składałem to na stres i wyczerpanie, ponieważ pracowałem jak szalony, łącząc codzienne obowiązki policjanta z komisariatu z działaniami w roli TPO.

Uwielbiałem nawet pracy – nawet ze szkodą dla życia rodzinnego i dla moich dzieci. Mogłem wówczas przejmować się i zajmować problemami innych, ich przestępstwami i błędami; nie musiałem myśleć o sobie.

Ale wobec tego dlaczego miałby nękać mnie stres? Uwielbiałem swoją pracę.

Kolanko

Rozpracowanie zakładu fryzjerskiego nie należało do łatwych operacji, ale okazało się niczym w porównaniu z moim następnym zadaniem.

Tym razem miałem przeniknąć do meliny narkotykowej, czyli miejsca, gdzie się kupuje, sprzedaje i zażywa crack i heroinę. Często formalny najemca domu lub mieszkania jest zmuszany do udostępnienia go dilerom; groźby przemocy są elementem codzienności. Bywa też tak, że najemca jest narkomanem, a obietnica swobodnego dostępu do prochów w zamian za użyczenie lokalu jest zbyt kusząca, by ją odrzucić.

Obiekt naszych działań stał przy spokojnej ulicy w Richmond, wciśnięty między dwa podobne budynki z epoki wiktoriańskiej. Wyglądał dość zwyczajnie. Inne domy przy tej ulicy, z roletami od Johna Lewisa i drzwiami pomalowanymi farbą firmy Farrow & Ball były typowymi siedzibami londyńskiej klasy średniej. Temu jednemu czegoś brakowało, czegoś trudnego do uchwycenia, a o tym, że dzieje się w nim coś dziwnego, świadczyły częste wizyty rozmaitych podejrzanych typków. Miejscowy koordynator straży sąsiedzkiej złożył doniesienie na policję.

Nie potrzeba było genialnego detektywa, by ustalić, co tam się dzieje. Czarni mężczyźni z Jamajki (rzadkość akurat na tej ulicy) założyli w tym domu czynny całą dobę sklepik, w którym heroiniści o ziemistych twarzach i ciężko uzależnione dziwki kokainistki mogli kupić prochy. Sprzedawcy najwyraźniej nie przejmowali się sąsiadami, choć trudno byłoby znaleźć mniej odpowiednie miejsce na tego rodzaju sklepik.

Sąsiedzi wkrótce zawiadomili policję, lecz nie na wiele to się zdało. W tym czasie w każdej gminie był mały komisariat, wydziały narkotykowe nie były natomiast w Met rozpowszechnione. Prawdę mówiąc, narkotyków nie uznawano za priorytet.

Władze gminy wolały utrzymywać, że nie mają problemu z narkotykami. Przestępstwa z nimi związane odnotowywano tylko wówczas, gdy dowiedziała się o nich policja. Jeśli się o czymś nie wie, nie ma z tym problemu. Uważałem, że zajęcie się tą sprawą ułatwi ludziom życie. Zawsze wyobrażałem sobie, jak okropne musi być życie w sąsiedztwie meliny narkotykowej. Współczułem pewnym starszym paniom, które mieszkają nad jedną z takich brudnych melin i codziennie musiały przechodzić obok zalegających na schodach ćpunów. Okropność.

Niestety, nie zawsze znajdowały się środki na pomoc takim ludziom, czasami

jednak udawało się przechytrzyć system. Gminy nierzadko otrzymywały dodatkowe fundusze na określony cel. Aby otrzymać ten zastrzyk gotówki, należało uzasadnić, że przedsięwzięcie ma związek z priorytetami gminy. Innymi słowy, by ruszyć kwestię narkotyków, zawsze należało powiązać ją z poważnymi przestępstwami, takimi jak kradzieże z włamaniem. Do zlikwidowania meliny, o której mowa, nie wystarczyło, że znaleźliśmy dziesiątki kryminalistów bywających tam co dzień. Musieliśmy wykazać, że stawiając temu kres, zmniejszymy liczbę włamań i kradzieży ulicznych w okolicy. Zazwyczaj okazywało się to dość łatwe. W tym przypadku władze gminy mogły śmiało oświadczyć, że jeśli pozbędą się meliny, spadnie liczba włamań do domów, mieszkańcy poczują się więc bezpieczniej. Wszystko to było mocno naciągane, ale pretekst do działania udało się znaleźć.

Pod uwagę należało wziąć jeszcze i fakt, że prowadzenie tajnej operacji podnosiło prestiż. Zakupy kontrolowane to było coś – zbierało się dowody, zatrzymywało przestępców i dostawało pochwały ze strony innych uczestników operacji. Wszyscy byli zadowoleni.

Od ludzi takich jak ja zależało, by sprawy potoczyły się, jak należy. Mieliśmy pracować w pięknej dzielnicy, ale pomysł wejścia do prawdziwej jaskini lwa nieco wytrącał mnie z równowagi. Był tam już kiedyś wcześniej doświadczony TPO, Victor, który wyglądał jak anorektyczny, liczący ponad dwa metry wzrostu długowłosa włóczęga, jego ponowne samotne pojawienie się tam uznano jednak za zbyt niebezpieczne.

Podczas pierwszej odprawy Victor powiedział nam, że drzwi frontowe do domu są zamykane na zasuwę i pilnuje ich potężnie zbudowany facet. Z kolei drzwi od tyłu zostały zabite na głucho, tak że ucieczka była możliwa tylko przez okna od frontu.

Zdenerwowany umocowałem na sobie kamerę, miałem też urządzenie udające telefon komórkowy, umożliwiające zespołowi operacyjnemu nasłuch. Za rogiem mieli czekać w furgonetce muskularni funkcjonariusze z oddziału prewencji, gotowi zareagować, gdybyśmy potrzebowali pomocy.

Victor podwiózł nas na miejsce akcji zdezelowanym fordem escortem. Gdyby któryś z opryszków miał środki i kontakty potrzebne do sprawdzenia tego samochodu, odkryłby, że jest on zarejestrowany na firmę regularnie zaopatrującą w samochody policję londyńską, a na ubezpieczeniu jako właściciel figuruje Met. Sprytne, co?

Kwestia samochodu specjalnie mnie nie zaprzątała, gdy przygotowywałem się psychicznie do wyprawy w nieznane. Czekano mnie coś, na co wielu gliniarzy nigdy nie miało szansy (ani może nawet ochoty) – miałem zobaczyć życie toczące się za zamkniętymi drzwiami meliny narkotykowej.

Gdy Victor zapukał do tych drzwi, na ulicy panował zupełny spokój. Otworzył

nam czarny gość po trzydziestce, w ciemnym ubraniu i czarnej czapce bejsbolowej. Rozpoznawszy Victora, skinął głową. Weszliśmy do środka.

Ruszyłem za kolegą ciemnym korytarzem, czując się trochę jak uczeń w nowej szkole albo fan Spursów w czasie meczu z Chelsea na jej stadionie – straszliwie nieswój i zakłopotany. Wiedziałem, że teraz, gdy przekroczyłem mur, moje zwykłe przebranie – brudne ciuchy, podbita futerką parka z kapturem i wymięta paczka papierosów, a także perfekcyjny makijaż – chronią mnie tylko w pewnym stopniu. Za moimi plecami odźwierny zasunął trzy solidne zasuwki. Nie miałem czasu, by się rozejrzeć dookoła. Victor zaprowadził mnie do frontowego pokoju. Mimo popołudniowej pory w pokoju panowały ciemności. W oknach wisiały sfatygowane ciemne rolety. Śmierdziało. Crackiem, papierosami, niemytymi ciałami. Siedziało tu pełno ludzi, może około trzydziestu, w różnym wieku i różnych ras. Wszyscy w stanie ruiny. Takie obrazki bardzo rzadko się ogląda, chyba że w filmach dokumentalnych lub francuskich filmach *noir*. To miejsce trzeba zobaczyć na własne oczy, a zwłaszcza poczuć jego zapach, by zrozumieć, czym ono jest. Przyprawiało o mdłości. Mimo tak wielu obecnych, nie słyszało się wrzawy, tylko ciche rozmowy między ludźmi, którzy najwyraźniej się znali. Wszystkich łączył wspólny cel: zdobyć narkotyki.

Wiedziałem, że gdyby któryś z tych zdesperowanych narkomanów nabrał co do nas podejrzeń, w najlepszym przypadku zostalibyśmy natychmiast pobici. Byłem pewny, że w ostatnim czasie każdy z tu obecnych był obiektem zainteresowania policji. Życie tych ludzi nie mogło już bardziej różnić się od mojego, tu jednak byliśmy razem.

Znaleźliśmy wolny kawałek podłogi i usiedliśmy. Zdumiało mnie, że wszystkie rozmowy krążyły wokół heroiny lub cracku. O niczym innym nie rozmawiano. Szczególne zainteresowanie budziła kwestia, kiedy nastąpi dostawa prochów. Wspaniale, pomyślałem. Musimy czekać na pieprzonego dilerę. Victor uprzedzał mnie, że tak się może zdarzyć.

Przyglądano się nam nieco nieufnie. Co bardziej gadatliwi ćpuni wypytywali nas. Kim jesteśmy? Skąd wiedzieliśmy o tym miejscu? Kogo znamy? Wyglądało to trochę jak przesłuchanie, w istocie było jednak towarzyską pogawędką, w czasie której ćpuni próbowali zorientować się w naszych znajomościach. Dręczył mnie strach, że się sypnę, powiem coś niewłaściwego, ale najbardziej się bałem, że rozpozna mnie jako glinę jakiś narkoman z Soho, który postanowił przenieść się do zachodniego Londynu. Było to całkiem możliwe. Ćpuni z Soho wiedli wędrowne życie. W półmroku trudno było jednak dokładnie widzieć i rozpoznać twarze.

Mundurowi gliniarze uważają narkomanów za męty, szumowiny godne pogardy. Ci ludzie najczęściej są sami sobie winni, było mi ich jednak bardzo żal. Lubiłem rozmawiać z nimi o futbolu, podróżach, planach na życie i na inne mało ważne

tematy, lecz oni woleli rozmawiać tylko o narkotykach. I tyle. Nikt nie opowiadał o swojej rodzinie, pracy czy o weekendzie. Mówili tylko o prochach.

Nie mieliśmy pojęcia, kiedy pojawi się diler, pozostawało więc tylko siedzieć i czekać. Zważywszy na fakt, że wraz z nami wyczekiwało tu tak wiele osób, przypuszczałem, że nastąpi to wkrótce. Myliłem się. Minuty zamieniły się w godziny. Zrobiło się nie do zniesienia. W gęstym od dymu papierosowego powietrzu unosił się dziwny odór, typowy tylko dla narkomanów. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy ujrzę jeszcze światło dzienne. Im dłużej tam siedziałem, tym większy czułem niepokój. Zorientowałem się, że w urządzeniu nagrywającym skończy się bateria, zanim będzie potrzebne. Starczała tylko na dwie godziny. A tymczasem po trzech godzinach od wejścia do meliny wciąż tam siedzieliśmy, rozmawiając o narkotykach i usiłując nie zapomnieć naszych marnych historyjek, które z założenia wytrzymałyby tylko najbardziej pobieżne sprawdzenie.

Ukradkiem wysłaliśmy esemesy zespołowi operacyjnemu, by zawiadomić kolegów, że wszystko z nami w porządku. Naśladowanie śmiesznego akcentu ulicznego, którym posługiwałem się w takich sytuacjach, wyczerpało mnie psychicznie. Na szczęście narkomani nie są mistrzami konwersacji, lecz mimo to podtrzymywanie rozmów z „braćmi” było bardzo męczące.

Upłynęła cała wieczność, nim w końcu pojawił się diler imieniem Francis, czarny facet o dość jasnej karnacji. Jeden z towarzyszących mu sługusów zaczął rozdzielać narkotyki. Victor i ja szybko kupiliśmy prochy – po dychu za działkę – i wyszliśmy. Jeśli chodzi o dowody, nie mieliśmy nic. Jediną pociechę stanowił fakt, że dostaliśmy się do meliny i zdołaliśmy uniknąć zdemaskowania. Przetarliśmy ścieżkę, mogliśmy wrócić innego dnia.

W następnych kilku tygodniach wracaliśmy tam wiele razy i niemal zawsze zastawaliśmy taką samą scenę – dziesiątki desperatów beczynnie wyczekujących na swoją działkę. Różny był tylko czas, jakiego potrzebował Francis, by dotrzeć do tego miejsca.

Wkrótce zespół operacyjny uznał, że pora zlikwidować melinę. Zidentyfikowano głównych graczy, chciano jednak, by nalot został przeprowadzony w trakcie sprzedaży, co oznaczało, że Victor i ja musimy być w środku, gdy nastąpi uderzenie.

Ostatnia odprawa była bardzo ekscytująca; wiedzieliśmy, że dilerzy zostaną zatrzymani, a melina zlikwidowana na dobre. A ja będę w samym środku tego! Komisarz przedstawił plan działania czterdziestu zgromadzonym policjantom, wśród których większość stanowili funkcjonariusze z wydziału prewencji oraz tutejszego wydziału antynarkotykowego. Ci pierwsi mieli specjalne kombinezony ochronne, umożliwiające przejście przez wybite okna. Planowano zajęcie domu z całkowitego

zaskoczenia i w ciągu paru sekund.

Bardzo mi się to podobało. Czułem przypływ adrenaliny, nic nie zapowiadało zbliżającego się jak zwykle bólu głowy, przy wcześniejszych wizytach w tym miejscu bardzo intensywnego. Być może głowa nie bolała mnie dlatego, że zespół operacyjny pomyślał o wszystkim. Wręczono mi gąbkową piłkę, taką, jaką w dzieciństwie bawiłem się w domu, z poleceniem, bym po dotarciu na melinę zatkał nią odpływ w toalecie. Miało to uniemożliwić Francisowi i jego kumplom spuszczenie towaru z wodą podczas nalotu. A przynajmniej nie dopuścić, by towar przeszedł przez kolanko.

Uważałem, że plan jest dobry, i podniesiony na duchu odprawą oraz świadomością, że za rogiem czuwają dziesiątki krzepkich gliniarzy z wydziału prewencji, przystąpiłem do wykonania zadania ze sporą dozą pewności siebie i wcale pokąsną wypukłością w spodniach (wspomniana wyżej piłka gąbkowa).

Nalot miał się odbyć w biały dzień. Podjechaliśmy z Victorem pod dom, którym mieściła się melina i jak zwykle przed nim zaparkowaliśmy. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku i atletyczny odźwierny zasunął zasuwę w drzwiach, zapytałem, gdzie jest toaleta. Naprawdę musiałem się wysiusiać.

Tak bardzo chciałem wczuć się w rolę, że rzeczywiście wysikałem się do muszli klozetowej. Ale gdy chciałem spuścić wodę, nic nie poleciało. Ktoś musiał spuścić ją przed chwilą. Nie mogłem wyjść i zaraz potem wrócić, a nie chciałem ryzykować i wkraczać do pełnego ludzi pokoju z gąbkową piłką wciśniętą z przodu spodni.

Nie miałem wyboru, musiałem wyjąć piłkę ze spodni i wepchnąć ją w kolanko odpływu, zanurzając rękę we własnym moczu aż po brzeg rękawa kurtki. Nie zważając na to, upewniłem się, że piłka siedzi mocno. Nasączona jeszcze większą ilością moczu i wody (i Bóg wie jeszcze czego) nabierze większej objętości. Przez chwilę zastanawiałem się, czy umyć ręce, postanowiłem jednak tego nie robić. No bo jaki szanujący się bezdomny narkoman myje ręce po wysikaniu się albo tuż przed kupieniem cracku?

Otrząsając palce z moczu wszedłem do frontowego pokoju. Tym razem Francis już tam czekał. Victor zdążył kupić swoje prochy, a ja dałem Francisowi dwadzieścia funtów za dwie działki. Otworzył zniszczone pudełko po papierosach Benson & Hedges, wyładowane, jak zauważyłem, działkami cracku. Miał właśnie wziąć dwie paczuszki z góry, gdy: Łup! Łup! Brzęk!

Szyby okienne wpadły do środka. Jednocześnie drzwi, mimo rygli, rozleciały się na kawałeczki. Chłopcy byli w środku.

Spanikowany Francis nie wiedział, co począć. Oczy zrobiły mu się okrągłe ze strachu. Zniknął gdzieś pełen nonszalancji miejscowy baron narkotykowy, został

tylko przerażony młody chłopak, który teraz prawdopodobnie wolałby nie wyjeżdżać nigdy z Jamajki.

Wiedziony odruchem, krzyknąłem:

– Daj mi te cholerne prochy, bracie! – Francis spojrzał na mnie zaskoczony. – Spuszczę je w kiblu.

Nie do wiary, ale wręczył mi paczkę prochów. Wybiegłem na korytarz, gdzie rozpętało się piekło. Albo szalało tornado. Hałas był ogłuszający; słyszałem tylko brzęk tłuczonego szkła, trzask rozłupywanego drewna i krzyki: „Policja! Policja!”

Nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego. Nie dobiegłem daleko korytarzem. Drzwi frontowe były już wyłamane, wielki odźwierny leżał, dosłownie wdeptany w podłogę przez gliny. Jeden z gliniarzy rzucił się na mnie i przycisnął mi twarz do ściany. W sekundę miałem na rękach kajdanki.

A potem wszystko równie szybko, jak się zaczęło, ucichło. Dom przedstawiał sobą żaloszny widok. Wszędzie leżały drewno i szkło. Wepchnięto mnie do pokoju frontowego, gdzie zobaczyłem Francisa, odźwiernego, Victora i parę innych osób. Wszyscy byli w kajdankach.

Uśmiechałem się w duchu. Prawdę mówiąc, rozpierała mnie radość. Victor odegrał małą scenkę na użytek Francisa i jego kolesiów, wymyślając glinom od „piździelców” i czego tam jeszcze. Nas obu wyprowadzono pierwszych do czekającego samochodu wydziału antynarkotykowego. Byliśmy bardzo zadowoleni. Zlikwidowaliśmy melinę, kilku dilerów zostało aresztowanych, skonfiskowano dużą ilość cracku (okazało się, że siedemdziesiąt sześć działek). Według standardów SO10 była to pomniejsza operacja, lecz mimo to przyniosła niezły rezultat.

Gdy nas wyprowadzano, z drugiej strony ulicy obserwowała nas grupka okolicznych mieszkańców. Patrzyli na nas z wyraźną pogardą w oczach. Jakby mieli ochotę nas opluć. Nie zauważyłem, by ktokolwiek przyglądał się nam z żalem lub smutkiem. Jeśli chodzi o sąsiadów, byliśmy zmorą ich życia. Zupełnymi kanalami. Nie widzieli nic oprócz dwóch smutnych, śmierdzących, nikomu niepotrzebnych ćpunów.

Gdyby tylko wiedzieli.

Operacja „Strach na wróble”

Ledwie mżyło, lecz moja „nieprzemakalna” kurtka przemokła, a garnitur i krawat przylepiły się do mnie tak, że było mi wygodnie niczym w kaftanie bezpieczeństwa. W najlepszych czasach nie należałem do elegantów, tu jednak, w ciemnościach w deszczu, czułem się jak kompletny jełop. Nie przestawałem powtarzać sobie, że to dzień wolny od pracy i wyrabiam nadgodziny. Są gorsze sposoby zarabiania na chleb niż spacerowanie po deszczu.

W słuchawce, którą miałem w uchu, coś trzeszczało, ledwie słyszałem przerywane polecenia, zrozumiałem jednak, że sierżant dowodzący operacją każe mi trochę zwolnić. Poprawiłem torbę z laptopem na ramieniu. Miała sprawiać wrażenie, że zawiera ona świeżo kupiony komputer; w rzeczywistości była wypchana papierem do fotokopiarki. I straszliwie ciężka. Musieli tyle tego napakować? W prawej ręce trzymałem najnowszy model telefonu komórkowego, specjalnie świecący jak bożonarodzeniowa choinka. Na wypadek, gdyby to nie okazało się dostateczną pokusą, szedłem nieco chwiejnym krokiem podpitego faceta.

Miałem nadzieję, że wyglądam jak doskonały cel dla rabusia. W każdym razie taki był plan.

To zadanie różniło się od pozostałych – miałem służyć jako przynęta. Banda brutalnych złodziei dokonywała serii szczególnie nieprzyjemnych napadów na mężczyzn wracających z pracy przez stację Greenwich do zamożnego osiedla mieszkaniowego nad rzeką. Ukrócenie tych kradzieży było dużym wyzwaniem dla Met, która w odpowiedzi rozpoczęła operację „Strach na wróble”.

Byłem jednym z trzech policjantów przemierzających na zmianę tę trasę; próbowaliśmy zwrócić na siebie uwagę bandytów. Brzmi to dość ekscytująco, w rzeczywistości jednak było to raczej monotonne zajęcie. Rzadko, jeśli w ogóle, zdarzało się, że policjant–przynęta padał ofiarą rabunku. Mając to w pamięci, byłem zupełnie spokojny i cieszyłem się na dwudziestominutową przechadzkę przed świtem, wyznaczoną trasą. Odbywałem tę wędrówkę po raz trzeci i jak dotąd nie zauważyliśmy niczego podejrzanego. Tej nocy mieliśmy zakończyć trochę później, ponieważ poprzedniej nocy mężczyzna i jego przyjaciółka padli ofiarą bestialskiego napadu zaledwie pół godziny po tym, jak ogłosiliśmy fajrant. Kobieta przewrócono na ziemię i trzymano, grożąc śmiercią, dopóki mężczyzna nie oddał kart i nie podał PIN-ów.

Dlatego właśnie o wpół do trzeciej nad ranem wykonywałem jeszcze jedno, ostatnie okrążenie. Mimo napadu z poprzedniej nocy uważałem, że szanse natknięcia się na bandytów są nikłe. Przy takiej pogodzie nawet bezdomni szukają schronienia. Na ulicy pojawili się tylko ostatni maruderzy wyproszeni z pubu i grupa wygłupiającej się młodzieży.

W słuchawce w uchu zatrzeszczało.

– Zatrzymaj się przy rzece i zadzwoń.

Wykonałem polecenie, może z pewną przesadą odgrywając swą rolę. Wytarłem nowy, drogi smartfon i chwając się na nogach w padającym deszczu, przez około dziesięć minut prowadziłem bełkotliwą pijacką rozmowę z nikim. W końcu uznałem, że czas wracać do nieoznakowanej furgonetki czekającej za rogiem. Zadowolony poprawiłem na ramieniu pasek torby z laptopem i ruszyłem niepewnym krokiem do wozu.

– Chris, zostań tam, stary. Po prostu poczekaj – odezwał się głos sierżanta w słuchawce.

Lekko zaniepokojony przystanąłem i nie wychodząc z roli podpitego jegomościa, wpatrzyłem się w brudną Tamizę. Ledwie dotarły do mnie następne słowa sierżanta.

– Dobrze. Za tobą jest pięciu czarnych facetów. Oglądają cię od góry do dołu. Mogą cię obrobić.

Usłyszałem z tyłu kroki, potem tupot biegnących stóp. Jedyne, co mi pozostało, to się odwrócić.

– A niech to, napadli przynętę! Ruszać się! Ruszać! – wrzeszczał sierżant do mojego ucha.

I wtedy zobaczyłem tuż przed sobą kilka czarnych twarzy. Zapamiętam na zawsze szczególnie jedną z nich, wykrzywioną furią i nienawiścią. W mgnieniu oka otoczyli mnie. Popychali, ciągnęli, obracali mną, aż zerwali mi torbę z laptopem z ramienia. Telefon wypadł mi z ręki na ziemię.

Ograbiony i skulony ze strachu liczyłem na to, że teraz odejdą ze swymi łupami.

– Zostawcie mnie w spokoju – poprosiłem.

Ale oni jeszcze ze mną nie skończyli. Błyskawicznie zaciągnęli mnie i przycisnęli do balustrady, pod którą płynęła Tamiza. Wiedziałem, o co im chodzi. Wcześniej też grozili ofiarom, że wrzucą je do rzeki.

Plask! Plask! Dostałem dwa razy po twarzy, potem poczułem ręce grzebiące w moich kieszeniach. Rabusie ciasno mnie otoczyli. To już, pomyślałem. Zaraz się znajdę w tej cholernej rzece. O dziwo, nieoczekiwanie olśniło mnie, co powinienem zrobić. Przypomniałem sobie, co mówiono na szkoleniu przygotowującym do służby

w policji rzecznej. Gdybym wpadł niespodziewanie do czarnej lodowatej wody, szok mógłby mnie zabić, gdybym natomiast przygotował się na to psychicznie, istniała szansa, że zdołam zapanować nad wstrząsem. Skoro zdawałem sobie z tego sprawę i byłem gotów trochę popływać, miałem szansę. Tylko że po kilku minutach zaczęła się hipotermia. A potem będę załatwiony.

Gdy przygotowałem się już na to, że zostanę przerzucony przez balustradę, napastnicy mnie puścili; koszmar skończył się równie szybko, jak się zaczął. Banda dawała drapaka. Słyszałem szczekanie psów i krzyki: „Stój, policja!”. Wiedziałem, że do akcji ruszyła czekająca od sześciu godzin w jakimś pobliskim biurze grupa policjantów z dwoma psami i że właśnie trwa pościg za sprawcami.

Oparty o balustradę oddychałem ciężko, próbując dojść do siebie. Widziałem, jak jeden z rabusiów, zatrzymany jakieś dwadzieścia metrów dalej, padł na kolana, po czym próbował wstać. Policjant w cywilu uderzył go pałką, krzycząc:

– Na ziemię, do cholery! Na ziemię!

Każdemu uderzeniu pałki towarzyszył rozkaz pozostania na ziemi.

Usiadłem, trzęsąc się, na mokrym chodniku; czułem, jak przemakają mi spodnie. Adrenalina wciąż buzowała, w głowie mi się kręciło.

– Chodź, stary – powiedział jeden z policjantów, chwytając mnie za ramię i stawiając na nogi. – Wszystko w porządku?

– Hm, chyba tak – odparłem, choć prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Załadowano mnie do parkującego nieopodal nieoznakowanego samochodu i pojechaliśmy szybko na posterunek. Przyglądając się po drodze światłom miasta, pozbierałem się jakoś. Zaczęło do mnie docierać, co się właściwie wydarzyło.

No, no!, pomyślałem. Mamy ich. Cholera, naprawdę ich mamy. Bez wątplenia wciąż byłem w szoku; przerażenie, jakie czułem przed zaledwie paroma minutami, zastąpiła czysta adrenalina. Napadli na mnie! Operacja się udała! Wprost nie do wiary. Fantastycznie!

Gdy wchodziłem do tutejszego wydziału kryminalnego, gdzie czekali sierżanci i komisarze, szeroki uśmiech na mojej twarzy nie oddawał rozpierającej mnie euforii. Z przyjemnością przyjmowałem pochwały, a słuchając entuzjastycznych komentarzy, gotów byłem z typową dla gliniarzy brawurą umniejszać znaczenie całego tego incydentu jako czegoś zupełnie zwykłego w pracy policjanta.

Wkrótce dowiedziałem się, że czterech z pięciu rabusiów zostało zatrzymanych, a trzech z tej czwórki musiano odwieźć do szpitala z powodu paskudnych ran po ugryzieniach i innych obrażeń odniesionych podczas próby ucieczki. Jeden z nich próbował uciekać nabrzeżem i musiał przeżyć potężny wstrząs, gdy schwytała go

policja rzeczna, wyglądająca bardzo groźnie w czarnych kombinezonach do nurkowania i kominiarkach. (Osobnik ten złożył później oficjalną skargę, że został zaatakowany przez komandosów!).

Sierżant i komisarz ogromnie cieszyli się z sukcesu operacji, a gdy wróciła reszta zespołu, komplementom pod moim adresem nie było końca. Pewien starszy posterunkowy, przewodnik jednego z psów – facet, który wszystko w życiu widział i robił – poklepał mnie po plecach ze słowami:

– Dobra robota, stary. Dobra robota. Masz jaja, mówię ci.

Pisząc raport o przebiegu incydentu, wciąż byłem podekscytowany i bardzo zadowolony. Później podniecenie opadło, dotarła do mnie okropność tego, co się wydarzyło i co ważniejsze, tego, co się mogło zdarzyć. Zdałem sobie sprawę, że był to jeden z najbardziej przerażających momentów w moim życiu. Byłem przekonany, że mogę umrzeć. Przypomniałem sobie moment, gdy wydawało mi się, że zaraz zlecę z tej balustrady głową w dół. Znowu poczułem panikę. Wiedziałem, że rzekę patroluje policja rzeczna, lecz przez ułamek sekundy miałem wówczas pewność, że zginę w lodowanych wodach Tamizy.

Poczułem, że drżą mi usta i wilgotnieją oczy. Jakoś udało mi się powstrzymać łzy i nadal odgrywać odważnego faceta przed tłumem policjantów, którzy włożyli tak wiele pracy w schwytanie tych małych drani. Nie mogłem pozwolić, by teraz zobaczyli w moich oczach słabość. Skończyłem papierkową robotę i wciąż mając w uszach pochwalne komentarze, odbiłem kartę zegarową i wyszedłem.

Nie miałem pojęcia, jaki wpływ będzie miał ten incydent na moją codzienną etatową pracę w Islington.

– Dobrze się czujesz, Christianie? – zapytała moja sierżant, gdy rano odmeldowałem się na komisariacie. – Wydajesz się przygaszony. Nie taki jak zwykle.

– Rzeczywiście, pani sierżant. W nocy pracowałem jako przynęta dla złodziei i zostałem obrabowany.

– O, dobra robota! I nadgodziny, co?

(Zabawne, że policjanci zawsze zwracają na to uwagę).

– Hm, tak. Zastanawiam się jednak, czy nie mógłbym po prostu urwać się teraz do domu? Proszę. Naprawdę nie czuję się zbyt dobrze.

Sierżant spojrzała na mnie odrobinę zaskoczona.

– Jasne, stary.

Pobiegłem do toalety i zwymiotowałem. A potem, z nikim nie zamieniwszy ani słowa, poszedłem do domu. W drodze uświadomiłem sobie, że mimowolnie omijam z daleka grupy młodzieży w metrze i na ulicy.

Wszyscy czterej rabusie otrzymali wysokie wyroki więzienia. Okazało się, że zaledwie kilka godzin przed napadem na mnie obrabowali innego mężczyznę; bili go młotkiem po głowie. Zostawili młotek w kradzionym samochodzie, który zaparkowali w pobliżu miejsca, gdzie napadli na mnie. Gdy się o tym dowiedziałem, nie poczułem się lepiej. Zdałem sobie sprawę, jak niewiele brakowało, bym został ciężko ranny albo nawet okaleczony na resztę życia. Te zbiry były groźnymi przestępcami, cieszyła ich przemoc wobec niewinnych ofiar.

W tym czasie pracowałem w wydziale kryminalnym, zajmując się kradzieżami. Miałem do czynienia ze sprawami o wiele mniejszego kalibru niż ta z Greenwich. Zakrawało na ironię, że gliniarz ścigający rabusiów sam został napadnięty. Incydent ten sprawił jednak, że zacząłem odczuwać większe współczucie dla ofiar, z którymi miałem do czynienia w Islington. Lepiej rozumiałem te osoby, a jeśli miałem okazję porozmawiać z kimś, kto został obrabowany, robiłem dla niego o wiele więcej, niż było przyjęte.

W gruncie rzeczy jednak były to drobne sprawy; nazywaliśmy je „szkolnymi rozbojami”, bo przypominały sytuacje, gdy jeden źle wychowany uczeń ukradł coś drugiemu, a potem ktoś zawiadomił policję. Tego rodzaju praca wprawiała w przygnębienie i stanowiła zupełne przeciwieństwo zakupów kontrolowanych.

Czasem pomagaliśmy przy kradzieżach z włamaniem. Pamiętam, jak pewnego rana przybyliśmy na miejsce przestępstwa i zastaliśmy dwóch młodych chłopaków z Islington, zatrzymanych za wynoszenie rzeczy z placu budowy. Przyjrzałem się okolicznościom i okazało się, że obaj byli mocno pijani i po prostu się wygłupiali. Przesłuchałem chłopców i porozmawiałem z ich rodzinami. Uznałem całą sprawę za bzdurną. Trudno ją było uznać za zbrodnię stulecia, winowajcy zaś, gdy wytrzeźwieli i uświadomili sobie konsekwencje swoich poczynań, wydawali się bardzo skruszeni.

Postanowiłem więc puścić chłopców wolno, udzielając im tylko ostrzeżenia. Powiedziano mi jednak, że ponieważ liczba włamań jest wysoka, a my musimy pokazać społeczeństwu, że nie tylko łapiemy przestępców, ale też doprowadzamy do ukarania ich z całą surowością prawa, muszę postawić zarzut włamania. Jestem za karaniem przestępców, lecz w tym przypadku się nie zgadzałem. Nie po to wstąpiłem do policji. Odmówić jednak nie mogłem. Prokuratura postawiła obu chłopców w stan oskarżenia. Należy dodać, że prokura podlega takiej samej jak policja kontroli skuteczności działania.

Rozczarowany, pozwoliłem sprawom toczyć się własnym torem, a dziewięć miesięcy później znalazłem się w sądzie, na procesie obu chłopców. Obaj mieli łyzy w oczach i w niczym nie przypominali ulicznych rozrabiaków i opryszków. Towarzyszyły im rodziny. Gdy na nich patrzyłem, próbując uporać się jakoś z tą

sytuacją, pomyślałem, że nie powinienem być na to pozwolić. Postanowiłem porozmawiać z oskarżycielką i przekonać ją, że zarzuty są bezsensowne i że sprawa nie powinna zajść tak daleko. Nie była zadowolona, ponieważ oznaczało to, że musi stanąć przed sędzią i wyjaśnić, dlaczego sprawę należałoby umorzyć. Korzystną okolicznością było tylko to, że oskarżycielka dostała tę sprawę dopiero niedawno, miała więc prawo uznać, że wniesienie jej było pomyłką.

Udało mi się doprowadzić do umorzenia sprawy, a rodziny chłopców były tak wdzięczne, że zaprosiły mnie na darmowy posiłek do restauracji należącej do rodziców jednego z nich. Nigdy nie skorzystałem z tej propozycji. Umorzenie sprawy w najmniejszym stopniu nie zaszkodziło policji. Przestępcy zostali schwytani i postawieni przed sądem, wykrywalność wzrosła, a reszta nie należała już do policji.

Operacja „Strach na wróble” miała dla mnie dalekosiężne konsekwencje. Jeszcze po upływie wielu miesięcy miałem się na baczności przed grupkami młodych ludzi, zwłaszcza czarnoskórych, a w pracy unikałem wszelkiego rodzaju konfrontacji z podejrzanymi. Jeszcze teraz, po latach, nerwowo przyglądam się otoczeniu, wypatrując grup młodzieży lub osób wyglądających, jakby chciały mnie obrabować. Mocno utrudnia mi to życie, lecz nie mogę się już zmienić.

Na każdym kolejnym kursie dla kandydatów na TPO opowiadałem o tej operacji, o tym, co czułem w trakcie jej przeprowadzania i jaki wpływ wywarła na mnie. Prezentacja ta zawsze działała jak katharsis, choć trudno mi było powstrzymać falę szukających ujścia emocji.

Nadal nie poradziłem sobie z tą sprawą do końca. Wiem, że była to zwykła operacja policyjna, że naprawdę nie groziło mi nic bardzo niebezpiecznego, bo w pobliżu ukrywało się mnóstwo gliniarzy, którzy by mnie uratowali – ale i tak wspomnienie żyje we mnie.

Po raz pierwszy padłem wtedy ofiarą napadu, czułem jednak, że gdybym przyznał się, jak bardzo wstrząsnął mną ten incydent, mogłoby to zaważyć na całej mojej karierze zawodowej. Chciałem zostać tajnym funkcjonariuszem, wołałem więc nie robić wokół siebie szumu. Nikomu nie mówiłem, że chciałem zasięgnąć porady specjalisty z zakresu medycyny pracy ani że w ogóle miałem jakieś problemy.

Proponowano mi pomoc psychologa, lecz odmówiłem, sądziłem bowiem, że tego właśnie ode mnie oczekiwano. Byłem pewny, że jeśli się zgodzę, nie wezmę już udziału w żadnej tajnej operacji, że pozostanie ślad w papierach i już nie uwolnię się od opinii znerwicowanego frajera. Tego rodzaju etykieta była ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłem. Najlepszą metodą uporania się z problemem (a przynajmniej wtedy tak uważałem) było pracować ciężiej i dłużej.

– Weź się w garść – nakazałem sobie.

Największy kanciarz na świecie

Christianie, jesteś takim cholernym nomadą. Zawsze niezadowolony, prawda? – zażartowała moja sierżant z Islington.

– Ale, pani sierżant, ja naprawdę chciałbym tam przejść. To byłoby dla mnie świetne.

– Dobrze już, dobrze – powiedziała, uśmiechając się.

Zaproponowano mi pracę w centrum Londynu, w jednostce zwalczającej przestępstwa hotelowe. Jednostka niestety już nie istnieje, a w owym czasie dowodził nią Andy, sierżant, z którym łączyły mnie zapał do chwytania łajdaków i upodobanie do ciężkiej harówki. Andy miał wprost niewiarygodne szczęście, zwłaszcza w pracy policyjnej. I w hazardzie. Bardzo pewny siebie, był dobrym dowódcą, a z czasem stał się przyjacielem.

Musiałem odbyć formalną rozmowę kwalifikacyjną z Andym i Seamusem, sierżantem, którego także znałem. Wkułem wszystkie potrzebne w tej pracy przepisy prawa, lecz podczas rozmowy Andy i Seamus zasypali mnie takim gradem dziwacznych pytań o zasady działania w hotelach i o to, jak można wejść bez nakazu do pokoi hotelowych, że zacząłem się zastanawiać, czy zmiana pracy to dobry pomysł. Andy przyglądał mi się, a w końcu powiedział:

– W porządku, ostatnie pytanie, stary. Czy możesz mi wymienić pięć hoteli w centrum Londynu, których nazwy zaczynają się na „H”?

– Hm, Hilton – wyjąkałem. – Hm... – Spojrzałem prosząco na Andy’ego. Uśmiechał się nieznacznie.

– Żartujesz, Andy?

– Jasne, że tak, ty głupku – odparł. – Masz tę pracę. Zaczynasz w poniedziałek.

I tak zostałem wprowadzony w oszałamiający świat luksusowych (a czasem niezbyt luksusowych) hoteli West Endu. Śledziłem zawodowych przestępców, złodziei i oszustów, pomagałem też przy sprawach, z którymi nie mogli poradzić sobie miejscowi policjanci z wydziału kryminalnego.

Andy’emu i mnie pozostawiono dużą swobodę działania, mogliśmy robić wszystko, co wydawało nam się konieczne. Zyskaliśmy bardzo dobrą reputację wśród personelu aresztów śledczych i prawników z centrum Londynu; często pomagało to, że przedstawiałem nas jako funkcjonariuszy „jednostki Scotland Yardu do spraw

przestępczości hotelowej”, podczas gdy w rzeczywistości byliśmy tylko parą ciężko pracujących glin z komisariatu w Charing Cross.

Zajmowaliśmy się niekiedy bardzo interesującymi sprawami i nie oszczędzaliśmy się. Wieczorami nadal przeprowadzałem akcje zakupów kontrolowanych, nierzadko zdarzało się więc, że nie chciano mnie wpuszczać do eleganckich hoteli z powodu długich włosów i nieogolonej twarzy.

Wciąż próbowałem specjalizować się w przestępstwach narkotykowych i poszerzać praktyczną znajomość znajdujących się w obiegu ulicznym narkotyków. Jeśli akurat nie było nic do roboty, często włóczyliśmy się z Andym po Soho i West Endzie i przymykaliśmy ludzi za narkotyki, choć nie mieli oni nic wspólnego z hotelami. Byliśmy gliniarzami, zawsze i w każdych okolicznościach. Uwielbiałem tę robotę. Czulem się niemal tak wspaniale, jak wówczas, gdy pracowałem z jednostce w Soho.

Gdy gość z Holandii zostawił w pokoju hotelowym przy Park Lane dwadzieścia pięć tysięcy tabletek ecstasy, od razu przystąpiłem do śledztwa. Holender nie był najwyraźniej urodzonym przestępcą, ponieważ zameldował się pod własnym nazwiskiem i posługiwał prawdziwym dowodem tożsamości. Szybko doprowadziłem do aresztowania go przez naszych holenderskich kolegów. Wyposażony w amunicję w postaci ecstasy oraz pozwolenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na wywóz narkotyków klasy A spotkałem się w Amsterdamie z detektywem, swoim odpowiednikiem, który zapoznał mnie z dowodami zgromadzonymi w sprawie mojego podejrzanego. Aresztowano go (korzystając ze wsparcia brygady antyterrorystycznej) w ogrodzie na tyłach jego domu, gdzie facet konstruował bombę, której zamierzał użyć do zabicia we Włoszech bossa albańskiego gangu. Holendrzy postawili go przed sądem za narkotyki. Była to jedna z wielu spraw, w których mieliśmy do czynienia z przestępczością międzynarodową.

Szukaliśmy powiązań między przestępstwami, podobnych metod działania, tych samych podejrzanych. Znalezienie sprawców jednej z serii włamań przysporzyło nam pracy na całe miesiące. Kilka hoteli sieci Holiday Inn, Premier Inn i Travelodge zgłaszało coraz częstsze włamania. Złodzieje dostawali się jakoś do pokoi, kradli kosztowności i uciekali, nie zostawiając śladów. Niezwykłe, że nie było śladów włamania, żadnego bałaganu w pokojach i nikt nie widział niczego, co dałoby nam jakiś trop. Początkowo sądziliśmy, że była to misterna robota kogoś z wewnątrz.

Potem odkryliśmy, w jaki sposób sprawcom udawało się niepostrzeżenie dostawać do pokoi. Wywiercali ręczną wiertarką małą trzymilimetrową dziurkę w drzwiach, obok zamka, wsuwali w nią cienką linkę z pętlą na końcu, zaczepiali pętlę o klamkę, ciągnęli linkę w dół i otwierali drzwi.

Pomysłowe. Ale naprawdę genialne było to, że po ograbieniu pokoju złodzieje zalepiali dziurkę od wewnątrz i od zewnątrz kitem dokładnie tego samego koloru co drzwi. Profesjonalna robota. Nazwaliśmy tych złodziei „wiertaczami”.

A później ktoś zauważył w jednym z okradzionych hoteli samochód, który mógł zostać użyty przy kradzieżach. Było to niebieskie bmw zarejestrowane na nazwisko pewnej pani z Hampstead, z całą pewnością niewinnej. Tablicę rejestracyjną wozu tej pani skradziono i skopiowano. W tym czasie jedynym miejscem w Londynie, gdzie kamery mogły zarejestrować przejeżdżające samochody było City – funkcjonował tam tak zwany stalowy pierścień, system kamer telewizji przemysłowej. Istniała niewielka szansa, że kamery te zarejestrowały bmw wiertaczy.

Jednocześnie szukaliśmy innych tropów, gromadziliśmy też meldunki o podobnych kradzieżach w całym kraju. Odkryliśmy, że wiertacze okradli pięćdziesiąt pokoi w jednym hotelu. Należało tylko szukać dziurek. Były wszędzie. W końcu udało się zdobyć zdjęcia złodziei z kamer, nie znaleźliśmy jednak ich nazwisk.

I wtedy samochód został zatrzymany w Soho, aresztowano dwóch mężczyzn. Jednym z nich był gruby jegomość, który nie miał nic wspólnego z włamaniami. Drugi – nazwę go Piotr Slavovic – był skończonym kryminalistą, jednym z niewielu, jakich spotkałem. Przeszukaliśmy bmw i znaleźliśmy wszystkie narzędzia pracy, między innymi kit. Mieliśmy próbki pobrane z wszystkich drzwi, mogliśmy więc porównać je z kitem znalezionym w samochodzie.

Slavovic nie przyciągał wcześniej uwagi policji. Próbowaliśmy zdobyć jakieś informacje z Serbii, lecz bez rezultatu. Mieliśmy jednak dość dowodów, by oskarżyć go o włamania. Znaleźliśmy skradzione rzeczy, a na materiale z kamery telewizji przemysłowej w jednym z hoteli można było zobaczyć złodzieja przy pracy.

Nadal nie schwytaliśmy tego drugiego faceta, ale zaledwie półtora tygodnia później został on zatrzymany podczas próby wywiercenia otworu w drzwiach pokoju w hotelu Hilton. Postawiliśmy obu złodziejom zarzut czterdziestu włamań, choć moglibyśmy zarzucić im setki kradzieży. Gdy rozpracowaliśmy ich metody działania, okazało się, że byli doskonale zorganizowani i dbali o każdy szczegół. Aby sprawdzić, że w pokoju nikogo nie ma, umieszczali cienkie paski plastiku na ościeżu po obu stronach drzwi i odchodzili na chwilę. Jeśli plastik odpadł, oznaczało to, że ktoś wyszedł z pokoju. W wierceniu otworów osiągnęli mistrzostwo – wejście do pokoju zajmowało im około minuty. Jeden z włamywaczy miał pas z narzędziami, a na szyi zawieszkę z kartą magnetyczną, jeśli więc ktoś zauważyłby go przy drzwiach, mógłby go uznać za faceta z hotelowego personelu technicznego. Akta sprawy liczyły tysiące stron, nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mój „skrócony” raport miał ponad osiemdziesiąt stron.

Nie do wiary, ale Slavovic został zwolniony za kaucją i nie stawił się na procesie. Zawiadomiłem Interpol, ale poszukiwany rozplynął się w powietrzu. Ten drugi, uznany za winnego, dostał rok więzienia, a po wyroku deportowano go do Serbii.

Mieliśmy też do czynienia z innymi osobnikami, nawet w połowie nie tak wyrafinowanymi jak wiertacze. Pewien mężczyzna udawał ochroniarza w hotelu Thistle przy Marble Arch. Szedł on za samotną kobietą do jej pokoju, pukał do drzwi i mówił, że są doniesienia o włamaniach. Sprawdzał rzekomo pokój, jednocześnie kradnąc wartościowe przedmioty. Jak na ironię, hotel, w którym ten człowiek systematycznie kradł, sąsiadował z tyłami komisariatu Marylebone. Schwywanie spryciarza nie zajęło dużo czasu.

Działał także profesjonalny gang z Ameryki Południowej – przyjeżdżająca na lato grupa złodziei torebek. Było ich kilku i stosowali taką samą technikę, jak policyjne zespoły obserwacyjne. Gdy zidentyfikowali obiekt – na przykład kogoś, kto wychodził z eleganckiego sklepu obładowany dużymi zakupami lub kogoś, kto właśnie wydał mnóstwo pieniędzy w sklepie z biżuterią – ruszali za tą osobą, zmieniając obserwatorów.

Dalej postępowali rutynowo. Jeśli ofiara wsiadła do samochodu, jeden ze złodziei dziurawił tylne koło od strony kierowcy. Tymczasem inny członek bandy nawiązywał rozmowę z ofiarą, zwracając jej uwagę na rozciętą oponę. Ofiara, wysiadając, by obejrzeć szkodę, niezmiennie zostawiała otwarte drzwi, a wówczas trzeci bandyta kradł pakunki z samochodu. Złodzieje mieli nawet czelność okradać kieszenie osoby, z którą rozmawiali. Śmiało sobie poczynali.

Gdy aresztowaliśmy kilku członków gangu, znaleźliśmy przy nich koperty formatu A4 zaadresowane do różnych miejsc w Ameryce Południowej. Okazało się, że ukradzioną gotówkę czy portfele od razu wkładano do koperty i wysyłano do Kolumbii czy jakiegoś innego kraju. Tego rodzaju kradzieże traktowano jako drobne przestępstwa, ale złodzieje byli zorganizowani i zgarniali duże ilości pieniędzy. Śledziłem kiedyś siedmioosobową grupę i udało mi się zatrzymać czterech jej członków.

Sprawcami kradzieży w hotelach często byli ich pracownicy, zajmowaliśmy się jednak tego typu przestępstwami tylko wówczas, gdy wydawały się interesujące lub były na dużą skalę. Niektórym sprawcom współczułem. Pewien gość pracował w Savoyu dwadzieścia dwa lata. Kradł platery, których dużą ilość znaleźliśmy w jego domu. Nie sprzedawał ich, po prostu gromadził. Oddał wszystko, lecz stracił pracę i widoki na przyszłość.

Hotele w centrum Londynu gościły zamożną klientelę, nic więc dziwnego, że mieliśmy dużo do czynienia z prostytutkami. Zawsze uważałem, że rozmowy z nimi

są bardzo ciekawe. Te kobiety otwarcie mówiły o swej pracy. Jedna z nich miała bmw serii 6, własne mieszkanie w Mayfair i dziecko w prywatnej szkole. Spokojnie wyjaśniła mi, że zamierza pracować, dopóki jej dziecko nie skończy nauki. Ona sama niczego się w szkole nie nauczyła i znalazła własny sposób na lepsze życie.

Pracując w tej jednostce, zetknąłem się ze zjawiskiem przestępczości międzynarodowej. Niesamowita okazała się zwłaszcza jedna sprawa, przebijała wszystkie inne.

Juan Carlos Guzmán-Betancourt, nazywany przez media „największym kanciarzem na świecie”, był złodziejem jakich mało. Prasa często koloryzuje i wyolbrzymia, by przyciągnąć czytelników, w tym przypadku jednak trudno było mówić o przesadzie. Ten facet był po prostu największym kryminalistą, z jakim się zetknąłem. Nie był zwykłym gnojkiem ani uzbrojonym gangsterem, ani bezczelnym chojrakiem. Był jak bohater hollywoodzkiego filmu.

Przystojny, czarujący, zadbany i pewny siebie Juan Carlos Guzmán-Betancourt miał niezwykle losy. Jego przestępstwa wyszły na jaw przed moim wstąpieniem do jednostki. W 2000 roku Andy prowadził dochodzenie w sprawie serii kradzieży w najbardziej luksusowych hotelach, dokonanych za pomocą wyrafinowanego oszustwa. Trop się jednak urwał i Andy nie zdołał zamknąć dochodzenia.

Jakieś trzy lata później – pracowałem wówczas w jednostce od kilku miesięcy – Andy zauważył w gazecie krótką wzmiankę o oszucie aresztowanym we Francji za podobne przestępstwo i poszukiwanym również przez policję londyńską. Był pewny, że chodzi o tego samego człowieka.

Gdy paryska policja aresztowała go za kradzież czegoś z pokoju hotelowego, nosił nazwisko Alejandro Cuenca. Został zwolniony za kaucją. Wkrótce potem zaczęły docierać do nas wieści o podobnych przestępstwach w Londynie.

Andy i ja prowadziliśmy śledztwo w sprawie sześciu śmiałych włamań w eleganckich hotelach przy Park Lane. Modus operandi i podejrzany zawsze był ten sam. Do recepcji podchodził nienagannie ubrany mężczyzna, podawał się za gościa hotelu i wyjaśniał, że zgubił klucz. Dotarłszy do pokoju, wzywał ochronę i mówił, że zapomniał kodu do alarmu. Wykorzystywał uparcie wyznawaną w hotelach zasadę, że klient ma zawsze rację, wiedział bowiem, że nikt nie zakwestionuje jego słów, jeśli tylko będzie dostatecznie przekonujący. Kradł gotówkę, biżuterię, a raz zabrał z sejfu zegarek Francka Mullera z limitowanej serii, warty piętnaście tysięcy funtów. Wszystkie ofiary były tak zamożne, że nie przejęły się specjalnie kradzieżami. Tego rodzaju straty nie miały dla nich specjalnego znaczenia.

Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś o człowieku nazwiskiem Cuenca, lecz nie osiągnęliśmy zbyt wiele. Potem dostaliśmy jego odciski palców, sprawdziliśmy

i pojawiło się nowe nazwisko, Cezar Ortigozo-Vera. Mieliśmy materiał wideo i dowody na niektóre przestępstwa. Pewnego razu nasz obiekt posłużył się kradzioną kartą kredytową, by wynająć limuzynę z Hiltona na lotnisko. Tam trop się urywał. Podejrzewaliśmy, że ten człowiek musi mieć wiele nazwisk i paszportów. Kolejne nazwisko, które się pojawiło, to David Vieta. Zaalarmowaliśmy służby graniczne, lecz dysponowaliśmy zaledwie kilkoma nazwiskami. To było jak szukanie igły w stogu siana.

A potem, ni z tego ni z owego, dopisało nam szczęście. Pewnego wieczoru Andy wyszedł się napić i o dziewiątej wieczorem przechodził przez Berkeley Square. Zadzwoił do mnie podekscytowany.

– Nie uwierzysz, ale właśnie chyba za nim idę.

Nasz poszukiwany miał na czole charakterystyczny pieprzyk i Andy zauważył ten pieprzyk u jakiegoś człowieka, który właśnie go mijał. Byłem wówczas na komisariacie w Marylebone i popędziłem, by dołączyć do kolegi. Dobiegłem i zobaczyłem dwóch facetów. Jeden z nich miał na sobie długi skórzany płaszcz. Udało mi się rzucić okiem na jego twarz. Tak, to z pewnością on, pomyślałem. Obaj weszli do pobliskiego hipermarketu Sainsbury's. Ja skoczyłem na Juana Carltona, Andy zaś wziął tego drugiego gościa. Betancourt był wstrząśnięty, lecz opanowany i grzeczny.

Rzuciłem:

– Policja!

A on na to:

– O, w czym mogę panom pomóc?

– Pan David Vieta, prawda? – zapytałem.

– Tak.

– Tak, ale również Juan Carlos Guzmán-Betancourt, Alejandro Cuenca, Cezar Ortigozo-Vera. – Gdy wymieniałem te wszystkie nazwiska, robił się coraz bledszy. – Jest pan aresztowany.

Tego drugiego faceta Betancourt poznał w jakimś klubie i zamieszkali razem. Najwyraźniej nie miał on nic wspólnego z przekrętami swego towarzysza. Puściliśmy go wolno.

Odszukaliśmy dom w Marylebone, w którym mieszkał aresztowany, i znaleźliśmy tam prawdziwy skarb, czyli mnóstwo dowodów. Fałszywe paszporty, bilety lotnicze – dowiedzieliśmy się dzięki nim, gdzie podróżował i że za dwa dni miał wyjechać do Grecji – a także niemal wszystkie ukradzione przez niego rzeczy. Coś niesamowitego.

Był największym przestępcą, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Nie

chciał zeznawać. Pod koniec długiej serii nagrywanych przesłuchań dałem mu szansę powiedzenia, dlaczego robił to, co robił.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie zrozumie pan – powiedział i rozplakał się. Od razu zakończyłem przesłuchanie.

Nie powiedział więcej ani słowa, przyznał się jednak za pośrednictwem swego obrońcy do szesnastu włamań. To był dla nas wielki sukces.

Choć w ustach policjanta dziwnie może brzmieć taka opinia o notorycznym przestępcy, Andy i ja byliśmy szczerze zaskoczeni profesjonalizmem Betancourta. Został ujęty nie dzięki naszej wspaniałej pracy detektywistycznej, lecz przez przypadek. Po prostu dopisało nam szczęście.

Gdy stawia się komuś zarzuty, ma się możliwość wpisania uwag do plików umieszczanych w policyjnej bazie danych. Napisałem: „Nie należy wierzyć w nic, co mówi. Płynnie włada kilkoma językami i jest wytrawnym kłamcą. Dla własnych celów będzie próbował manipulować funkcjonariuszami policji i wymiaru sprawiedliwości”.

Po raz pierwszy mieliśmy wówczas do czynienia z mediami. Czuliśmy się trochę przytłoczeni, miłe było jednak okazywane nam uznanie, ponieważ wykonaliśmy ogrom ciężkiej pracy.

Gdy rozeszły się wieści o aresztowaniu, okazało się, że ten trzydziestotrzyletni Kolumbijczyk ukradł ponad milion dolarów w hotelach na całym świecie, między innymi sto pięćdziesiąt tysięcy funtów w Brytanii. Okazało się, że działał pod co najmniej dziesięcioma nazwiskami i był poszukiwany w Kanadzie, Kolumbii, Wenezueli, Meksyku, Japonii, Rosji i Tajlandii.

Po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę władz w Miami, gdzie został znaleziony na pasie startowym lotniska. Utrzymawał, że ma trzynaście lat i jest sierotą, a na Florydę przyleciał uczepiony podwozia samolotu z Kolumbii. Losy chłopca wzbudziły powszechne zainteresowanie, utworzono fundusz na jego utrzymanie w Stanach Zjednoczonych. Gdy zniknął z gotówką, okazało się, że miał w rzeczywistości siedemnaście lat i dwoje bardzo zamożnych rodziców. Przez następnych szesnaście lat podróżował po całym świecie, z kraju do kraju, z hotelu do hotelu, wszędzie kradł i wiódł życie światowca.

Gdy w końcu go schwytaliśmy, został skazany na trzy i pół roku więzienia, odsiedział jednak tylko dwa miesiące w otwartym zakładzie Stanford Hill na wyspie Sheppey, ponieważ – zdumiewające, zważywszy na jego karierę zawodową – pozwolono mu wyjść samodzielnie na wizytę u dentysty. Oczywiście nie wrócił. Kilka tygodni później policja przytknęła go w Dublinie za kradzież. Mimo

zrobionych przeze mnie adnotacji w aktach policyjnych, sędziemu zrobiło się go żal i pozwolił mu odpowiadać z wolnej stopy. Nie upłynęło wiele czasu i Betancourt znów zniknął.

Później zatrzymała go amerykańska straż graniczna – która dostała od kogoś cynk – gdy czekał na taksówkę na stacji benzynowej w małym miasteczku przy granicy z Kanadą. Próbował przekonać pograniczników, że przypadkowo przekroczył granicę po tym, jak zepsuł mu się samochód. Zatrzymano go w areszcie jako podejrzanego o nielegalną imigrację, lecz gdy sprawdzono jego odciski palców, wyszło na jaw, kim jest w rzeczywistości. O ile mi wiadomo, nadal siedzi w więzieniu w USA.

Nieczęsto zdarza się policjantowi zetknąć się z przestępcą takiego kalibru. Betancourt przypomina pod wieloma względami Franka Abagnale, oszusta, którego historię opowiada znany film *Złap mnie, jeśli potrafisz*. Abagnale nie popełniał oszustw dla pieniędzy, lecz dla dreszczyku emocji.

Bardzo chciałbym znów spotkać się z Betancourtem, by zrozumieć, dlaczego robił to, co robił.

Głębsze zanurzenie

Po ponad siedmiu latach pracy przy zakupach kontrolowanych pomyślałem, że pora na zmianę. Zacząłem już starania o przyjęcie na ogólnokrajowy kurs dla tajnych agentów, lecz procedura wciąż się przeciągała, a mnie nudziła już trochę praca w charakterze TP. Nie rajcowało mnie to tak jak na początku, a wychodzenie na ulicę, kupowanie cracku i heroiny, mówienie śmiesznym „ulicznym” akcentem stało się nużąco znajome. Nie czułem już podekscytowania, włączając się wokół śmierdzących brudem i moczem domów komunalnych i przypochlebiając się osiemnastoletnim dilerom.

Aby uczynić pracę nieco bardziej interesującą, postanowiłem stworzyć „Rosjanina Chrisa”, przybrać nową osobowość, przydatną ze względu na zalew imigrantów z Europy Wschodniej w Londynie. Na użytek tej nowej postaci zacząłem mówić z rosyjskim akcentem, który można by uznać za bardzo zabawny, gdyby nie chodziło o tak poważne sprawy. Słuchałem później nagranych rozmów telefonicznych z dilerami i musiałem przyznać, że ten akcent brzmiał wręcz okropnie.

Posługiwanie się nim bawiło mnie przez krótki czas, dopóki nie zadzwoniłem do somalijskiego dilera narkotyków z Greenwich. Kupowałem już kilka razy od ludzi z jego gangu i nie obawiałem się zadzwonić znów, a potem powędrować do mieszkania komunalnego, gdzie odbywał się handel.

– Tak?

– Hm, cześć, jest coś? – zapytałem ze swym rosyjskim akcentem.

– Kto mówi, do cholery? – odpowiedział pytaniem na pytanie młody chłopak.

– Chris, Rosjanin Chris.

– Słuchaj, koleś, po jaką cholere tak mówisz? Wiem, że jesteś pieprzonym Anglikiem, koleś. Po jaką cholere wciskasz mi kit?

– Jak śmiesz robić sobie jaja z mojej wymowy? – krzyknąłem. *Job twoju mat’, sukin synu.*

– Daj spokój, koleś. Po prostu spieprzaj razem z tą twoją pieprzoną wymową – powiedział i rozłączył się.

Ups, pomyślałem. Koniec Rosjanina Chrisa. Powiedziałem o tym kolegom z zespołu operacyjnego, którzy zaproponowali, żeby po prostu pójść do tego mieszkania i sprawdzić, czy uda się zdobyć narkotyki na miejscu. Zgodziłem się. Nie

miałem nic do stracenia. Godzinę później zapukałem do kuchennego okna mieszkania komunalnego w Greenwich. Znajdowało się ono w domu na przynębiająco brzydkim osiedlu, a z okna kuchennego rozciągał się uroczy widok na tory kolejowe.

Okno otworzył czarny siedemnastolatek. Rzucił krótkie:

– Czego?

Udając Rosjanina Chrisa, poprosiłem o „jedną i jedną” (po jednej działce cracku i heroiny).

– Jaja sobie robisz, koleś? – Odwrócił się do kogoś w głębi mieszkania. – To jakiś pieprzony Albańczyk, ziomie.

Miałem szczęście, że nikt nie postanowił wykorzystać brzmiących z rosyjska surytek w kampanii reklamowej ubezpieczeń samochodowych, bo dostałbym za swoje.

W oknie pojawił się drugi chłopak. Uśmiechał się.

– Koleś, mówiłem ci przez telefon, żebyś przestał gadać tym pieprzonym głosem.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Koleś, pogrywasz sobie ze mną. Chcesz czegoś białego, to chodź tu, dostaniesz. No już, możesz zapalić z nami – powiedział, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

– Nie. Czeka na mnie przyjaciel.

– No to idź po swojego pieprzonego przyjaciela, a potem tu wróć, kutasie.

– Nie. Chcę dostać coś teraz.

– Koleś, jak się ode mnie zaraz nie odpieprzysz, pójdę i cię zabiję! – krzyknął ze złością.

– Dobrze już, dobrze. Wrócę z przyjacielem.

Uznawszy, że odwaga powinna iść w parze z rozwagą, odszedłem i wróciłem do zespołu operacyjnego z pustymi rękoma. Była to jednak ważna chwila. Właśnie wówczas postanowiłem, że mam dość pracy TPO. Czułem, że robię się za stary i za gruby, by dalej się tym zajmować.

Zakupy kontrolowane zaczynały tracić swą atrakcyjność także z innych powodów. Zmieniał się charakter tych operacji. Wcześniej dzięki znajomościom z ulicznymi dilerami docieraliśmy do większych graczy, dokonywaliśmy szeroko zakrojonych aresztowań i przejęć narkotyków; mieliśmy uczucie, że naprawdę szkodzimy siatce przestępczej. W tamtym czasie natomiast zadowalaliśmy się po prostu ćpunami.

Dawali im po pięć funtów ekstra, by ich skusić, lub pozwalaliśmy im brać prochy na własny użytek. Nie odgrywaliśmy jeszcze roli prowokatorów, lecz zmierzaliśmy w tym kierunku. Wszystko, co robiliśmy, było oczywiście zgodne

z prawem, nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, że pod względem moralnym zbliżamy się do szarej strefy. Czułem się coraz bardziej nieswojo, ponieważ w sytuacji, gdy rządziły statystyki, przestawaliśmy skupiać się na tym, co najważniejsze. Ścigaliśmy nie tych ludzi, których powinniśmy. To zaczynało tracić sens.

Przez krótki czas kierowałem pracą wywiadowców działających w środowisku handlarzy narkotyków. Chciałem mieć pewność, że doprowadzamy przed oblicze prawa właściwe osoby, a tymczasem w zastawione przez nas sidła wpadali jak zwykle drobni dilerzy, czyli ludzie, których uważałem za ofiary w takim samym stopniu, jak zdesperowani ćpuni, którzy kupowali od nich narkotyki. Daremność tych wysiłków przyprawiała mnie o jeszcze większą frustrację.

Kolejnym przykładem obsesji wykrywalności była sprawa złodziei telefonów komórkowych. Policjanci mieli brać po pięć nowych telefonów, których cena w detalu wynosiła dwieście funtów, obchodzić nędzne sklepiki w Tottenham i pytać: „Czy ktoś kupi telefon za dwadzieścia funciaków?”.

Chodziło o to, że kupującym można było wówczas postawić zarzut obrotu skradzionymi towarami, nawiasem mówiąc, mocno naciągany. Jak należało się spodziewać, znalazło się kilku chętnych. Zastanawiałem się jednak, co by się stało, gdyby ktoś pokazał telefony w kantine policyjnej i zadał to samo pytanie. Jestem pewny, że wielu gliniarzy odpowiedziałyby: „Jasne, biorę”.

Ostateczny rezultat często nie uzasadniał kosztów operacji. Prowadziliśmy dochodzenie w sprawie tureckiej kawiarni, mającej problem z dilerami haszyszu. Wysłano mnie do właściciela, któremu sprzedałem pięćset nowych telefonów Nokii i dzięki temu namierzyliśmy dilerów. Operacja zakończyła się pełnym sukcesem, osiągnęliśmy cel, ale wyroki były śmiesznie niskie. Adwokaci obrony przejrżeli taktykę zakupów kontrolowanych i utrzymywali przed sądem, że jedynym powodem, dla którego ich klienci dali się podejść, była chęć zaspokojenia własnego nałogu. Dawniej skazywano podsądnych na cztery do sześciu lat więzienia, teraz wydawano wyroki w zawieszeniu lub skazywano na prace społeczne.

Ryzyko przewyższało korzyści. Od kiedy metoda zakupów kontrolowanych stała się powszechnie znana, zastanawiałem się, jak długo potrwa, nim jakiś gliniarz znajdzie się w kompromitującej sytuacji, z którą nie zdoła sobie poradzić. Miejska legenda mówiąca o tym, że tajniak zapytany wprost, czy jest policjantem, nie może skłamać, jest niczym więcej niż legenda. Wpadki były tylko kwestią czasu.

Dużo się zmieniło od czasu, gdy praca TPO była niezłą zabawą, gdy jeździłem po kraju, a nie siedziałem tylko w Londynie. Szczególnie zabawne było jedno zadanie w Bridgend w Walii. Należałem do zespołu, który miał infiltrować środowisko

narkomanów w tym mieście i odkryć głównych tamtejszych graczy. Podobnie jak wiele prowincjonalnych miast Bridgend miało duży problem z heroiną, a narkotyki przyczyniały się do wzrostu przestępczości ulicznej i rabunków.

Okazało się, że bossem był czarny gość, od którego kupiliśmy prochy pierwszego dnia. Zespół był naprawdę zadowolony. Chodziliśmy po ulicach po sześć, siedem godzin i bez problemów robiliśmy zakupy. Okazało się jednak, że mamy kłopoty z utrzymaniem fałszywych tożsamości. Musieliśmy polegać na swoim sprycie. Nie mieliśmy żadnego wsparcia logistycznego i musieliśmy znaleźć jakiś powód, dla którego tam jesteśmy. Kilku handlarzy, od których kupowaliśmy, zaczęło nabierać podejrzeń co do naszych motywów.

Jedna z wymyślonych przez nas bajeczek brzmiała tak, że mamy w bagażniku samochodu mnóstwo podrabianej odzieży, przejętej przez południow walijski urząd ochrony konkurencji i konsumentów, i sprzedajemy ją lub wymieniamy za narkotyki. Nie przewidzieliśmy, że ta opowiadka stanie się źródłem kłopotów.

O podrabianej odzieży dowiedział się tyranizujący miasto rudowłosy facet, który pewnego dnia przyszedł do nas, zabrał z samochodu naręczne ubrań i odmaszerował. Poszedłem za nim do pobliskiego pubu – było przedpołudnie – i jak się szybko przekonałem, popełniłem duży błąd. W pubie siedziało około jedenastu kumpli faceta, jeden z nich zamknął za mną drzwi. Poczujęm się jak na Dzikim Zachodzie. Kolesie otoczyli mnie, groźnie uderzając kijami bilardowymi o dłonie, a prowodyr oznajmił:

– Te rzeczy są teraz moje, a jak będę jeszcze czegoś chciał, musisz mi to dać.

Ledwie zdążyłem pomyśleć, że zrobiło się trochę niebezpiecznie, gdy facet uderzył mnie w twarz. Szkoda, że nie wpadłem wcześniej na to, że lepiej stąd wyjść. Mój kumpel Ernie nie miał pojęcia, gdzie się podziewam, a ja nie chciałem skończyć z dziurą w głowie za parę podrabianych džinsów. Ruszyłem do wyjścia, przepraszając, a jednocześnie próbowałem zachować twarz, rzucając groźbami w rodzaju: „Wy walijskie palanty, rzucę bombę zapalającą na ten pub”.

Dopiero na zewnątrz zorientowałem się, że udało mi się nagrać tego prowodyra, gdy proponował wymianę džinsów na heroinę. To wystarczyło miejscowej policji, by go aresztować za rozprowadzanie narkotyków. Dostał za to przestępstwo siedem lat i to pomimo że przyznał się do winy. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Przypuszczam, że sędzia przeżył jakąś związaną z narkotykami tragedię, dlatego zastosował zasadę zero tolerancji. A ponadto facet miał na koncie imponującą liczbę wyroków skazujących. Wszedł kiedyś do nowego pubu i połamał nogi właścicielowi, aby zapamiętał sobie raz na zawsze, że od tej pory on i jego kolesie nie będą za nic płacić.

Długa operacja zakończyła się sukcesem. Pracowaliśmy tam po trzy dni

w tygodniu przez trzy miesiące. Oprócz grubej ryby złowiliśmy też w Bridgend trochę płotek. Pewien uliczny artysta dał nam mały kawałek żywicy z konopi indyjskich i został oskarżony o dostarczenie nam narkotyku. Ta naprawdę dobra operacja całkowicie różniła się jednak od tego, co robiliśmy w Londynie.

Mimo że o sukcesie informowały niektóre media i pisała prasa, operacja ta stała się po powrocie do Londynu przyczyną moich kłopotów z przełożonymi, ponieważ na długo oderwała mnie od codziennej pracy. Nieważne, że zrobiłem policji dobrą prasę, i tak zawsze pada pytanie: „A co robisz dla nas?”

Mojemu bezpośredniemu przełożonemu, inspektorowi, też nie podobało się, że pracuję dla kogoś innego. Pisałem e-maile i dokładnie informowałem, czym się zajmuję, ale szczerze mówiąc, nikogo to nie obchodziło.

Czasami ma się uczucie, że nie sposób wszystkich zadowolić. Wydawało mi się, że muszę więc pracować na etacie dwa razy więcej, żeby jakoś nadrobić domniemane uchybienia. Nic dziwnego, że wciąż bolała mnie głowa.

Nadal zdarzało mi się pracować poza Londynem; współpracowałem na przykład z policją w Sussex, kupując crack i heroinę na wybrzeżu. Okazało się to trudniejsze niż w stolicy. W Londynie były przynajmniej miejsca, ulice, którymi się po prostu spacerowało, a ludzie cię pytali, czego chcesz.

Po pięciu latach zacząłem odczuwać nudę. Zbyt łatwo mi to przychodziło, kupowanie cracku i heroiny stawało się moją drugą naturą, niemal zostałem ćpunem. Tak właśnie się czułem. Zacząłem robić głupie rzeczy, by zabawić zespół operacyjny i siebie samego.

Przeprowadziłem jeszcze kilka operacji w West Endzie, całkiem spokojnych, po czym zadzwoniłem do Johna, koordynatora zakupów kontrolowanych, i powiedziałem mu, że odstawiam na dobre moje zniszczone reeboki, aby skoncentrować się na kursie dla tajnych funkcjonariuszy. Kupowałem wszelkiego rodzaju prochy i w najróżniejszych sytuacjach, pracowałem w całym kraju, kupowałem i sprzedawałem kradzione rzeczy, byłem okradany, wypracowałem ogromną liczbę nadgodzin i znałem dość anegdot i opowieści, by zapełnić dwie książki. Prowadziłem ciekawe życie. Zdobyłem reputację solidnego policjanta, specjalisty od zakupów kontrolowanych.

W czasie gdy pracowałem jako TPO, zachęcano mnie, bym złożył podanie o przyjęcie na szkolenie dla tajnych funkcjonariuszy. Wielu próbowało, lecz im się nie powiodło, między innymi Adrianowi, który nie ukończył kursu i wyemigrował do Australii. Sądziłem, że w pewnym sensie powinienem zrobić to za niego. Takie szkolenie nie jest dla każdego, lecz ja stałem się żywym dowodem na to, że nawet tak nieodpowiednie osoby mogą przejść przez surowe procedury przyjęcia. Odłożyłem na

wiele lat pomysł ukończenia kursu, lecz w końcu dopadło mnie przemożne pragnienie zostania jednym ze wspaniałych chłopców z SO10. Miałem dość traktowania mnie jak obywatela drugiej kategorii, a w SO10 tak właśnie postrzegani są TPO. Odkładałem jednak ostateczną decyzję tak długo, że w końcu jeden z facetów z SO10 postawił mi coś w rodzaju ultimatum. Powiedział, że jeśli nie wstąpię na pierwszy dostępny kurs, będę musiał znów przechodzić od początku cały proces selekcji, ponieważ za długo zwlekałem.

Ogólnokrajowy kurs dla tajnych funkcjonariuszy jest powszechnie uważany za policyjny odpowiednik szkolenia SAS – z pewnością nie dlatego, że podobne są wymagania dotyczące kondycji fizycznej kandydatów, lecz ze względu na wymaganą odporność psychiczną i stabilność emocjonalną. Kandydaci z całego Zjednoczonego Królestwa, a także z policji innych krajów, z wojska i służb bezpieczeństwa uczęszczają na jeden z zaledwie dwóch lub trzech kursów prowadzonych każdego roku.

Procedura przyjmowania i doboru kursantów jest niezwykle rygorystyczna, choć i tu znaczącą rolę odgrywa nie to, co się wie, lecz kogo się zna. W teorii kandydaci, niezależnie od swego wcześniejszego doświadczenia pracy w policji, wypełniają dwudziestostronicowy dziwaczny kwestionariusz, odbywają rozmowę kwalifikacyjną z lokalnymi władzami policyjnymi, przechodzą mnóstwo testów psychometrycznych, są oceniani przez psychologów, a w końcu odbywają decydującą rozmowę z wyższymi oficerami policji z całego kraju. I już mogą iść na kurs.

W rzeczywistości istnieją w tej procedurze pewne szczeliny. Jeśli badanie psychologiczne ujawniło pewne problemy, w rozmowie z psychologiem można po prostu powiedzieć, że są one właśnie rozwiązywane – upewni to rozmówcę, że kandydat potrafi radzić sobie z problemami. Nietrudno też kłamać. Być może nawet oczekuje się tego od kandydata. Tajni funkcjonariusze są przecież wyszkolonymi kłamcami.

Mam wrażenie, że przebrnąłem przez to wszystko tylko z powodu swych talentów językowych, zwłaszcza że w związku z coraz liczniejszą imigracją z Europy Wschodniej nasilała się przestępczość zorganizowana. W przeciwieństwie do większości kandydatów na kurs, nie pasowałbym do obowiązującego wizerunku łysogłowego gangstera około trzydziestki.

Ostatecznie miałem zacząć w listopadzie 2010 roku, a przedtem przygotować „legendę” – fałszywy życiorys, taki, który wykorzystany w terenie, wytrzymałby drobiazgowo sprawdzenie. Z oczywistych powodów legenda musiała być jak najbliższa rzeczywistości – ktoś chciałby zostać złapany na kłamstwie w kontaktach z bezwzględnyimi gangsterami?

Legenda musiała w wiarygodny sposób przedstawiać okres od urodzenia do chwili zdobycia średniego lub wyższego szczebla w hierarchii przestępczej. Imię oraz data i miejsce urodzenia pozostawały takie same, jak w realnym życiu. Życiorysy preparowano zadziwiająco starannie. Ja sam występowałem jako ktoś, kto mieszkał i pracował we Francji i przewoził narkotyki pociągami między Francją a Holandią. Niektórzy uczestnicy tego samego kursu także wybrali Holandię, zanim więc zaczęło się szkolenie, trzech z nas przejechało się tam na własny koszt. Spędziłem na kontynencie dwa dni, aby poznać czasy przejazdów i trasy, którymi jakoby jeździłem, i upewniłem się, że moja legenda nie stoi w sprzeczności z tym, co wymyślili inni kursanci.

Duże znaczenie miało wiarygodne wytłumaczenie mojej znajomości języka rosyjskiego. Utrzymywałem, że moi rodzice byli rosyjskimi dyplomatami mieszkającymi na Ukrainie, ja zaś wychowywałem się w Zjednoczonym Królestwie. Oboje mieli jakoby umrzeć w 1986 roku, co uznałem za sprytny pomysł, ponieważ był to rok wybuchu w elektrowni jądrowej w Czarnobylu i nie zachowało się wiele dokumentów dotyczących ludzi, którzy wówczas zmarli. Każdy więc, kto szukałby dziur w mojej legendzie, dostałby wiarygodne wytłumaczenie, dlatego nie ma żadnych dokumentów. Dołączyłem ponadto do forów internetowych i zamieszczałem prośby o informacje na temat moich rodziców.

Musiałem znaleźć sobie jakieś miejsce w Londynie, gdzie, gdyby mi się udało, mógłbym „budować legendę” – czyli w istocie chodzić na opłacane przez podatników spotkania przy piwie – ponieważ ogromnie ważne jest, by mieć jakiś miejscowy pub, w którym się bywa i gdzie wszyscy cię znają, nikt więc nie będzie podejrzewał, że jesteś z SO10.

Aby przydać mojej legendzie wiarygodności, jeszcze bardziej ją uprawdopodobnić, zrobiłem sobie nawet tatuaż na ramieniu – rosyjski napis: „Moja piękna matka”, w hołdzie dla mej fikcyjnej nieżyjącej rosyjskiej rodzicielki. Nie zrozumcie mnie źle, tatuaż jest ładny, lecz dowodzi tylko mojego poświęcenia i zapału, z jakimi dążyłem do zostania jednym z bandy SO10. Legendy były przedstawiane z wyprzedzeniem. Nie mieliśmy pojęcia, czy i kiedy zostaniemy poddani testowi na ich wiarygodność.

Kurs okryty jest tajemnicą, jego uczestnicy (i ci, którzy go ukończyli, i ci, którym się nie powiodło) nie opowiadają, czego ich tam uczono. Nie zdradzę więc żadnego z „sekretów”, dość powiedzieć, że na temat kursu krążyło mnóstwo mitów. Jeden z nich mówił, że niezbędne jest odpowiednie ubranie, chcąc więc zrobić wrażenie na instruktorach (wszyscy byli sierżantami, większość z nich znałem, żaden specjalnie mnie nie lubił), wybuliłem pieniądze, których nie miałem, na mokasyny od Gucciego, koszulę od Ralphi Laurena i marynarkę Gieves & Hawkes.

Odpowiednio odziany, lecz jak się okazało, zupełnie nieprzygotowany, przybyłem do ośrodka szkoleniowego Hendon z walizką pełną ubrań, tytoniem Golden Virginia na dwa tygodnie i potężną tremą.

Jeśli myślałem, że będzie jakieś wprowadzenie przed kursem lub przynajmniej objaśnienie, jak będą wyglądać najbliższe dwa tygodnie, myliłem się. Od razu zapędzono nas do pracy. Instruktorzy – wszyscy obsadzeni w rolach gangsterów ze wschodniego Londynu, jakby właśnie zeszli z planu zdjęciowego *Lotnej brygady* – wybrali jednego kursanta i powiedzieli mu, że zostanie przemaglowany ze swojej legendy.

Reszta z nas przełknęła ślinę. Patrzyliśmy, jak pierwsza ofiara opada na krzesło, a dwaj instruktorzy sadowią się w odległości trzydziestu centymetrów od niej, kwestionując niemal każdy aspekt jej nowego życiorysu. Jako gangsterzy, z którymi kursant chciał robić interesy, maglowali go prawie godzinę. To wtedy okazywało się, czy opłacała się ciężka praca włożona w przygotowanie do kursu. Grad pytań spadał na kursanta w nadziei, że pęknie, popełni błąd, gdzieś się sypnie. Pierwsza ofiara dobrze się spisała. Pozostali siedzieli w nerwowym oczekiwaniu na swą kolejkę na krzesła.

Prawdę mówiąc, niezbyt wiele zapamiętałem z samego kursu. Przez cały czas jego trwania kursanci są szczegółowo przepytani z prawa precedensowego i obowiązujących przepisów, odgrywają liczne scenki i wcielają się w różne postaci, prowadzą pozorowane tajne operacje w czasie rzeczywistym. Kurs jest niezwykle intensywny, a wymagania wobec uczestników są bardzo wyśrubowane.

Funkcjonowałem niemal wyłącznie na nikotynie i kawie. Jadłem bardzo mało, w ciągu dwóch tygodni straciłem ponad sześć kilogramów (gdybym tylko mógł to zrobić teraz!). Oczekiwano, że będziemy kłaść się do łóżek około drugiej w nocy, często opici piwem po wieczorze spędzonym z instruktorami po zakończeniu zajęć, a czasami po scenkach i operacjach trwających do późna w noc. Pewnego dnia znalazłem się w łóżku o piątej rano. W salach wykładowych musieliśmy pojawiać się o ósmej. Sypialiśmy po pięć, sześć godzin, a weekend nie przynosił wypoczynku. Dostawaliśmy mnóstwo zadań do skończenia po zajęciach; niektóre z nich wymagały jazdy po całym Londynie albo wykonywania telefonów o północy.

Uczestnik mógł zostać bez ceregieli usunięty ze szkolenia. Pozostałym kursantom nie podawano przyczyn. Po prostu kolega nie pojawiał się już na zajęciach. Pozostałym nie szczędzono krytyki i wyzwisk. Myślę, że ciągłe wymyślanie od „piździelców” i powtarzanie, że jest się „do niczego” mocno działało na niektórych, między innymi na mnie.

Nie ukrywam, że było to cholernie trudne szkolenie, chyba najtrudniejsze ze

wszystkich, które przechodziłem. Obecnie również uczęszczam na różne kursy, lecz żaden nie budzi we mnie strachu i nie rozstraja nerwów. Po przeżyciach na kursie dla tajnych funkcjonariuszy żaden inny nie jest mi straszny.

Na początku drugiego tygodnia, we wtorek rano chciałem się poddać. Rozplakałem się i powiedziałem kolegom, że wracam do domu.

To było już dla mnie za dużo. Nieustanna presja, ciągłe ochrzanianie, głęboko zakorzeniona obawa, że po przejściu tego wszystkiego i tak nie będę dobrym tajniakiem, doprowadziły mnie do wniosku, że powinienem po prostu dać sobie spokój.

Koledzy prosili, bym został, byłem jednak zdeterminowany. Nie poszedłem do sali wykładowej, złapałem natomiast idącego tam Pascala, jednego z opiekunów mojej grupy. Namawiał, bym nie rezygnował. Najwyraźniej był przekonujący, ponieważ mimo wszystkich wątpliwości zostałem. Znów poddałem się magii SO10, a pomysł porzucenia kursu rozwiął się jakoś po tym, jak jeden z instruktorów mnie pochwalił, co zamieniło się w mojej głowie niemal w pewność, że dam sobie radę.

Później tego dnia przyszła moja kolej na maglowanie z legendy. Ostrożnie usiadłem na krześle, gotów na przesłuchanie. Początkowo wszystko szło dobrze, udało mi się odpowiedzieć na wiele pytań. Dobrze przeprowadziłem rozpoznanie, jak sądzę. Dopiero gdy padły pytania o ceny narkotyków, zacząłem się plątać. Moje odpowiedzi wywoływały śmiech, poczułem, że marnie ze mną.

– A więc znasz Amsterdam? – zapytał Joe, jeden z przesłuchujących.

– Tak, dość dobrze – odparłem, pewny siebie, ponieważ byłem w tym mieście zaledwie kilka tygodni wcześniej, by przygotować właśnie ten scenariusz.

– Jak się nazywa główny kanał?

Pustka w głowie.

– Hm. Nie wiem.

– A główna ulica?

I znów pustka, wszystkie nazwy i informacje, które miałem zapamiętać, po prostu wyparowały.

– Zapomniałem.

– A główny plac? Co jest tak nazywane?

Chryste, schrzaniłem to.

– Nie pamiętam.

– Hm, trochę z ciebie bajerant, co? – skomentował Joe.

– Wielki bajerant – dodał Pascal, drugi z przesłuchujących.

– Nie, wcale nie – powiedziałem, czując, że zaraz mnie dobiją.

– Mówisz po rosyjsku, prawda? – zapytał Pascal.

– Tak, trochę – odparłem. Wśród moich kolegów rozszedł się pomruk. Żaden z nich nie wiedział, że mówię w jakimś obcym języku. Celowo postanowiłem się tym nie chwalić.

– Udowodnij – powiedział Pascal i podał mi telefon komórkowy. Telefon zadzwonił, odezwał się ktoś mówiący po rosyjsku. Zdążyłem zamienić z nim parę słów, gdy Joe podał mi drugi telefon.

– Mówisz też po francusku? – zapytał.

– *Minutoczku* – rzuciłem do Rosjanina. – Tak – powiedziałem do Joego i wziąłem od niego telefon.

– *Allô, je vous écoute* – powiedziałem i odbyłem krótką pogawędkę po francusku z gościem przy tym aparacie. Potem przez minutę czy dwie żonglowałem telefonami, przerzucając się z francuskiego na rosyjski i odwrotnie, a wreszcie zakończyłem obie rozmowy i oddałem telefony Pascalowi i Joemu.

– Dobrze poszło?

Koledzy zareagowali entuzjastycznie. Chyba zrobiła na nich wrażenie moja znajomość języków, ale podejrzewam, że bardzo podobało im się także, iż dałem łupnia instruktorom. Próbowali mnie załatwić przy pomocy języków, lecz się nie udało.

Oklaski nie trwały długo, ucięło je surowe spojrzenie Pascala. Moje przesłuchanie się skończyło. Podczas przerwy na kawę wysłuchałem wielu pochwał, lecz niektórzy z kolegów zauważyli też, że instruktorzy nie lubią, gdy ktoś ich zawstydza. Wiedziałem, że przez resztę szkolenia nie będzie mi łatwo.

Jedną z podstawowych zasad obowiązujących na tym kursie było to, by nigdy nie wychodzić z roli, czyli cały czas zachowywać przybraną tożsamość, chyba że któryś z instruktorów poleci coś innego. Wydawało mi się, że przestrzeganie tej zasady jest dość łatwe.

– Christian, jesteś kierowcą Berta – oznajmił Pascal, rozdzielając role w najnowszym scenariuszu, w którym miejsce akcji umieszczono w lokalnym McDonald'sie.

– W porządku.

Pascal rzucił mi kluczyki samochodowe.

– Beemka piątka na zewnątrz – krzyknął. – Zarejestrowana na Abdullaha Abdelahiego z Coventry.

– W porządku – powtórzyłem i ruszyłem do samochodu wraz z Bertem, niedużym, bezczelnym gościem z East Endu. Upewniłem się, że tablice rejestracyjne są takie, jakie powinny być, a na przedniej szybie jest odpowiednia plakietka z potwierdzeniem zapłaty podatku drogowego. Rzuciliśmy z Bertem tylko okiem, żadnych dokładnych oględzin.

– Jaki jest plan? – zapytałem. – Jestem tylko kierowcą i to mi się podoba.

– Dobra, zaparkujemy przed McDonald'sem. Henry, kolega z kursu, spotyka się tam z naszym obiektem. Mam pieniądze, więc gdy Henry zadzwoni, że ten łajdak w to wchodzi, dam mu forszę, on ją przeliczy i odpieprzy się. I po robocie.

– W porządku, moim zdaniem brzmi dobrze.

Pojechaliśmy, zaparkowaliśmy przed McDonald'sem. Zobaczyliśmy Henry'ego z tym człowiekiem. Wielki facet, przerażający jak diabli, wsiadł do naszego samochodu. Burknął na mnie, Bert dał mu plik gotówki, facet przeliczył, włożył do kieszeni i ulotnił się.

Uf, pomyślałem, łatwizna. Bert także wydawał się zaskoczony, że tak gładko poszło, bez żadnych niespodzianek.

Powoli zacząłem odjeżdżać, gdy czarny vauxhall zafira zatrzymał się przed nami z piskiem opon, błyskając niebieskimi światłami.

Cholera, to musi być jakaś podpucha, pomyślałem.

– Tylko pamiętaj, żeby nie wyjść z roli – przypomniałem Bertowi. Słyszałem opowieści o ludziach z kursu, którzy zostali „przymknięci” w czasie odgrywania scenek i zawiezieni do aresztu, gdzie z miejsca przyznawali się dyżurnemu sierżantowi, że są na kursie dla tajnych funkcjonariuszy – i wylatywali z kursu. Nie chciałem, żeby spotkało to mnie.

Z zafiry wyskoczyło dwóch gliniarzy w cywilu. Wsiadłem.

– Co się dzieje, do cholery?! – krzyknąłem głośno, niczym prawdziwy gnojek z gangu, co niezbyt do mnie pasuje.

Gliniarz pokazał legitymację i wyjaśnił, że widział nas w trakcie „podejrzanych działań”, dlatego chciałby przeszukać samochód.

– No to szukaj, koleś – rzuciłem ze śmiechem.

Policjanci skuli nas i przeszukali nasze bmw, gdzie znaleźli broń i dużą torbę narkotyków.

Cholera, nie przeszukaliśmy tego pieprzonego wozu przed wyjazdem. Błąd.

Byłem przekonany, że spędzę noc w areszcie, odgrywając swą rolę, dopóki nie uwolnią mnie instruktorzy. Gliniarze zdjęli nam jednak kajdanki i przełożyli broń

i narkotyki do swego samochodu.

– Dobra, koniec testu. Możecie wracać do Hendon – oznajmił jeden z nich.

Nie rób ze mnie głupka, pomyślałem. To tylko część testu.

– Odpieprz się, palancie! – krzyknąłem. – A niby gdzie jest to Hendon, piździelcu?

Nie miałem wątpliwości, że to element szkolenia. Być może test na to, czy potrafimy rozpoznać skorumpowanych gliniarzy. Może ci udają skorumpowanych, a może to naprawdę przekupne gliny, niemające nic wspólnego z kursem. Tak czy inaczej, bez znaczenia. W głowie kłębiło mi się od wszelkich możliwych koncepcji przyczyn takiego ich zachowania. Nadal grałem swą rolę i byłem zdecydowany nie poddawać się. Nie zaszedłem tak daleko, by teraz wszystko schrzanić, bo dałem się podejść. To właśnie sobie powtarzałem.

– Ty pieprzony palancie – ciągnąłem, dla lepszego wrażenia podchodząc jeszcze bliżej do policjantów. Byłem agresywny i ordynarny.

Ten drugi facet wyciągnął pałkę.

– Słuchaj, fiucie – powiedział. – Jeśli nie wsiądziesz do wozu i migiem nie wrócisz do Hendon, oberwiesz. Zrozumiałeś?

W porządku, uznałem. To wciąż test. Dziś może się wydawać dziwne, że myślałem w ten sposób, lecz tego właśnie uczono nas na kursie.

Henry się poddał, to pewne.

– Daj spokój – powiedział. – Chyba powinniśmy już wracać do samochodu.

Gdy w końcu dotarliśmy do Hendon, rozpętała się draka. Zostałem należycie opieprzony za nieokazanie szacunku kolegom.

– Chwileczkę. Mówiliście, żeby nie wychodzić z roli, o ile nie poleci tego upoważniona osoba z kursu – protestowałem. – Przecież tak właśnie postąpiłem.

Nie kupili tego. Po raz kolejny podpadłem. Wydawało się, że nie mogę wygrać.

Im bliżej końca, tym bardziej czułem się wyczerpany psychicznie. Wtedy przychodzi ostatni sprawdzian. Wokół tego ostatniego zadania krąży w SO10 mnóstwo mitów. Opowieści o śmiesznych wymaganiach i niewiarygodnym stresie. Ponoć na niektórych kursach komandosi z SAS odgrywają rolę porywaczy. Wszyscy robili w gacie ze strachu.

Zadawano nam dziwaczne pytania w rodzaju: „Czy ktoś tu umie pływać?” lub „Czy macie aktualne szczepienie przeciw tężcowi?”. O co w tym chodziło, u licha? Musieliśmy oddać nasze karty SIM do telefonów komórkowych, a potem zabrano nam telefony i oddano po dziesięciu minutach, zastanawialiśmy się więc, co oni mogli z nimi zrobić w tym czasie. Uczestniczyliśmy w poprzedzającej ostatnie zadanie

osobliwej ceremonii, która wprawiła nas w całkowitą dezorientację. Po dwóch tygodniach piekła, niewyspani, niemający pojęcia, co nas czeka, wszyscy byliśmy wystraszeni.

Nie chcę zdradzać, na czym polegał ten sprawdzian, wystarczy powiedzieć, że był trudny, a jednocześnie nieco rozczarowywał.

Po wykonaniu zadania musieliśmy złożyć instruktorom sprawozdanie i dokładnie wyjaśnić, co robiliśmy. Zadanie było pomyślane w ten sposób, byśmy wierzyli, że jesteśmy obserwowani i oceniani w czasie jego trwania, później jednak dowiedziałem się, że tak nie było; mógłbym ubarwić swoje sprawozdanie, a instruktorzy nigdy by się nie dowiedzieli.

Następnego rana powiedziano nam, że wszyscy zdaliśmy. Nie było żadnej uroczystości ani owacji, wieczorem wszyscy wyszli jednak na kolację w miejscowej restauracji. Zgodnie z panującą na kursie atmosferą instruktorzy wykorzystali wygłaszane po kolacji mowy jako okazję do nabijania się z kursantów. Gdy przyszła kolej na mnie, odczytali fragment mojego rzekomego dziennika kursu. Muszę przyznać, że było to nawet zabawne. Uznali mnie za przewrażliwionego gościa z wyższych sfer i usiali moje wynurzenia lamentami w stylu: „biada mi, biada”.

Rozluźniony – i odważniejszy – bo wszyscy obecni ukończyli kurs pomyślnie, zacząłem nabijać się z instruktorów. Zakończyłem słowami:

– Dobra, lecę teraz założyć swoją przydziałową kurtkę Stone Island, obciąć się na jeża i zamienić w gangstera ze wschodniego Londynu.

Sala zamarła. Niektórzy instruktorzy wydawali się mocno urażeni. Nie do wiary. Po tych wszystkich ochranach, jakimi hojnie obdzielali nas przez dwa tygodnie, nagle okazali się gośćmi o bardzo cienkiej skórze. Zawsze powtarzam: nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

Kurs ukończyło osiem z dwunastu osób, które go zaczynały. Z tych ośmiu sześć wstąpiło do tajnych jednostek w Zjednoczonym Królestwie, pozostałe dwie znalazły zatrudnienie za granicą. Podobnie jak większość moich kolegów z kursu podjąłem pracę w niepełnym wymiarze godzin. Wyglądało to podobnie jak wówczas, gdy zajmowałem się zakupami kontrolowanymi – byłem dyspozycyjny i wykonywałem zlecane tajne zadania, a jednocześnie zachowałem etat na komisariacie. Jedyna kursantka została od razu przyjęta na pełny etat w tajnej jednostce, co świadczy o tym, jak bardzo potrzebne były w tej pracy kobiety.

W podobny sposób jak ja, w kraju pracuje zawsze może kilkaset osób, każda ma inne umiejętności do zaoferowania. Dołączyłem do nich, wszedłem do elity. Teraz pozostawało tylko czekać na zadanie do wykonania. Dostałem je po kilku tygodniach.

Wyżerka w *Park Lane*

Euforia. To właśnie czułem po ukończeniu kursu dla tajnych funkcjonariuszy. Wróciłem do codziennej pracy w wydziale narkotykowym, mając nowy cel w życiu. Z pewnością nie groził mi syndrom rozdętego ego, muszę jednak przyznać, że czułem się nieco lepszy od kolegów.

W każdym razie ochoczo przystąpiłem się do nowych zadań. Dopilnowałem, żeby znaleźć się na początku kolejki składających kwestionariusze potrzebne do uzyskania dokumentów – paszportu, prawa jazdy i karty kredytowej na moje przybrane nazwisko, Christian Gregorovich Sulyenko.

Wybór takiego nazwiska był żartem, a dopełnieniem tego żartu stały się wymyślone przeze mnie zawiłe opowieści o Sulyence – czyli o mnie.

Pierwsze tajne zadanie otrzymałem jednak na długo przed dokumentami i było tak różne od wizyt w zapluskwionych melinach narkomanów, jak tylko można sobie wyobrazić.

Z biura SO10 zadzwoniła do mnie Jane, jedna z tajnych funkcjonariuszek, z prośbą o przybycie na popołudniową odprawę. Szybko wyjaśniłem swemu sierżantowi, co się dzieje, i wskoczyłem do autobusu jadącego z Park Lane do Victorii.

Podekscytowanie sprzed zaledwie paru chwil nagle wyparowało, poczułem się tak zdenerwowany, jak podczas pierwszej akcji zakupu kontrolowanego w Haringey. Z duszą na ramieniu zapukałem do drzwi sanktuarium, czyli biura SO10 w New Scotland Yardzie.

– Po co, do cholery, pukasz, kutasie! – krzyknął Dave, jeden z instruktorów z kursu. – Jesteś teraz jednym z nas, nie musisz pukać.

– Och – wymamrotałem zakłopotany niczym mały podrywający dziewczynę na szkolnej dyskotecie. – Czy jest tu Jane?

– Tam – odparł Dave, skinąwszy głową w stronę mniejszego pokoju odpraw.

Zapukałem do drzwi, zamkniętych od wewnątrz. Wszedłem, usiadłem i rozejrzałem się dookoła. Orv, czarny policjant, z którym pracowałem jako TPO, uśmiechnął się na powitanie. Jane spiorunowała mnie wzrokiem.

– Gdzie byłeś, do cholery? Mówiłam: o pierwszej.

Gniewna mina i zjadliwy ton powiedziały mi, że zrobiłem coś głupiego. Na moim zegarku była druga po południu. Ups.

– O cholera! Przepraszam.

– No tak, czekaliśmy na ciebie całe wieki. Komisarz – wskazała głową zadbanego gościa w trzyczęściowym garniturze, stojącego w rogu pokoju – musi gdzieś wyjść.

– Przepraszam, szefie – powiedziałem do niezbyt przejętego moim spóźnieniem komisarza. Zamruczał coś w odpowiedzi i rzucił:

– Bierzmy się do roboty, dobra?

Tak więc już na początku moja solidność stanęła pod znakiem zapytania. Ale nie dam się. W każdym razie mieliśmy krótką odprawę, a ja nie dowiedziałem się dosłownie niczego o powodach i kontekście planowanej operacji. Wiedziałem tylko, że ma się odbyć jeszcze tego dnia, około godziny szóstej, na lotnisku Heathrow, gdzie mieliśmy udawać pasażerów, którzy właśnie przylecieli. Orv i obiekt operacji (czarny charakter) mieli się tam spotkać ze mną; występowałem w roli handlarza diamentów pracującego dla dużej organizacji przestępczej. Potem mieliśmy pojechać do Hatton Garden, londyńskiego centrum handlu biżuterią, i zatrzymać się tam na krótko przed przyjazdem do jednego z najelegantszych hoteli przy Park Lane, gdzie miało odbyć się spotkanie z resztą „gangu”, czyli dużą grupą tajnych policjantów. Cała ta operacja była, jak to nazywali „teatrem”, wystawnym widowiskiem, mającym nabrać przestępców, przekonać ich, że mają do czynienia z „właściwymi” gangsterami.

Nie całkiem w ten sposób wyobrażałem sobie pracę tajnego gliny, pomyślałem jednak, że jak na pierwsze zadanie, rzecz nie wydaje się zbyt skomplikowana.

Podeksytowany po odprawie szybko umówiłem się z Orvem, kiedy i gdzie spotkamy się na lotnisku. Orv powiedział mi też, bym w obecności naszego obiektu mówił w obcych językach, bo zrobi to na gościu wrażenie.

Zacząłem szukać odpowiedniego lotu i wybrałem przylot o 5.50 z Amsterdamu. Powiedziałem o tym Jane.

– Amsterdam?! – krzyknęła. – Jesteś pieprzonym handlarzem diamentów, nie przyjeżdżasz na wieczór kawalerski. Znajdź coś innego.

Ta wymiana zdań wielce ubawiła Pascala, drugiego mojego instruktora z kursu. Pascal, który nie odezwał się do mnie ani słowem od chwili, gdy wszedłem do pokoju, rechotał z całego serca. Patrzył na mnie jak na zakałą policji. Nie sądziłem, że kiedykolwiek zaakceptuje mnie w zespole SO10; byłem zbyt elegancki, on zaś wciąż ubolewał, miałem co do tego pewność, że nie udało mu się pogrążyć mnie na kursie.

Zdecydowałem się na lot z Brukseli, bardziej może odpowiedni dla sprzedawcy klejnotów. Jane poleciła mi jechać na Heathrow, na spotkanie z funkcjonariuszem z wydziału specjalnego, który miał wprowadzić mnie do strefy dla pasażerów po odprawie. Podała mi numer jego telefonu.

Teraz musiałem tylko wykonać drobne czynności niezbędne przy każdym tajnym zadaniu. Włożyłem nową kartę SIM do zapasowego blackberry, podałem Jane i Orwowi numer. Nie była to specjalna karta wydana przez Met, lecz zwykła, kupiona w jakimś kiosku. Uprzedzono nas jedynie, by nie kupować kart w sąsiedztwie Scotland Yardu, ponieważ gdyby zdarzyło się najgorsze, można byłoby dotrzeć do kioskarza.

Nie zastanawiałem się zbyt nad sprzętem będącym do naszej dyspozycji, spodziewałem się jednak, że będzie z najwyższej półki. Ostatecznie SO10 to była elita. Gdy jednak Jane wręczyła mi dyktafon, zacząłem się bać, że nadaje się on raczej dla Johnny'ego Englisha niż dla Jamesa Bonda. Wyglądał jak prostokątny kawałek plastiku rozmiarów talii kart. Na argument, że przynajmniej nie przypominał magnetofonu, odpowiem, że i tak był do niczego już choćby z tego powodu, że zwracał uwagę. Na jego widok samo nasuwało się pytanie, co to jest. Do tego ten sprzęt dla tajnego agenta miał mały czerwony guziczek z napisem: „nagrywanie”. I drugi z napisem: „stop”.

Nie miałem wyboru, musiałem wziąć to coś. Idąc na spotkanie na Heathrow z funkcjonariuszem z wydziału specjalnego, próbowałem nie myśleć o dyktafonie. Mieliśmy spotkać się w miejscu publicznym.

W takich sytuacjach dyskrecja ma znaczenie zasadnicze. Jezu, pomyślałem na widok tego gościa.

– W porządku? A więc to ty jesteś tym tajniakiem? – zawołał radośnie. Jego radio ryczało na cały regulator. Ledwie mogłem uwierzyć, że ten błazen z odznaką policyjną zwisającą z szyi i wystającym spod kurtki pojemnikiem z gazem został wysłany na spotkanie z tajnym funkcjonariuszem. Przywitałem się z nim przez zaciśnięte zęby.

Nie do wiary. Skąd oni biorą takich ludzi? Był w cywilnym ubraniu, powiedziałem jednak:

– Spokojnie, jesteśmy w miejscu publicznym. Nie wiadomo, kto słucha. Jak dostaniemy się do strefy dla pasażerów po odprawie?

– Ale pokaż legitymację – zażądał.

To zaczynało zakrawać na farsę.

– Nie mam przy sobie. Jestem tajniakiem. Myślałem, że wszystko jest nagrane. Dlaczego muszę użerać się z tym głównem?

– Och – westchnął, wyraźnie nic nie rozumiejąc. – Nie denerwuj się, spróbuję cię przeprowadzić.

Aby się tam dostać, musiałem przepuścić torbę i kurtkę przez bramkę kontrolną.

Czy trzeba dodawać, że skaner oczywiście wychwytał dyktafon? Czerwony na twarzy, po pośpiesznych wyjaśnieniach w końcu znalazłem się w tłumie pasażerów. I to tyle, jeśli chodzi o korzyści z wyspecjalizowanej, elitarnej jednostki, pomyślałem.

Cała ta procedura miała służyć temu, bym mógł wrócić do strefy ogólnodostępnej, udając, że właśnie wysiadłem z samolotu. Tak wyglądała pierwsza część operacji, która dalej poszła jak z płatka. Spotkałem się moim kolegą, Orvem, i naszym obiektem, mężczyzną podejrzanym o udział w zabójstwach. Orv pracował nad tą sprawą od miesiący.

Pojechaliśmy do Hatton Garden; po drodze rozmawiałem przez telefon po rosyjsku, by uwiarygodnić bajeczkę, że jestem międzynarodowym handlarzem diamentów. Po krótkiej wizycie u jubilera przemierzyliśmy śródmieście Londynu eleganckim audi Orva – tym razem popisywałem się w samochodzie swym francuskim – i w końcu dotarliśmy do hotelu Grosvenor House w Mayfair.

Gdy tylko się tam znaleźliśmy, zacząłem wpadać w panikę. Przez trzy lata pracowałem w jednostce zwalczającej przestępczość hotelową, teraz więc bałem się, że ktoś z ochrony mnie rozpozna. W tamtych czasach regularnie bywałem z Andym w Grosvenor House i znałem wszystkich ochroniarzy z widzenia. Setki razy wchodziłem ukradkiem przez wejście dla personelu, gawędziłem z kelnerami, boyami hotelowymi, pokojówkami i recepcjonistami, desperacko usiłując zabić nudę niekończącego się patrolowania Park Lane. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego SO10 wysłało mnie tu, skoro musiano zdawać sobie sprawę, że istnieje ryzyko rozpoznania mnie. Mało prawdopodobne, by w wydziale nie wiedzieli dokładnie, gdzie każdy z nas pracował. Świadomie narażano całą tę dużą operację na niebezpieczeństwo.

Próbowałem się rozluźnić, wejść w rolę, ale w głowie czułem zamęt. Usiedliśmy w barze i zamówiliśmy jakiegoś szampana. Pojawiło się więcej tajniaków w rozmaitych przebraniach. Słysząc było rozmowy prowadzone jakby przez gangsterów z East Endu, nie całkiem w moim stylu. Udawałem, że ich nie słucham i całą uwagę poświęcam obiektowi. Facet posiedział w barze około dwudziestu minut, po czym przeprosił i wyszedł. Myślałem, że oznacza to koniec przedstawienia. Myliłem się.

Niedługo po wyjściu tego gościa jeden z starszych tajnych funkcjonariuszy pochylił się do mnie.

– Czy nie powinienes czegoś zrobić? – zapytał.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Gestem pokazał moją wewnętrzną kieszeń. Sięgnąłem do niej i wyłączyłem dyktafon. W barze zostało nas czterech, wkrótce dołączył jednak jeszcze jeden gość z SO10. Nasza piątka zamówiła szampana za sto funtów, a potem poszliśmy na wystawną i bardzo drogą kolację.

Mogłem zrozumieć potrzebę podtrzymania fikcji, że jesteśmy ludźmi nieliczącymi się z pieniędzmi, lecz wydana wówczas kwota wprawiała w osłupienie. Zalałem się w trupa. Gdy przyszła pora wracać do domu, koledzy jeden po drugim powtarzali: „Nie przejmuj się tym. Nigdy za nic nie płać. Zawsze płaci firma”. W tamtym czasie mieszkałem w Fulham, musiałem więc wziąć taksówkę; znów nakłaniano mnie, bym wystąpił o zwrot pieniędzy za przejazd.

Rano denerwowałem się wysokością tego wydatku i chcąc się upewnić, że nie zostanę nim obciążony, zadzwoniłem do oficera z pytaniem, czy powinienem zapłacić z własnej kieszeni.

– Nie, pokryjemy to. To wchodzi w koszty, wystarczy podać kwotę.

Przegrałem zawartość dyktafonu, włożyłem go do torebki na dowody i napisałem raport. Tak wyglądało moje wejście do świata tajnych operacji.

Testowanie penetracyjne

W czasie swych pierwszych tajnych operacji często słyszałem powtarzane jak mantra słowa: „Firma zawsze płaci za wszystko”. Zasadniczo obowiązywała niepisana zasada, że gdy tylko zostanie się wyznaczonym do jakiegoś zadania, nie płaci się za nic z własnej kieszeni, także za przejazdy do i z pracy, ani nawet za podwójną latte w Starbucksie.

Bardzo mi to odpowiadało i z wyjątkiem tego pierwszego razu, nigdy nie kwestionowałem etycznej strony tego zagadnienia. Choć, jak przypuszczam, powinienem. Zapoznano mnie z obowiązującym w SO10 archaicznym systemem pobierania pieniędzy i zwrotu wydatków – należało ręcznie wypełnić formularz i uzyskać podpis komisarza. Odhaczało się różne rubryki, zależnie od tego, na co poszły pieniądze. System był niezwykle i niepotrzebnie skomplikowany, przestarzały, a dla ludzi posługujących się kilkoma różnymi tożsamościami – skrajnie dezorientujący. Nie miałem z nim dobrych doświadczeń.

Tymczasem z zapalem wykonywałem od czasu do czasu tajne zadania. W dzień pracowałem na etacie, przy zakupach kontrolowanych w centrum Londynu, a później działałem jako tajniak dla SO10, niekiedy przez całą noc.

Jedno z moich zadań okazało się nader osobliwe. Aby przeprowadzić tę operację, nazwaną niezbyt ładnie „testowaniem penetracyjnym”, znalazłem się wraz dwoma innymi tajniakami i sierżantem, Davem, w anonimowym (choć wygodnym) hotelu w południowo-zachodniej Anglii.

Ogromnie ciekaw odprawy, zamieniłem się w słuch, gdy Dave mówił nam (w sposób typowy dla ludzi z SO10 przeciągając samogłoski niczym gangster z południowo-wschodniego Londynu), że naszym zadaniem jest infiltrować komendy jednego z dużych okręgów policyjnych w południowej Anglii. Nie ujawnię, o który okręg chodzi, by zaoszczędzić tamtejszym policjantom wstydu. Wystarczy powiedzieć, że problem dotyczył bezpieczeństwa komendy głównej i że miejscowa ochrona nie wypełniała swych zadań.

Polecono nam znaleźć wszystkie możliwe sposoby dostania się na teren tej komendy, a gdy już znajdziemy się w środku, dotrzeć do kantyny lub innego dużego pomieszczenia ogólnodostępnego i zostawić tam jakieś niewinnie wyglądające pudełka lub coś w tym rodzaju. Sprawa wyglądała na poważną, nie wpadłoby mi jednak do głowy, że będę robił takie rzeczy!

Odbyliśmy bardzo krótkie spotkanie z zastępcą szefa tamtejszej policji, który wręczył każdemu z nas podpisany przez siebie list; mieliśmy go pokazywać, w razie gdyby ktoś zakwestionował naszą obecność w komendzie głównej. W liście była mowa o tym, że jego posiadacz wykonuje tajne zadanie i że można sprawdzić, dzwoniąc na podany na końcu grubą czcionką numer telefonu komórkowego. Osobistego telefonu zastępcy szefa.

Spędziłem dwa dni wraz z dwójką innych tajniaków – Inianowłosą Kath, mieszkanką Londynu, i Diggorym, niedużym facetem z Irlandii Północnej – wchodząc i wychodząc z terenu rzekomo bezpiecznej komendy policji. Bezczelnie, tylną bramą, z której korzystali palacze urywający się na szybkiego szluga. Podrobiłem przepustkę na parking za pomocą pisaka i bez problemu wjeżdżałem za ogrodzenie. Spacerowaliśmy z Kath po całym terenie przez nikogo niezaczepiani, popijaliśmy herbatę w kantynie i pozostawiliśmy pod stołem puste, nijakie pudełko z napisem: „bomba”. Diggory ukrył się w bagażniku bmw siódemki, którą wjechałem przez bramę, udając nierozgarniętego, nieznanego okolicy półgłówka z wyższych sfer. Ochroniarz z parkingu skinął na mnie, pozwalając zawrócić i wyjechać tą samą drogą. Gdy byliśmy już na terenie, Diggory wy dostał się z bagażnika i wymachując skrzynką na narzędzia DeWalta, włóczył się po całej komendzie głównej. Gdy spotkaliśmy się później, powiedział nam, że instruktor strzelectwa, który sądził, że Diggory przyszedł naprawić okno, oprowadził go po magazynie broni. Nie do wiary.

Podczas pobytu tam przez dwa wieczory raczyliśmy się wystawnymi kolacjami i drinkami (wszystko, naturalnie, na koszt firmy), a nawet wyszliśmy się napić i zabawić do klubu w najbliższym mieście. Ochocho zacząłem robić zrzutkę, sam wyłożyłem czterdzieści funtów tylko po to, by znów wciśnięto mi je do ręki ze słowami: „Nigdy nie płać za nic z własnych pieniędzy, synu”. Zmieszany zacząłem protestować, mówiąc, że formalnie na dziś skończyliśmy, nie jesteśmy już w pracy. Pijemy i tańczymy po pracy, czyż nie? Otóż zdaniem moich kolegów – nie.

W komisariacie musiałem zabiegać o każdy grosz na zwalczanie handlu narkotykami, a oni radośnie wydają pięćset funtów na nocny klub. Uzasadniali to tym, że teraz nie jesteśmy już glinami, tylko osobami, których role odgrywamy. Ale tak czy inaczej nawet w klubie rozmawialiśmy o pracy, ponieważ gliniarze nie potrafią rozmawiać o niczym innym.

Byłem nowicjuszem, więc skwapliwie się zgodziłem i choć czułem się trochę nieswojo, zepchnąłem całą sprawę gdzieś w tył głowy. Dave, wesolek z natury, rozśmieszył mnie do łez, wyczyniając w tym szkaradnym prowincjonalnym klubie dziwaczne wygibasy do muzyki house ku zgorszeniu miejscowych mięśniaków.

Po ciężkiej nocy, zakończonej kebabem i powrotem do hotelu taksówką po pijaku, obudziłem się następnego rana z łupaniem w głowie, ale też z masą przyjemnych

wspomnień, szczęśliwy, że zaczynam wciągać się w tę pracę. Pomyślałem, że bez problemu mógłbym w ten sposób zarabiać na życie. To było wspaniałe.

Jeszcze tego samego dnia, gdy tylko Diggory zdążył podrzucić mnie do domu, zostałem zawiadomiony telefonicznie o następnym zadaniu. Po raz kolejny dowiedziałem się wówczas czegoś o osobliwych zasadach obowiązujących w SO10.

Gdy zaczyna się pracę w tajnym zespole, nikt nie sadza cię naprzeciw siebie, mówiąc: „Dobrze, synu, to działa tak a tak, w ten sposób wypełniasz formularz wydatków, a w taki posługujesz się dyktafonem. Robisz to i to, a w ten sposób dostajesz pieniądze na wydatki”. Oczekuje się, że ktoś, kto ukończył kurs, powinien wszystko wiedzieć. Nikt nikogo w nic nie wprowadza.

Ten system wdrażania, a raczej jego brak, obowiązywał również w kwestii przydziału samochodów używanych przy tajnych zadaniach. Jak należało się spodziewać, SO10 dysponowało parkiem samochodowym złożonym z dość drogiego wozów. Każdy miał prawdziwe papiery, a oprócz tego zestaw fałszywych tablic i rejestrację na fikcyjną firmę lub osobę, zależnie od potrzeb. Wiele z tych samochodów było zgromadzonych w samym centrum miasta, w strefie, do której wjazd jest płatny. Aby uniknąć opłat i zaparkować w Scotland Yardzie, należało mieć autentyczne tablice.

Oznaczało to, że trzeba było wiedzieć, które tablice i naklejka na szybę (dowód opłacenia podatku drogowego) przynależą do danego samochodu. I znać skomplikowaną procedurę zamiany danych. Ze Scotland Yardu wyjeżdżało się na prawdziwych tablicach, na miejsce akcji docierało się na fałszywych. Zamiana, czyli odkręcanie i przykręcanie tablic odbywało się w bocznej uliczce. Ale przecież w Londynie działał system miejskiego monitoringu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy, to zostać przyłapanym na jawnie przestępczych poczynaniach. W filmach o Bondzie agent 007 mógł zmienić tablice, wciskając guzik na desce rozdzielczej. Gdy pewnego dnia – próbowałem wówczas kupić kokainę od gangsterów z Kosowa – też musiałem dokonać zamiany, okazało się, że wymaga to nieco większego wysiłku.

Na początek kilka słów o samej pracy. Brałem udział w tak zwanym dystansowaniu – przedstawiano mnie jakiemuś ciemnemu typowi, ale potem sam przedstawiałem go komuś innemu, likwidując w ten sposób połączenie z pierwszym miejscem kontaktu. Chroni to informatora i choć metoda ta jest dobrze znana w świecie przestępczym, wciąż doskonale się sprawdza.

Na potrzeby tego zadania stałem się Kristoforasem Starszewskim, genialnym przestępcą i bossem, którego imperium rozciągało się na dwóch kontynentach. Gdy torowałem drogę do przejęcia znacznej ilości narkotyków, moje umiejętności

językowe znów miały zostać poddane próbie. Aby uwiarygodnić się w oczach gangsterów, znów musiałem popisać się rozmową telefoniczną po rosyjsku w obecności Kosowian. Często miałem wrażenie, że wszystkich gangsterów ze wschodu Europy łączy przekonanie, iż skoro mówię po rosyjsku, musimy mieć ze sobą coś wspólnego. Oczywiście – nic bardziej odległego od prawdy. Języki rosyjski i albański są całkowicie różne, ten ostatni ma więcej wspólnego z fińskim. Chętnie zgodziłem się poddać próbie. Nierzadko czułem się swobodniej, przestając z przestępcami z zagranicy, ponieważ wiedziałem, że mówiąc w obcym języku, mogę przydać sobie trochę więcej wiarygodności.

Mister Starszewski miał przetłuszczone czarne włosy związane w koński ogon, nosił T-shirt, workowate dzinsy i nowiutkie reeboki. Moim zdaniem wyglądał raczej na pedofila i rzeczywiście przybrałem później taki sam mało szykowny i zupełnie niezgodny z modą wygląd podczas operacji przeciwko pewnemu pedofilowi. Starszewski był prawdziwym łotrem, kierował swą organizacją w niezwykle trudnych warunkach i nie przywiązywał wagi do wyglądu.

Na potrzeby tej operacji dostałem samochód, tym razem była to honda cr-v, bardziej samochód dla rodziny niż dla tego rodzaju faceta. No cóż. Wyruszyliśmy z przepastnych podziemi New Scotland Yardu i byliśmy w drodze, gdy nagle coś mi się przypomniało.

– Chwileczkę! Musimy zmienić tablice.

– Dobra – powiedział mój kolega, Mike. – Znajdziemy spokojną ulicę.

Po chwili znaleźliśmy ulicę, która wydawała się spokojna, lecz gdy wysiadłem, by dokonać zamiany tablic, okazało się, że nie mam czym tego zrobić. Mieliśmy tylko nóż do masła. Tak więc dwóch z grupy najlepszych tajnych gliniarzy w Londynie znalazło się w bocznej uliczce w Leytonstone, próbując zdjąć tablice rejestracyjne wozu tak, by nikt ich nie zauważył.

Mimo całego szkolenia i wbijanych kursantom do głowy zasad bezpieczeństwa bardzo dużo zależy od przypadku. Cała operacja może również zostać zagrożona z powodu drobnych niedopatrzeń. Można zrobić wszystko, by uniknąć śledzenia w drodze powrotnej do domu, a jednocześnie może się zdarzyć, że utknie się w bocznej uliczce, zdejmując tablice nożem do masła. A zapasowe tablice są w bagażniku, jeśli więc ktoś przeszuka samochód, znajdzie je. I trzeba będzie jechać do Scotland Yardu, aby złożyć raport, ale żeby się tam dostać, potrzebna jest legitymacja policyjna. Należy więc trzymać ją ukrytą gdzieś w samochodzie. Zupełny nonsense. Tajniacy z legitymacjami policyjnymi.

Zdenerwowałem się okropnie. W drodze na spotkanie ze zbirami z jednego z najbardziej bezwzględnych, bezlitosnych gangów musiałem zajmować się

pieprzonymi tablicami rejestracyjnymi.

Dotarliśmy w końcu na spotkanie, które, jak zwykle, odbywało się w szczególnie nieprzyjemnym miejscu we wschodnim Londynie. Parkując samochód na ruchliwej bocznej ulicy, miałem mokre dłonie. Mike zadzwonił do naszego obiektu. Czekaliśmy i czekaliśmy. Po godzinie pojawił się młody Kosowianin ubrany tak, jakby wybierał się na wieczór w restauracji Roadhouse w Covent Garden – jarmarczny T-shirt w stylu Versace, modne, sztucznie postarzone dżinsy i skórzane buty z okropnie szpiczastymi czubkami. Gdy młody człowiek usiadł na przednim siedzeniu pasażera, wewnątrz naszego rodzinnego suwa wypełnił intensywny zapach wody po goleniu Davidoff Cool Water.

Przedstawiliśmy się sobie. Zauważyłem, że facet szybko rejestruje w pamięci wszystko, co zobaczył w samochodzie – płyty kompaktowe, śmiecie, kubki po kawie. Widać było, że to bystrzak. Sprawę załatwiliśmy bez problemu, spotkanie poszło jak po maśle. Dołączył do nas szef, pogawędziliśmy. Jak zwykle w takich przypadkach, rozmowa o interesach trwała kilka sekund; poza tym odbyliśmy konwencjonalny small talk. W trakcie spotkania „otrzymałem telefon” i rozmawiałem po rosyjsku. Nasz obiekt wyglądał na dość zaskoczonego. Jestem przekonany, że znacznie zyskałem przez to na wiarygodności. Pożegnaliśmy się z towarzystwem po zaledwie piętnastu minutach czy coś koło tego. Dopiero gdy ten gość wysiadł z samochodu, zauważyłem dwa parkujące równolegle do nas audi, które niemal od razu odjechały. Nie miałem wątpliwości, że to ochrona gangstera.

Spotkałem się z nim kilka tygodni później, by przedstawić mu innego tajnego policjanta, który później dobił z nim interesu. To była rewelacja. Okazało się, że gangsterzy mieli własną ekipę obserwacyjną; obsadzili całą ulicę, by się upewnić, że nikt za nami nie jedzie. Wyższa szkoła jazdy. Zatrzymaliśmy się na tej samej bocznej ulicy i znów zadzwoniliśmy, aby powiadomić o naszym przybyciu. Nieco bardziej świadomy sytuacji, tym razem zauważyłem pięciu czy sześciu facetów, wyglądających na Albańczyków lub Kosowian, którzy przechadzali się po ulicy w tę i z powrotem, a po kilku minutach zajęli stanowiska na rogach; każdy patrzył w innym kierunku. Potem pojawiło się ciemnoniebieskie bmw x5 i zatrzymało się przy skrzyżowaniu z główną ulicą z włączonymi światłami awaryjnymi. Podobna akcja odbyła się na skrzyżowaniu za nami, tym razem z udziałem czarnego audi. Gangsterzy dosłownie odgradzili ulicę. Zamknęli ją i trzymali pod ścisłą obserwacją! A wszystko z powodu spotkania. Ci goście nie zamierzali pozwolić na najmniejsze ryzyko. Byłem oszołomiony. Wydawali się niemal tak samo dobrzy w swoim fachu, jak latynoscys kieszonkowcy i złodzieje torebek, których kiedyś ścigałem. Z pewnością zasłużyli na reputację skutecznych i profesjonalnych przestępców.

Tego rodzaju zadania przyprawiały mnie o szybsze bicie serca. Wiązały się

z ryzykiem, wystarczyło bowiem jedno niewłaściwe słowo, jedno drobne potknięcie, by gangsterzy nie tylko natychmiast wycofali się z interesu, ale także ukarali winowajców. Chodziło o reputację.

Muszę jednak przyznać, że facet, którego wprowadzałem, był fenomenalny. To najbardziej doświadczony i skuteczny UC, jakiego w życiu spotkałem. Lubi opowiadać w biurze rozwlekłe, niewiarygodne historie, lecz jest prawdopodobnie jedną z nielicznych osób, których opowieści są całkowicie prawdziwe. Jego, by tak rzec, stanowczość wobec Kosowian, stawiała ich na baczność. Przypuszczam, że w głębi ducha imponowało im robienie interesów z tak twardym gościem.

To spotkanie również poszło doskonale, lecz wiedząc o tak rozbudowanym przez gangsterów systemie bezpieczeństwa, drżałem na samą myśl o tym, co się stanie, jeśli ktoś odkryje przypadkiem tablice rejestracyjne w bagażniku lub moją legitymację policyjną ukrytą za stereo. Musiałem wjeżdżać do Yardu, a nigdzie indziej nie mogłem jej schować.

Zadanie było dość typowe dla SO10. W ostatecznym rachunku wydział się sprawdził, o takich właśnie operacjach się czyta. Ta była ciekawa i wciąż myślę o niej z przyjemnością. Dobra robota, z rodzaju tych, o jakich dyskutuje się na kursach lub w pubie. Cieszyło mnie, że wziąłem w niej udział. Ostatecznie cały gang został zapuszkowany – w samym środku transakcji, której przedmiotem było wiele kilogramów kokainy – przez zbrojny oddział policji.

Mimo zastrzeżeń, irytacji i stresu wywoływanego przez sytuacje takie jak ta z tablicami rejestracyjnymi, nadal uwielbiałem tę pracę i czułem się dumny. To właśnie chciałem robić, a wobec tak doskonałych rezultatów, któż zawracałby sobie głowę drobiazgami i nieistotnymi problemami, które dawało się rozwiązać dzięki roztropnemu wykorzystaniu noża do masła?

Przekręty w kasynach i nagie celebrytki

Spotkajmy się przed Ritzem, stary – powiedział Phil, jeden z moich sierżantów w biurze SO10.

– W porządku. O co chodzi? – zapytałem zaciekawiony.

– To robota w kasynie. Powiem ci na miejscu.

– Dobra.

Byłem zaintrygowany. Przypominając sobie dni spędzone w jednostce do zwalczania przestępczości hotelowej, w pośpiechu włożyłem garnitur, buty i krawat. Szef ochrony Ritza często kazał mi wchodzić wejściem dla personelu, ponieważ goście nie życzyli sobie oglądać niechlujnego, długowłosego gliniarza w dżinsach wędrującego po tym luksusowym hotelu.

Spotkałem się z Philem na Piccadilly, przed wejściem do hotelowego kasyna. Szybko wyjaśnił mi, że wydział Met do spraw hazardu (prowadzący dochodzenia w sprawie zorganizowanych oszustw) ma na oku gościa ze Slough, reklamującego w Internecie nielegalne oszustwa hazardowe. Aby go dopaść, musiałem przejść intensywny kurs ruletki.

Wprowadzono mnie do sali do gry w ruletkę, gdzie pula wynosiła około miliona funtów, a wejście, jak mi powiedziano, było wyłącznie dla graczy mogących postawić przynajmniej trzy miliony. Lekcji gry udzielili mi nadgorliwy, lecz znający się na rzeczy starszy krupier oraz członek kierownictwa kasyna. W ciągu pięciu godzin intensywnej nauki dowiedziałem się również o wszystkich możliwych obecnie przekrętach. Potem, wymęczony psychicznie – matematyka nigdy nie była moją mocną stroną – poszedłem wraz z Philem do siedziby wydziału hazardowego w komisariacie przy Charing Cross na odprawę.

Naszym obiektem był samotnik imieniem Ricardo, nałogowy gracz mający szczególne upodobanie do ruletki. Reklamował pozornie niezawodny przekręt umożliwiający wygranie pieniędzy dzięki skomputeryzowanym automatom do tej gry, wszechobecnym w kasynach i punktach przyjmowania zakładów w całym kraju. Ricardo bywał w kasynie w Slough. Policjanci z wydziału uważali, że może on mieć nielegalny dostęp do oprogramowania maszyn lub dysponuje jakimś urządzeniem oszukującym te maszyny.

Tego dnia pojechałem wieczorem do kasyna w Slough wysokiej klasy volvo, ubrany w garnitur Gieves & Hawkes i mokasyny od Gucciego, z tysiącem funtów

i prawem jazdy na nazwisko Christian Sulyenko w portfelu od Prady. Jako zupełny nowicjusz w tego typu sprawach spodziewałem się wytwornej scenerii i atmosfery jak z filmów o Bondzie; wyobrażałem sobie rozmowy z dziewczynami gangsterów i draniami w smokingach. Tymczasem niczym gość telewizyjnego show dla klas niższych znalazłem się wśród błaznów (niektórzy byli w dresach i adidasach!) i ćmiących pety megier. Nieco rozczarowany, lecz wiedziony poczuciem obowiązku spędziłem tam kilka zmarnowanych godzin, stawiając i przegrywając pieniądze podatników. Nie udało mi się wypatrzeć naszego obiektu.

Następnego dnia zespół operacyjny podał mi numer telefonu komórkowego Ricarda, zadzwoniłem więc do niego z prośbą o więcej informacji na temat tej możliwości zrobienia wielkich pieniędzy. Umówiliśmy się na spotkanie w barze hotelowym przy Leicester Square, a potem na wizytę w kasynie, aby Ricardo mógł dokładnie mi pokazać, na czym polega przekręt.

Zdenerwowany sączyłem cappuccino w ładnie urządzonym barze, wokół kłębili się goście i personel hotelowy. Podszedł do mnie chuderlawy chłopak wyglądający na moje oko na jakieś szesnaście lat. Przeleciało mi przez głowę, że przydałoby mu się trochę słońca, bo za dużo gra w komputerze. Nie do wiary, ale przedstawił się jako Ricardo. Zszokowany, choć oczywiście tego nie okazałem, uścisnąłem jego wilgotną, wiotką dłoń i zaproponowałem mu drinka. Odmówił, nerwowo przysiadł na skraju krytego skórą fotela i zaczął wprowadzać mnie w podstawy swego oszukańczego systemu.

Szczerze mówiąc, nie miałem zielonego pojęcia, o czym on mówi. Dla mnie był to zupełny bełkot. Ten facet to nieudacznik, pomyślałem, może trochę stuknięty. Zaproponowałem wyjście do kasyna, by mógł wszystko mi pokazać.

Przeszliśmy przez Leicester Square do kasyna, tam usiedliśmy przy automatach do ruletki. Poprosił o dwadzieścia funtów, wsunął pieniądze do automatu, a potem drobiazgowo objaśniał mi każdy ruch. Oniemiałem. Nawet przy braku zdolności matematycznych od razu się zorientowałem, że nie chodzi o żadne oszustwo ani system. Ricardo stawiał po prostu na niemal każdy numer. Co za bzdura. Udając entuzjazm naiwniaka, zapytałem, ile pieniędzy chce włożyć.

– Pięć tysiaków – odparł ze śmiertelną powagą. – W ciągu miesiąca je podwoję.

Mówi poważnie? Czy stroi sobie żarty? Nie wiedziałem.

– Kolego – powiedziałem, przybierając ton i pozę gangstera. – Pięć patoli to ja mogę podwoić w godzinę. Taką mam pracę.

Było mi go trochę żal. Nosił tanie ubranie, wyraźnie miał wiele problemów i nie wydawał się całkiem złym człowiekiem, tylko drobnym naciągaczem.

– Daj mi się zastanowić – powiedziałem, wstając.

To był stracony czas, pomyślałem, pora kończyć to nietypowe zadanie. Zawiedziony Ricardo zgodził się dać mi czas. Odprowadziłem go do samochodu, poobijanej czarnej toyoty z napisem „Taxi” i oznaczeniami z Berkshire. Gość był cholernym taksówkarzem! Nie chcąc dłużej marnować miejsca na parking, pożegnałem się z nim; tym razem obeszło się bez podawania ręki. I wtedy Ricardo powiedział:

– No cóż, zawsze mogę wykończyć tę staruszkę.

– Co to znaczy? Jaką staruszkę? – zapytałem nagle zaintrygowany.

– Wiem, że jedna stara kobieta trzyma tysiące w materacu – odparł Ricardo. –

Myślę o zabranii jej tego. Wiesz, mógłbym ją zwięzać i wszystko zabrać. Zastanawiam się nad tym, potrzebny mi tylko gaz, bo ona ma psa, i jakiś kombinezon, żeby nie zostawić DNA.

Przerażony uświadomiłem sobie, że ten człowiek planuje przestępstwo. Zapropnowałem, że mu pomogę i że zadzwonię trochę później, aby rzecz omówić. Od razu wydał się podniesiony na duchu i podekscytowany powiedział, że przyda mu się pomoc i rada.

Pozostawiwszy mu zapłacenie za parking, popędziłem do komisariatu przy Charing Cross. Poinformowałem zespół operacyjny, że z przekrętu kasynowego nic nie wyszło, bo to zupełna bzdura, ale szykuje się coś groźniejszego. Facet był bez wątpienia mitomanem, kimś w rodzaju Waltera Mitty’ego, jednak mimo to musieliśmy działać. Połączyliśmy siły z lokalną policją z Doliny Tamizy, ja zaś przez kilka dni zaprzyjaźniałem się i spotykałem z Ricardem, aby ustalić tożsamość potencjalnej ofiary i jej adres oraz podjąć odpowiednie kroki.

Za każdym razem, gdy rozmawiałem lub widziałem się z Ricardem, było mi trochę niedobrze. Opowiadał ze szczegółami, jak zamierza obrabować tę starą kobietę i co jej robi. Proponowałem wszelką możliwą pomoc, włącznie z furgonetką i sprzętem. Mój rzekomy entuzjazm zdawał się jeszcze bardziej podbechtywać tego gościa, on zaś snuł coraz śmielsze plany, takie jak użycie kombinezonów SAS i paralizatorów oraz zabicie psa.

Nie ulega wątpliwości, że Ricardo miał problemy. Najważniejsze jednak, że ustaliliśmy tożsamość starszej kobiety – i rzeczywiście, miała materac wypełniony gotówką. Została objęta stałą obserwacją na wypadek, gdyby Ricardo postanowił dokonać napadu sam.

Po spotkaniu, na którym omówiliśmy ostateczny plan napadu, a ja to wszystko nagrałem, policja aresztowała Ricarda pod zarzutem planowania włamania. Upierał się, że wiedział, iż jestem tajniakiem. Stara śpiewka. Nie wydaje mi się, by sprawa w ogóle trafiła do sądu. Nic dziwnego – Ricardo był po prostu jednym z wielu

biednych półgłówków i pechowców, których okoliczności, a często długi, skłoniły do podjęcia nadzwyczajnych, niezgodnych z prawem działań. Żywiłem dla niego pewne współczucie, zdawałem sobie jednak sprawę, że zawsze istnieje możliwość, iż zrealizuje on swój ohydny plan.

Ricardo był trochę błaznem, podobnie jak obiekt następnej operacji, w której brałem udział. Pewnego popołudnia Phil, najwyraźniej mający skłonność do przydzielania mi niezwykle trudnych zadań, wezwał mnie do siedziby SO10.

– Szybka robota, stary. Potrzebują cię dziś wieczorem.

– W porządku – zgodziłem się, wciąż chętny do wzbogacania swego cv.

Poszliśmy na odprawę, w której uczestniczyli szef komisariatu w Camden i tajna funkcjonariuszka, Kerry. Nigdy wcześniej nie pracowałem z Kerry, było jednak jasne, że ma ona większe doświadczenie w tego rodzaju pracy. Wysłuchałem, co komisarz ma do powiedzenia o tym zadaniu i czego od nas oczekuje.

Pewna celebrytka o międzynarodowej sławie stała się ofiarą włamania, ukradziono jej laptop. Okazało się, że były w nim intymne zdjęcia owej celebrytki, a włamywacz je znalazł. Skontaktował się bezpośrednio z okradzioną i zagroził, że ujawni lub sprzeda zdjęcia, chyba że dostanie kilkadziesiąt tysięcy funtów – klasyczny przypadek szantażu.

Kerry nawiązała już kontakt z podejrzanym i udając adwokatkę klientki, umówiła się z nim na spotkanie, na którym miała wręczyć mu dwadzieścia tysięcy funtów i odzyskać zdjęcia. Ja miałem wystąpić w roli kolegi Kerry z pracy. W rzeczywistości moje zadanie polegało na zapewnieniu jej bezpieczeństwa i potwierdzeniu każdego dowodu, który uda jej się zdobyć. Dwaj inni tajniacy mieli pobrać pieniądze z kasy komisariatu (i rzeczywiście dostali te dwadzieścia tysięcy w gotówce), a potem czekać za rogiem, by przekazać je, gdy damy im sygnał.

Cztery godziny później, przekąsiwszy coś (oczywiście dzięki uprzejmości firmy), siedziałem w nierzucającym się w oczy volkswagenie golfie w bocznej uliczce Camden wraz z Kerry, która dzwoniła do podejrzanego. Udając śmieszny akcent kobiety z wyższych sfer, zapytała go, gdzie jest, i wyjaśniła, że czekamy na spotkanie na wyznaczonej przez niego ulicy. Zaczęły się przepychanki słowne; szantażysta upierał się, że nie może podejść do naszego samochodu ani w ogóle spotkać się z nami osobiście. Zgodził się w końcu zostawić pendrive'a ze zdjęciami na murze pobliskiego ogrodu. Mogliśmy więc potwierdzić, że ma te zdjęcia.

Był najwyraźniej zdenerwowany i zastanawiał się, czy to nie pułapka, lecz perspektywa wzbogacenia się o dwadzieścia tysięcy funtów podziałała motywująco. Około dwadzieścia minut po zakończeniu przez Kerry rozmowy zakapturzony młody człowiek podkraść się do niewysokiego muru ogrodu po naszej lewej stronie i położył

na nim niebieski pendrive.

Chłopak czmychnął stamtąd natychmiast, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że ma teraz ogon w postaci pierwszorzędnego zespołu obserwacyjnego. Celebrytka najwyraźniej została nieco lepiej potraktowana przez policję niż pierwszy lepszy człowiek z ulicy.

Gdy nasz koleżka radośnie zwiewał, wysiadłem z samochodu i zabrałem z muru pendrive'a. Bez słowa, za to z lekkim niepokojem włożyłem nośnik do wyczyszczonego laptopa, który mieliśmy ze sobą. Oboje z Kerry byliśmy podekscytowani jak dzieci; chcieliśmy dowiedzieć się, kto jest na tych nieprzyzwoitych zdjęciach – i obejrzyć je!

Kliknąłem w plik i otworzyłem go. Natychmiast rozpoznałem celebrytkę, osobę o międzynarodowej renomie, lecz zamiast niewyraźnych zdjęć pornograficznych, których się spodziewaliśmy, plik zawierał wyłącznie wysmakowane akty bez wyraźnego wydźwięku seksualnego. Gdy podniecenie opadło, upewniłem się, że zdjęcia zostały skopiowane na twardy dysk laptopa.

Podejrzany zadzwonił do Kerry i domagał się, byśmy odłożyli pendrive'a na mur. Wyraźnie coś go wystraszyło. Upierał się, że nie chce odbierać dziś pieniędzy. Trochę nas to przygnębiło. Tyle starań i przygotowań na nic. Zostawiłem jednak pendrive'a na murze, po czym, wiedząc, że ulica jest pod obserwacją, wróciliśmy do Scotland Yardu.

Jak zwykle musieliśmy zatrzymać się na bocznej ulicy, by zmienić tablice rejestracyjne. Przedarłszy się przez ogromny podziemny parking Yardu, wsiedliśmy do windy i dotarliśmy do biura SO10. Czekał tam Phil, który szczerząc zęby od ucha do ucha, wyrwał mi z rąk laptopa.

– Dobra, obejrzymy więc te świńskie zdjęcia! – zawołał, otwierając komputer.

– Stary, wcale nie świńskie. One są raczej dość nudne – zgasilem go.

– Pieprzyć to. Popatrzmy sobie na cipkę! – krzyknął podniecony.

Gdy Phil przeglądał zdjęcia, coraz wyraźniejsze stawało się jego rozczarowanie.

– Cholera. Co za kupa bzdetów – oznajmił.

Z hukiem zatrasnął klapę laptopa i poleciał, byśmy napisali z Kerry raport. Uśmiechnęliśmy się do siebie i siedliśmy do pisania.

Podejrzany został aresztowany i po długim dochodzeniu oskarżony o szantaż. Otrzymał wyrok siedmiu lat więzienia, chyba najwyższy z Zjednoczonym Królestwie wyrok za szantaż.

Śpieszę dodać, że celebrytka, której tożsamość zachowam w tajemnicy aż po grób (tym bardziej, że nakazał mi to sąd), nie miała powodu się wstydzić, wyszła na

zdjęciach bardzo, ale to bardzo dobrze.

Harry Trawka

Dziękuję, panie Sulyenko – powiedziała kasjerka z miłym uśmiechem.

Podziała mi złotą kartę kredytową, a ja wziąłem papierosy i paragon.

Biegając do samochodu, myślałem o czekającym mnie spotkaniu. Nigdy wcześniej nie byłem w Manchesterze. Prawdę mówiąc, starałem się unikać wyjazdów na północ. Może to wina towarzystwa, w którym się obracałem, lecz większość z tego, co widziałem, wydawała mi się paskudna. Harry, znajomy z Rosji, przekonał mnie jednak, że warto spotkać się z Tayvonem, który chciał sprzedać ogromną ilość broni.

Harry'ego poznałem w Rosji, gdzie podtrzymywałem pewne znajomości w kręgach związanych z kradzieżami sprzętu elektronicznego. Harry pochodził z Belfastu i pracował w Moskwie. Od czasu do czasu podrzucałem mu kilka funciaków, on zaś pomagał przyjąć w Rosji jedną z wielkich dostaw kradzionych iPhonów, zorganizowaną przeze mnie dzięki skorumpowanym urzędnikom transportu lotniczego i rosyjskim celnikom. Na każdej dostawie zarabiałem około dwudziestu tysięcy funtów i dopilnowałem, by Harry dostał przyzwoitą dołę. Teraz Harry znów był w kraju, w Manchesterze, i próbował wrócić do uczciwego życia, ale chwycił się za wielu rzeczy na raz. Był bardzo szanowany w środowisku przestępczym, ponieważ miał rozległą siatkę kontaktów i nie zawodził przy robocie. Powszechnie wiadano, że mieszkał w Rosji, często mówiono więc o nim „Harry Rosjanin”. Harry i Christian Sulyenko znali się od dawna, ich niekwestionowana przyjaźń trwała wiele lat i w różnych krajach.

Harry był oczywiście informatorem policji. I człowiekiem zagadkowym. Mówił płynnie po rosyjsku, o wiele lepiej ode mnie; nie mogłem się pozbyć wrażenia, że był wyszkolonym żołnierzem. Miał czterdzieści parę lat, początki łysiny i silny manchesterski akcent, sprawiający, że nie podejrzewano go o takie zdolności językowe. Spotkałem się z nim przed kilkoma tygodniami w nędznym pokoju hotelowym w Cheadle (lub w jakimś innym równie przygnębiającym miasteczku). Siedzieliśmy w tym pokoju skrępowani, jak dwie przypadkowe osoby zamknięte w jednym miejscu, i próbowaliśmy wymyślić jakąś opowieść o dziejach naszej znajomości, tak by Harry mógł przedstawić mnie Tayvonowi i umożliwić wejście do otoczenia tego ostatniego.

Szkolenie i praktyka uczą, że ponieważ od tego może zależeć życie, historyjka musi być nie do podważenia i znana na wrywki osobom, których dotyczy.

W rzeczywistości sprawa przedstawiała się tak, że czterdziestoparoletni manchesterski kryminalista i informator chciał spędzić jak najmniej czasu z wygadanyą długowłosym gliniarzem z Londynu i vice versa. Zwłaszcza gdy byli zmuszeni pracować razem, jeden nie ufał drugiemu, a musieli na sobie polegać i wierzyć, że ten drugi nie pęknie pod presją i utrzyma się w roli. Ludzie, którym Harry miał mnie przedstawić, to były naprawdę paskudne typy, niestroniące od przemocy i skłonne zabić każdego, kto im podpadnie; nie miałem co do tego wątpliwości.

Tak czy inaczej uporaliśmy się z naszą opowieścią w około dwadzieścia minut. Poza tym panowało między nami krępujące milczenie. Nie znaliśmy się i obaj wiedzieliśmy, że znaleźliśmy się w tym miejscu tylko z powodu operacji policyjnej. Tak bardzo mu nie ufałem (jak zresztą wszystkim informatorom), że podałem mu tylko swoje imię, Chris. Zadałem sobie wiele trudu, aby zachować resztę mego pseudonimu dla siebie. Wolałem nie ujawniać przybranego nazwiska, ponieważ używałem go również w innych operacjach.

Kilka dni po tym spotkaniu wróciłem na północ. Jechałem na spotkanie z Harrym, a potem, wraz z nim, na spotkanie z Tayvonem, by zrobić dobry początek i kupić trochę broni. W lewej kieszeni dzinsów miałem prawo jazdy, dowód tożsamości i karty kredytowe na nazwisko Christian Sulyenko; w drugiej kieszeni – pięćset funtów bez żadnego szczególnego przeznaczenia, po prostu do pokazania, że mam coś na wszelki wypadek. Zatrzymałem się na stacji benzynowej niedaleko Manchesteru, aby kupić fajki na kartę kredytową – chciałem zostawić jakiś wiarygodny ślad – i dopilnowałem, by zachować paragon.

Przed telefonem do Harry'ego spotkałem się z facetami, którzy zorganizowali tę operację. Należeli oni do elitarnej jednostki walczącej z przemytnikami broni i gangsterami. Po szybkiej odprawie i rozmowie z przebywającym w Londynie moim oficerem prowadzącym, zadzwoniłem do Harry'ego i umówiłem się z nim w znanym pubie na przedmieściu Manchesteru.

Nie przepadałem za robieniem interesów w pubach i nigdy naprawdę nie dowierzałem informatorom. Nie lubiłem też mieć do czynienia z bronią ani pracować sam. Ale moje pragnienie, by zostać „jednym z chłopaków”, było silniejsze niż wszelkie obawy i wątpliwości. Wiedziałem, że jeśli mi się uda, będzie to kapitalna rzecz i może zyskam trochę w oczach kolegów z SO10. A wszystko, co musiałem zrobić, to zawrzeć dzięki Harry'emu znajomość z tym facetem, Tayvonem, a potem poznać Tayvona z innym UCO, który przekaże go następnemu i tak dalej, aż w końcu któryś z tajniaków kupi trochę broni. Wszyscy wiedzieli, że najtrudniej jest zacząć pracę z informatorem, lecz mimo to cieszyłem się, że przypadła mi ta rola. Musiałem po prostu pamiętać, że jestem Christianem Sulyenko, znanym przestępcą, mającym

mnóstwo ważnych znajomości w Europie Wschodniej.

Harry pojawił się około pół godziny później. Przywitaliśmy się po rosyjsku.

– *Priwiet* – powiedziałem

– *Priwiet, gospodin Suljenko* – odparł Harry.

– *Nu, wsio w poriadkie?*

– *Konieczno, konieczno. Pit' chcesz?*

– *Poczemu niet? Piwo, požalujsta.*

Tego rodzaju wymiana uprzejmości przy odrobinie szczęścia zadowolilaby każde czujne ucho w pobliżu. Po szybkim piwku poszliśmy do mojego samochodu i pod przewodnictwem Harry'ego ruszyłem odegrać rolę, która nie należała do moich ulubionych.

Było już ciemno i oczywiście mżył deszcz. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Harry prowadził mnie ulica po ulicy, wreszcie powiedział, że jesteśmy już blisko. Najwyraźniej dojechaliśmy już do Moss Side, gdzie jak mi mówiono, rozegra się akcja. No cóż, z całym szacunkiem dla praworządnych mieszkańców tej dzielnicy, to co zobaczyłem, potwierdziło tylko moje wyobrażenia o osiedlach komunalnych w miastach na północy. Wszędzie widać było wybite szyby w oknach i psie kupy. Każdy sklep był okratowany. Zakapturzeni młodzi ludzie przyglądali się nam gniewnie z rowerów bmx, prawdopodobnie kradzionych. Na uliczny uniform składały się wówczas adidas i workowate spodnie od dresów Nike. Zacząłem się bać, że ci młodzi mogą wyczuć, iż jestem gliną. W takim przypadku nie uszedłbym z życiem. Mój mózg pracował na pełnych obrotach. Zastanawiałem się, czy Harry jest naprawdę po naszej stronie, czy może jest to jakiś podstęp w celu pobicia gliniarza lub jeszcze czegoś gorszego. Prowadząc, nie spuszczałem swego towarzysza z oka. Jak na tak opanowanego i zwykle spokojnego gościa wydawał się cholernie zdenerwowany. A to tylko zwiększało mój niepokój.

W końcu dotarliśmy do rzędu sklepów; wszystkie były zrujnowane oprócz czegoś w rodzaju całodobowego sklepiku na końcu pasażu, okratowanego i z chronionymi pleksiglasem kamerami skierowanymi na drzwi. W słabym świetle latarni ulicznych i siąpiącym deszczu kręciła się duża grupa młodych ludzi, w większości czarnych; wszyscy byli w kapturach i dresach Adidasa. Przyglądali się nam badawczo. Gdy tylko się zatrzymaliśmy, samochód otoczyli młodzi na rowerach; wlepiali oczy w nasze szyby i pokazywali nas palcami.

– Co jest, kurwa?! – zawołał jeden z nich.

Drugi zapukał w okno.

– W porządku, koleś? Wy kto?

Zacząłem opuszczać szybę, by porozmawiać, lecz Harry dotknął mojego ramienia. Jego oczy mówiły: „Czekaj”.

To musiała być jakaś pułapka. Na dźwięk otwieranych tylnych drzwi odwróciłem się na fotelu. Cholera, wszystko jasne.

Sięgnąłem po telefon (jakby to mogło cokolwiek pomóc), próbując zachować pozory spokoju.

Na tylne siedzenie wśliznął się młody czarny facet o dziobatej twarzy i oczach sześćdziesięciolatka.

– W porządku? Jestem Tayvon – rzucił do mnie, po czym entuzjastycznie przywitał się z Harrym.

– Zostawię to tobie – powiedział Harry, wysiadł z wozu i pomaszerował do sklepiku.

– No więc, kto ty jesteś? – zapytał Tayvon.

Zdając sobie sprawę, że zbytnia wylewność może się dla mnie źle skończyć, odpowiedziałem:

– Jestem Chris. Harry mówi mi, że masz trochę metalu, który możesz sprzedać.

– No. Może. Skąd znasz Harry’ego?

Wyjaśniłem, że znam go z Rosji i że mam dobre kontakty z Rosjanami w Londynie. Przez cały czas Tayvon trzymał ręce w kieszeniach. Wiedziałem, że jest pierwszym ogniem łańcucha prowadzącego do bardzo brutalnego, bezwzględного gangu, który lubi często popisywać się swymi umiejętnościami strzeleckimi. Jako Christian Plowman byłem cholernie nerwowy. Miałem jednak nadzieję, że Christian Sulyenko jest człowiekiem opanowanym.

Tayvon był młodym człowiekiem, prawdopodobnie zrobiła na nim wrażenie gadka o znanych gangsterach z zagranicy, uśmiechnął się więc w końcu szeroko.

– Pogadajmy o interesach – zaproponował.

Rozmawialiśmy krótko, najwyżej minutę. Ulżyło mi, że jak dotąd obeszło się bez problemów. Gdy początkowa buńczuczność młodego człowieka gdzieś wyparowała, Tayvon okazał się bardziej zdenerwowany niż ja, choć nadal nie opuszczały mnie obawy, że to może być pułapka. Uczciwie mówiąc, nie potrafiłem uwolnić się od strachu i chciałem tylko jak najszybciej zakończyć spotkanie.

Wziąłem od chłopaka numer telefonu i zapewniłem, że jeden z moich wspólników nawiąże z nim kontakt w sprawie interesu z bronią. Zrobiliśmy żółwika (co wcale nie znaczy: „uderzyliśmy się pięściami”, jak przez pomyłkę napisałem kiedyś w jednym z raportów), Tayvon wysiadł i dołączył do grupy niezainteresowanej już mną

młodzieży przed sklepikiem.

Ze środka wyszedł Harry, zrobił żółwika z kilkoma młodymi ludźmi, uściskał Tayvona. Najwyraźniej znał ich wszystkich, a z Tayvonem łączył go wzajemny szacunek. Tak, Harry był człowiekiem ustosunkowanym.

Nadal jeszcze przerażony, że dostanę wycisk i skończę, wykrwawiając się na śmierć w manchesterskim rynsztoku, kazałem Harry'emu wracać do samochodu. Teraz, gdy kontakt został nawiązany, chciałem jak najszybciej stamtąd zniknąć. W końcu Harry wsiadł i ruszyliśmy z włączonymi wycieraczkami i niemałą ulgą, że opuszczamy tę miejską strefę wojny.

Harry nie zapytał mnie nawet, jak poszło. Jako informator był prawdziwym zawodowcem. Zrobił już swoje, w przeciwieństwie do mnie. Ja nadal byłem panem Christianem Sulyenko i miałem nim być do chwili, gdy zamknę za sobą drzwi własnego domu. Wysadziłem Harry'ego na parkingu przy hipermarkecie Sainsbury's. Pożegnał się wyluzowany, spokojny, pewny siebie.

Podaliśmy numer Tayvona jednemu ze swych kontaktów w Europie Wschodniej i w rezultacie manchesterska policja przejęła ogromną ilość broni, w tym karabinów maszynowych, i aresztowała dużą grupę tamtejszych gangsterów, włącznie z Tayvonem.

Nigdy więcej nie widziałem Harry'ego. Dowiedziałem się, że nie jest już informatorem. Tak dobrze zapłacono mu za tę operację, że przeprowadził się za granicę. Trzeba było czasu, by dotarło do mnie znaczenie tego, w jaki sposób przywitał się ze mną w manchesterskim pubie. Powiedział wówczas: „Cześć, panie Sulyenko”.

Skąd, do cholery, znał moje nazwisko? Czy w SO10 jest kapuś?

Nigdy nie ufaj kapusiowi

Przeszukałem wewnętrzną sieć internetową, jak w każdy czwartek po południu, po prostu z ciekawości. Codzienna praca w komisariacie zaczęła wydawać mi się nieciekawa i nudna, potrzebowalem nowych wyzwań.

Moim przełożonym wyczerpał się budżet na szeroko zakrojone operacje antynarkotykowe, musiałem sam segregować informacje od wywiadowców i tym podobne, a także uczęszczać na doprowadzające mnie do szału codzienne spotkania. Uczestniczyło w nich około dwudziestu osób, w większości gliniarzy (było niewielu cywili, takich jak na przykład analitycy danych wywiadowczych), a prowadził je komisarz, który nie potrafił się zdecydować, jakiego typu przestępstwa powinniśmy traktować priorytetowo.

Co pewien czas tak się wkurzałem na bezsens tego wszystkiego, że odmawiałem sporządzenia dziennych statystyk, o co mnie proszono. Proponowałem natomiast, by zamiast siedzieć co rano na godzinnym zebraniu i opowiadać pierdoły, wszyscy wyszli na patrole i osobiście zajęli się problemami, o których rozmawialiśmy. Zawsze spotykało się to z drwinami, moje opinie lekceważono niczym wypowiedzi jakiegoś niedojrzałego, zapatrzonego w siebie młokosa.

– Marvin! – zawołałem do sierżanta. – Czy wiesz coś o tym? – zapytałem, wskazując na ekran.

Marvin podszedł do mnie i spojrzał na monitor, na którym widniało ogłoszenie z ofertą pracy.

– Jednostka pozyskiwania źródeł – wymruczał. – Nie. Nigdy o niej nie słyszałem. Usiadł za swoim biurkiem, zarzuconym takimi górami niepotrzebnych papierów, że groziły zawaleniem się i pochłonięciem sierżanta.

Sprawdziłem wymagania wobec kandydatów i z radością zauważyłem, że jednostką dowodził mój dawny sierżant z komisariatu w West End Central, bardzo szanowany policjant, znający się także na tajnej robocie. Wiedziałem, że ma coś do czynienia z informatorami („źródło” to oficjalna nazwa kapusia), a moje niedawne doświadczenia z Harrym sprawiły, że zainteresowała mnie kwestia informatorów. Zadzwoiłem i umówiłem się z byłym szefem na spotkanie w Yardzie.

Jednostka (Source Development Unit, SDU) należała do wydziału tajnych operacji SO10, podobnie jak ta, dla której pracowałem. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym, czym się zajmuje, ponieważ ogłoszenie było najwyraźniej celowo

niejasne. Jeszcze w tym samym tygodniu spotkałem się z nadinspektorem w jego małym, lecz przyjemnym gabinecie w Yardzie. Przywitał się ze mną serdecznie i powiedział, że chętnie przyjmie mnie do pracy w SDU.

– Christian, cieszę cię, że cię widzę. Pamiętam, jak krążyłeś po Soho, przymykając wszystkich, których należało, razem z tym drugim gościem, tym... Adrianem?

– Tak, szefie. Stare dzieje – odparłem tęsknym głosem.

Podniesiony na duchu faktem, że tak ceniony i dobrze ustosunkowany oficer pamięta moją pracę sprzed lat, poprosiłem, aby opowiedział mi o SDU.

Nadinspektor wyjaśnił, że jednostka powstała niedawno, a założono ją na wzór działającego z powodzeniem oddziału kanadyjskiego, który zajmował się werbowaniem informatorów mających powiązania z przestępczością zorganizowaną. Metody działania były nieco kontrowersyjne, choć legalne, a poczynania jednostki w Kanadzie spotkały się z krytyką i przyciągnęły niechcianą uwagę prasy. SDU była jednostką tajną (a wówczas dobrze jest mieć bazę w najsłynniejszej siedzibie policji na świecie), a jej funkcjonariusze posługiwali się dla bezpieczeństwa różnymi tożsamościami, mieli też legitymacje policyjne na przybrane nazwiska.

Jednostka wykorzystywała różne sposoby pozyskiwania informatorów. Lepiej nie wnikać w tę kwestię zbyt szczegółowo. Wystarczy powiedzieć, że gdy wytypowano potencjalnego informatora, nie szczędzono wysiłków, by nawiązać kontakt z tą osobą, a potem podtrzymywać go i prowadzić pozyskanego. Jednostka była bardzo dumna ze swej skrupulatności i sumienności i z tego, że stawia na pierwszym miejscu bezpieczeństwo każdego potencjalnego współpracownika.

Sprawa wyglądała nader obiecująco, nie miałem wątpliwości, że chcę w tym uczestniczyć.

– Brzmi wspaniale, szefie – powiedziałem.

– Dobrze. Złóż podanie. Jeśli chcesz tej pracy, jest twoja. Chodź, poznasz zespół.

Nadinspektor wstał i zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, znacznie większego niż jego gabinet.

Zostałem przedstawiony Angusowi, szczeranemu sierżantowi tuż przed emeryturą. Później przekonałem się, był on chyba najmądrzejszy ze wszystkich ludzi, z którymi kiedykolwiek pracowałem; zawsze potrafił świetnie doradzić i po latach doświadczeń z użeraniem się z tępych szefami, aroganckimi kolegami i głupekowatymi podwładnymi wiedział, co w życiu ważne. Jeśli istnieje osoba, której radę zawsze wziąłbym pod uwagę, jest nią właśnie on.

Angus obejrzał mnie od góry do dołu i nie zrobiłem na nim dobrego wrażenia. Był przedstawicielem starej szkoły, schludnym, bardzo zorganizowanym i sumiennym.

Bóg raczy wiedzieć, co pomyślał na widok mojej pogniecionej koszuli, tatuaży i włosów do ramion. Angus należał do ludzi, którzy golą się codziennie, a co tydzień przycinają włosy. Uścisnął moją dłoń, omal nie łamiąc mi palców.

Nadinspektor krótko przedstawił moją drogę zawodową, a gdy powiedział, że byłem UCO, Angus wzniósł oczy do nieba.

– No nie, jeszcze jedna niedoszła gwiazda Miami Vice – powiedział tylko na poły żartem, a widząc mój uśmiech, dorzucił: – Masz zaparkowany na zewnątrz helikopter albo lamborghini?

– Przypuszczam, że nie jesteś w dobrych stosunkach z SO10 – powiedziałem, śmiejąc się.

– Masz na myśli tę fabrykę snów? – zapytał Angus. – To banda niedoszłych gangsterów.

Roześmialiśmy się obaj. Dobrze go rozumiałem.

Angus przedstawił mnie reszcie zespołu i powiedział nieco więcej o ich pracy. Gdybym wstępował do tej jednostki zgodnie z wszystkimi zasadami, musiałbym odbyć kilka szkoleń i zostać dokładnie sprawdzony przez służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo. Jednostka miała ponoć dostęp do tajnych materiałów. Dysponowała też niewielką liczbą samochodów, należących do parku SO10, z fałszywymi tablicami rejestracyjnymi i zarejestrowanych na rozmaite firmy, które miały strony internetowe, adresy, konta bankowe i telefony.

– Praca wygląda ciekawie – powiedziałem Angusowi.

– I jest ciekawa, owszem – odparł – ale jeśli nigdy wcześniej nie werbowalesz ani nie prowadziłeś informatorów, dużo się będziesz musiał nauczyć. Nigdy nie ufaj kapusiowi. To moja żelazna zasada

– Jasne. Zapamiętam sobie.

Pożegnałem się (Angus znów prawie połamał mi palce) i wróciłem do swego biurka w komisariacie w Marylebone.

Kilka dni później na tym biurku wylądowało z hukiem moje podanie o pracę ze starannie wypełnionym kwestionariuszem; wypełniłem go od razu po powrocie do komisariatu.

– Komisarz tego nie podpisze – powiedział Marvin. – Nie pozwoli ci odejść. Brakuje nam posterunkowych.

– Co? Żarty sobie stroisz, do cholery? Taka okazja rzadko się zdarza. W co on pogrywa?

– Podjął już decyzję, stary – zakończył Marvin. – Przykro mi.

Gotując się ze złości, przekonany, że był to rodzaj złośliwej zemsty szefa za odmowę sporządzania dziennych statystyk, pomyślałem: „Dobra, on chce mi po prostu dokopać”.

Zadzwoiłem do kilku oficerów, z którymi pracowałem w takim czy innym czasie i każdemu przedstawiłem swój problem. Wszyscy oni mieli wpływy i ważne znajomości w Met, więc gdy kilka godzin później Marvin zadzwonił na moją komórkę, byłem zupełnie spokojny.

– Stary, możesz sam zanieść podanie prosto do kadr – oznajmił. – Jest dobrze, szef je właśnie podpisał.

Uśmiechnięty od ucha do ucha chwyciłem pomarańczową teczkę z podaniem i osobiście dostarczyłem ją do kadr. Jeszcze raz potwierdziło się, że w Met obowiązuje zasada: „Nieważne, co wiesz, ważne, kogo znasz”.

Moja nowa praca miała polegać na werbowaniu i przyuczaniu informatorów działających w londyńskim środowisku przestępczości zorganizowanej, a ściślej mówiąc – na szczytach hierarchii świata przestępczego. SDU wykonywała tego typu zadania na prośbę innych wydziałów. Z przestępczością zorganizowaną walczyły na przykład oddziały specjalne, które stosowały podsłuch i wszelkiego rodzaju obserwację, lecz gdy zawodziły próby rozpracowania jakiejś grupy czy osoby zwykłymi metodami, zwracały się do nas. Przyglądaliśmy się gangowi, który próbował infiltrować i wyszukiwaliśmy słabe punkty, które można by wykorzystać, pozyskując informatorów. Na papierze wygląda to fantastycznie i taki też był mój pierwszy rok pracy. Działaliśmy tajnie, mieliśmy samochody, legitymacje policyjne na różne nazwiska, zatwierdzone na wysokim szczeblu.

Było nas tylko sześciu, lecz mogliśmy się pochwalić dużymi sukcesami. Ja sam miałem na koncie wiele osiągnięć i czułem się doceniany. Pozyskiwaliśmy użytecznych informatorów, niektórych w tak ważnych miejscach, że nie odważyłbym się nawet tu o nich wspomnieć. Szczególnie dobrze radziliśmy sobie z werbowaniem informatorów w środowisku gangsterów z Europy Wschodniej.

Uważałem tę pracę za ekscytującą i na ogół niezwykle ciekawą. Prowadziliśmy czasem bardzo rozciągnięte w czasie operacje. Werbowanie i przyuczanie informatorów wymagało dbałości o najmniejsze drobiazgi. Nagrodę stanowiła dla mnie sposobność poznania odważnych ludzi z elity świata przestępczego. Odważnych dlatego, że podjęli w końcu ważącą na całym ich życiu decyzję, by pomagać władzom i przekazywać im wiadomości o pewnych najobrzydliwszych kryminalistach w kraju.

Proszę mi wierzyć, przestępcy, tacy jak typowi bohaterowie filmów sensacyjnych, istnieją naprawdę. Obserwowaliśmy, werbowaliśmy, szkoliliśmy i prowadziliśmy wszelkie możliwe ich odmiany – od wykidajłów ze złamanymi nosami po elegancko

ufryzowanych właścicieli salonów samochodowych; od księgowych w szytych na miarę garniturach z Savile Row po wychudłych, zakapturzonych łobuzów z osiedli komunalnych.

Zawsze i wszędzie najważniejsze było dla nas bezpieczeństwo potencjalnych źródeł. Dlatego wymyślaliśmy wiarygodne legendy o sobie i działaliśmy pod fałszywymi nazwiskami. Wystarczyło najlżejsze podejrzenie, że coś jest nie tak, by przerwać spotkania. Musieliśmy wciąż być czujni, nieustannie sprawdzać, czy nie jesteśmy obserwowani, tak że w końcu stało się to prawie naszą drugą naturą. Do dziś jestem wyczulony na to, co dzieje się w moim bezpośrednim otoczeniu.

Pracowałem z fantastycznym zespołem zawodowców kierowanym przez stanowczego i rozsądnego Angusa. Angus prowadził księgi operacyjne oraz raporty dla przełożonych, pisząc wiecznym piórem i pięknym pismem kaligraficznym. Był niezwykle wymagający, jeśli chodzi o solidne i terminowe wykonywanie roboty papierkowej i biurowej. Myślę, że mimo początkowych wątpliwości co do mnie, był ostatecznie dumny z moich osiągnięć w pozyskiwaniu trudnych osób.

Kłopot polegał na tym, że padliśmy ofiarą własnego sukcesu. Przez całe miesiące podtrzymywaliśmy kontakty, aż przychodził moment, gdy ktoś mógł już być wiarygodnym informatorem. Przekazywaliśmy go wówczas jednostce prowadzącej informatorów. Zdarzało się, że ludzie wybuchali płaczem, gdy mówiłem, że nasza znajomość jest już zakończona i że od tej pory będą mieli do czynienia z kimś innym. Niektórzy dzwonili do mnie z żądaniem, abym to ja był ich prowadzącym. Nie mogłem się tego podjąć, miałem zbyt wiele spraw na głowie.

Każdemu potencjalnemu kapusiowi podawałem inny numer telefonu, tak że jednocześnie korzystałem z kilku komórek. Dopiero kiedy informator został formalnie zarejestrowany, pozbywałem się karty SIM. W pewnym momencie zajmowałem się blisko tuzinem przyszłych współpracowników – a to oznaczało dla mnie tuzin fałszywych nazwisk. Miałem na biurku tyle komórek, że zapomniałem, która jest moja własna. Przy takim nadmiarze telefonów i tożsamości, które wykorzystałem jako tajniak, zaczynałem się gubić, zdarzało mi się zapomnieć, jaką rolę odgrywałem przed daną osobą.

W jednostce pozyskiwania źródeł dostałem prawo jazdy, paszport i kartę ubezpieczenia społecznego. Jako UCO miałem jeszcze karty bankowe. Wszystko to wytwarzano w porozumieniu z odpowiednimi departamentami różnych instytucji; na przykład agencja odpowiedzialna za pobieranie podatku drogowego i wydawanie praw jazdy miała wydział, którego zadaniem było dostarczanie policji fałszywych praw jazdy. Dzięki paszportom mogliśmy podróżować za granicę. Wyjechałem tylko raz – do dalekiej byłej sowieckiej enklawy, na spotkanie z tajnymi funkcjonariuszami, z którymi miałem nawiązać współpracę – ale w istocie wjechałem do tego kraju

nielegalnie. Władze nigdy się nie dowiedziały, kim byliśmy. Gdy wjeżdża się do Zjednoczonego Królestwa, żądamy podania prawdziwej tożsamości, nikt jednak nie wymaga tego, gdy wyjeżdżamy za granicę.

Praca w jednostce pozyskiwania źródeł należała do moich ulubionych. Mogłem w niej sprawdzić swe umiejętności nawiązywania kontaktów. Działaliśmy tajnie, lecz nie w stylu Jamesa Bonda. Informatorów wykorzystywano od niepamiętnych czasów; w starożytnych Chinach pisał o tym Sun Tzu w słynnej rozprawie *Sztuka wojny*. Sun Tzu stawiał pytanie, czy dowódcy wojskowi rozkazujący setkom tysięcy żołnierzy pokonywać w marszu ogromne odległości, co wiązało się z ponoszonymi przez państwo wielkimi kosztami, są prawdziwymi wodzami. Utrzymywał, że ludzie mądrzy potrafią dokonywać rzeczy będących poza zasięgiem ludzi przeciętnych dzięki znajomości sposobu myślenia i planów nieprzyjaciela, tego zaś można dowiedzieć się tylko od innych ludzi. Sun Tzu wymienia pięć rodzajów szpiegów, od lokalnych wywiadowców po zwerbowanych donosicieli. Wiele wieków później podane w *Sztuce wojny* zasady nadal nie straciły na aktualności. Każda operacja będzie miała większe szanse powodzenia dzięki wykorzystaniu dobrych źródeł.

W świecie tym obowiązują ścisłe reguły. Po wybrykach lotnej brygady w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, wówczas jednej z najłatwiej ulegających korupcji jednostek policji – mówiono, że przekupni detektywi wykorzystywali informatorów do swych własnych celów, niewłaściwie korzystali z danych wywiadowczych, a czasem nawet zabierali dla siebie wynagrodzenia informatorów – przeprowadzono gruntowne porządki. W moich czasach nadal płacono informatorom, zależnie od wagi dostarczanych informacji – okazało się, że tylko w jednym roku Met wypłacała informatorom dwa miliony dwieście tysięcy funtów – lecz tylko nieliczni otrzymywali pensje. Mieliśmy na przykład współpracownika, który przekazał wiadomość, że pewien kryminalista ma dużo broni. Dla Met broń na ulicach była bardzo ważną kwestią. Tego samego dnia zorganizowano nalot na dom tego człowieka, broń znaleziono i zarekwirowano. Informator dostał nagrodę w wysokości ośmiu tysięcy funtów.

W SDU pracowałem z entuzjazmem, lecz ponieważ było to zajęcie w niepełnym wymiarze godzin, dodatek do mej pracy na etacie, musiało się to źle skończyć – oczywiście dla mnie. Angus nieustannie narzekał, że za bardzo skupiam się na tajnych operacjach, a zbyt mało na pracy dla SDU. Zacząłem uczestniczyć w dużej operacji wymierzonej w przestępczość zorganizowaną. Mówię po rosyjsku, więc moim zadaniem była współpraca z agentami z zagranicy. Musiałem zorganizować im mieszkania, telefony, przykrywkę biznesową ich pobytu w Londynie i dopilnować, by się tu zaaklimatyzowali. Zadaniem gości była infiltracja środowiska przestępczego. Operację rozłożono w czasie – mogło potrwać nawet dwa lata, nim zacznie się

właściwa infiltracja jakichś elementów przestępczych. Parę razy w tygodniu jeździłem do zachodniego Londynu, otwierałem firmy, spotykałem się z tymi ludźmi, wyszukiwałem im tymczasowe mieszkania. Robota jest durna do bólu, a przecież musiałem ją wykonywać raz za razem, pod wieloma różnymi nazwiskami. W jednym z mieszkań musiałem założyć telefon. Aby było szybciej, załatwiałem to przez Internet.

Jako nazwisko abonenta nieświadomie podałem swoje własne nazwisko i dopiero gdy dziewięć tygodni później przyszedłem do tego mieszkania odebrać pocztę, znalazłem listy adresowane nie tylko na moje fałszywe, ale i prawdziwe nazwisko.

Cholera, pomyślałem. Schrzaniłem całą operację. Trzeba działać szybko. Zrobiło mi się niedobrze.

Spanikowany zadzwoniłem do firmy telekomunikacyjnej i powiedziałem, że przez przypadek podałem złe nazwisko; że jednocześnie rozmawiałem z klientem i podałem jego nazwisko zamiast swojego. Dokonano zmiany, ale zło już się stało. Moje nazwisko wciąż figurowało w internetowych książkach telefonicznych. I wyskakiwało po wprowadzeniu tego adresu. Stanowiło to bardzo duże niebezpieczeństwo, ponieważ z tym adresem powiązany był również mój pseudonim. A ponadto w Internecie można było znaleźć recenzję posterunkowego Christiana Płowmana z książki o tajnych operacjach policyjnych oraz artykuły prasowe o sprawie Juana Carlosa Guzmána-Betancourta.

Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje. Nieumyślnie połączyłem akcję policji z adresem, pod którym zatrzymali się tajni agenci z zagranicy. Miałem problem. Czy powiedzieć w SO10 o tym, co zrobiłem, i pogodzić się z faktem, że będzie się to za mną wlokło przez resztę życia? Prawdopodobnie tak powinienem postąpić, nie sposób jednak opisać strachu, jaki SO10 budzi w swych funkcjonariuszach. Przyznać się do błędu uchodzi tam za słabość. Było to ostatnie miejsce na ziemi, gdzie można by się spodziewać wyrozumiałości. Nic z tych rzeczy. Nawet jeśli ktoś powie coś pocieszającego, i tak podejrzewa się go o nieszczerść.

Ogarniało mnie przerażenie na myśl, że zaszkoziłem takiej długofalowej operacji. Całymi dniami obgryzałem paznokcie, byłem chory ze zdenerwowania. Bałem się, że moja kariera w SO10 skończyła się, zanim się jeszcze w ogóle zaczęła. Bardzo szanowałem swoich kolegów z jednostki, nigdy jednak nie czułem się wśród nich na tyle pewnie, by przyznać się do tak głupiego błędu. Nie widziałem wyjścia z tej sytuacji i popadłem w taką paranoję, że byłem przekonany, iż zostanę wyrzucony z pracy.

Tak samo działo się, kiedy chodziłem na obowiązkowe sesje psychologiczne. Miały one oczywiście polegać na rozmowie o wszelakich problemach, okazały się

jednak zupełną stratą czasu. Nie potrafiłem się otworzyć i opowiadać o tym, jak się naprawdę czuję, ponieważ zawsze się obawiałem, że jeśli przyznam się, jak fatalne mam samopoczucie, nigdy już nie będę w stanie pracować. Wydawało mi się, że na nazwisku tajniaka, który przyznał się do słabości, do niepokoju, na zawsze pozostanie plama i że może być to zabójcze dla kariery.

Uznałem, że najlepiej będzie zachować spokój i modlić się, by nikt nigdy nie nabrał podejrzeń i nie sprawdził tego mieszkania.

A ponadto miałem ważniejsze sprawy na głowie. Po raz pierwszy od czasu, gdy zacząłem pracę w niepełnym wymiarze godzin, w tajnej jednostce pojawiły się wolne pełne etaty. Marzenie o dołączeniu do „najlepszych z najlepszych” mogło się wkrótce spełnić.

Wielkie grube cygańskie utrapienie

Odszedłem. Po wielu latach kłótni zacząłem żyć na własną rękę. Zostawiłem Jane i dwoje dzieci. Od dawna nie byliśmy szczęśliwi. Często pracowałem całymi nocami, więc w rzeczywistości nie miało to dla mnie wielkiego znaczenia. W SDU godziny pracy były mniej więcej stałe, a teraz, jako pełnoetatowy UCO, nie musiałbym już pracować po siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt godzin w tygodniu. Tajne operacje były o wiele bardziej nieregularne i nie tak częste jak zakupy kontrolowane, nie groziły mi więc nadgodziny.

Decyzja przyszła stosunkowo łatwo. Naprawdę niepokoiło mnie tylko to, jak taka duża zmiana wpłynie na moich dwóch synów. Wiedziałem jednak, że wyrosli na upartych i zdecydowanych chłopców i mimo że przed laty obiecywałem sobie nigdy nie zrobić moim dzieciom tego, co ojciec zrobił mnie, postąpiłem dokładnie tak samo jak on.

Pierwszy rok pracy w SDU był fantastyczny, ale rosnące długi i ogromna zmiana w moim życiu sprawiły, że zacząłem mieć coraz silniejsze wrażenie, iż tracę kontrolę.

Pamiętam pewien rano, gdy po przyjściu do pracy wyłożyłem na biurko wszystkie swoje telefony komórkowe. Miałem osobny telefon do kontaktów z każdym potencjalnym informatorem (dla tych ludzi byłem posterunkowym Chrisem Macintyre). Jednego aparatu używałem w tajnych operacjach biznesowych prowadzonych w SDU (pod nazwiskiem Christopher Percival-Jones), jeden aparat służył do operacji przeciwko gangsterom z Europy Wschodniej (występowałem jako Christian Sulyenko), jeden do akcji przeciwko albańskim handlarzom kokainą (tu byłem Kristoforasem Starszewskim), jeden do kontaktów z „pracą”, a jeden był moim telefonem osobistym. W sumie leżało na moim biurku jedenaście telefonów komórkowych. Jezu!

Zacząłem mocno zalegać z papierkową robotą i choć wcześniej udawało mi się ze wszystkim zdążyć, teraz narastała góra paragonów potwierdzających wydatki związane z pracą dla SDU i w tajnych operacjach, ja zaś po prostu wrzucałem je wszystkie do szuflady. Stałem się ospały, wiecznie zmęczony, praca przestawała mnie interesować.

Często wtrącałem się do rozmów kolegów, rzucając komentarze, niekiedy przekraczające granice między żartem a obrażą. Mawiałem, że któregoś dnia stracę cierpliwość i wystrzelam wszystkich z kałasznikowa.

Mimo to chciałem pracować coraz więcej, Bóg jeden wie, dlaczego. Być może coraz bardziej wierzyłem we wszystkie te opowieści o tym, że SO10 to sam szczyt, elita. Tam właśnie chciałem być. Jednego dnia przychodziłem do pracy wesoły, radosny, gotów przenosić góry, drugiego siedziałem ponury, szperając w Internecie i czekając na godzinę czwartą, żeby wyjść do domu lub na drinka z kolegami. Nudę tylko od czasu przerywało prowadzenie zajęć na kursie szkolenia informatorów lub pomoc jakiemuś innemu zespołowi SDU w opracowaniu planu zdobycia potencjalnego kapusia.

Po kilku miesiącach takiego życia spotkałem Grace. Znałem ją sprzed lat. Na kursie dla TPO odgrywałem rolę w scenie przez nią zaaranżowanej; gdy pracowałem w centrum Londynu, Grace dokonywała dla mnie czasami zakupów kontrolowanych. Znałem ją, lecz przez długi czas nie widzieliśmy się ani nie rozmawialiśmy, aż w końcu nasze drogi się skrzyżowały.

Zaprzyjaźniliśmy się i zaczęliśmy się spotykać. Ku memu zaskoczeniu Grace szybko zaszła w ciążę. Początkowo chyba żadne z nas nie wiedziało, jak się w tej sytuacji zachować. Bardzo się bałem i nikomu nic nie mówiłem. Kilka osób z mojej pracy myślało, że gonię w piętę, ponieważ znikalem na całe godziny; spacerowałem wówczas ulicami w pobliżu Scotland Yardu, rozmawiając z Grace przez telefon i zastanawiając się, co robić.

W końcu poszliśmy zrobić USG. Oboje zdenerwowani i przerażeni. Badanie wykazało, że płód obumarł na bardzo wczesnym etapie ciąży. Kazano nam wrócić za kilka dni na kolejne badanie, po którym zapadnie decyzja, co zrobić z małym embrionem.

Mimo że nie byliśmy pewni, co zdecydujemy w sprawie dziecka, oboje czuliśmy się zdruzgotani. Jakbym dostał pięścią w twarz, nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Dość długo czuliśmy się jak pogrążeni w głębokiej żałobie. Spotęgowało to jeszcze moje problemy w pracy, dla której całkowicie straciłem zainteresowanie. Zdawałem sobie sprawę, że moje mizerne osiągnięcia zaczynają zwracać uwagę.

Kilka dni później wróciliśmy z Grace do szpitala. Usiedliśmy w zimnej poczekalni, otoczeni przez nastoletnie matki ze wschodniego Londynu i przysadzistych, brzęczących złotymi bransoletami ojców ich dzieci. W końcu nas wezwano. Przypuszczałem, że zostaną nam przedstawione do wyboru metody postępowania z obumarłym płodem i tak dalej. Czytaliśmy o tym w internecie i nie wyglądało to zbyt przyjemnie.

Lekarka zaczęła rozprawiać żel na brzuchu Grace. Na ekranie nic jeszcze nie było widać, lecz gdy badanie się zaczęło, spojrzała na nas i powiedziała:

– W porządku. Z dzieckiem wszystko w porządku.

– Co? Co to znaczy? – zapytaliśmy jednym głosem, zaskoczeni.

– Dziecko ma się dobrze – powtórzyła lekarka swym mocnym wschodnioafrykańskim akcentem. – Wygląda na bardzo duże jak na swój wiek.

– A więc nie umarło? – zapytała Grace.

– Przyszliśmy tu na badanie i by porozmawiać o tym, jak postąpić z martwym płodem – wyjaśniłem.

– Och, przepraszam. Tu jest napisane, że chodzi tylko o rutynowe badanie – rzuciła lekarka nonszalancko.

Co to za idiotyzm? Najpierw nieoczekiwana ciąża, potem martwe dziecko, a teraz to. Cholera. Byliśmy tak ogłupiali, że nie potrafiliśmy się nawet cieszyć, zbyt dziwne było to wszystko.

Po raz drugi w ciągu dwóch tygodni opuszczaliśmy szpital w oszołomieniu. Doszliśmy jednak do siebie i byliśmy oczywiście zadowoleni. Żadne z nas nie zgodziłoby się na aborcję, gdybyśmy mieli jakiś inny wybór, a ja mam bardzo zdecydowane poglądy na prawo dziecka do życia.

Ciąża nie przebiegała łatwo. Lekarze uznali ją za ciążę wysokiego ryzyka z powodu możliwych problemów z sercem dziecka. Oznaczało to więcej wizyt, więcej lekarzy, różne szpitale. Próbowaliśmy przygotować się na czekające nas trudne miesiące.

W pracy wciąż nic nikomu nie mówiłem. Zaproponowano mi udział w długofalowej tajnej operacji, co bardzo mi odpowiadało. Okazało się jednak, że nie będzie łatwo.

– Angus – przekonywałem szefa – to tylko dwa dni w tygodniu.

– Nie. Fabryka snów może się wypchać. Masz dość pracy tutaj – zdecydował.

Poszedłem do biura SO10 i powiedziałem Brianowi, detektywowi kierującemu operacją, że Angus nie zgadza się na mój udział.

– Nie martw się, synu – odparł. – Porozmawiam z wielkim bossem.

Z lekkim poczuciem winy za podjęcie takiej akcji przeciwko Angusowi, którego lubiłem i ogromnie szanowałem, wyszedłem szybko z Yardu, aby się uspokoić i pozbyć kłębiących się w głowie myśli.

W głębi serca zdawałem sobie sprawę, że podejmowanie się długookresowej pracy w charakterze tajniaka przez dwa dni w tygodniu było ryzykowne, zwłaszcza wobec dziecka w drodze. Często całymi godzinami zamartwiałem się i denerwowałem o jego zdrowie, do czego zwykle nie miałem skłonności. Nie znosiłem opowiadać się po stronie Briana; nigdy nie miał dla mnie czasu, a poza tym nie podobało mi się jego

pędzone testosteronem pozerstwo. Nie chciałem też zawieść Angusa ani nadinspektora, pozornie zostawiając ich na lodzie. I była jeszcze ta niewytłumaczalna siła przyciągania SO10, która wbrew mej woli i najlepszym intencjom powoli odwozila mnie od racjonalnych działań. Bóg wie, dlaczego jej się poddawałem.

Po powrocie dostałem telefon od gotującego się ze złości Angusa, który dopadł mnie (nie dosłownie) na korytarzu i wezwał do gabinetu nadinspektora.

– Dobra, chcę wiedzieć, co się dzieje, Christianie – powiedział. – Z twoją pracą nie jest w porządku, a ja dostaję telefony od przełożonych w sprawie zwolnienia cię do tajnej operacji. No więc, co jest grane?

– Nic, Angusie – odparłem. – Przykro mi.

– Posłuchaj, wiem, że dużo się zmieniło w twoim życiu osobistym i nie mam zamiaru się w to wtrącać, ale mam dla ciebie propozycję. Zapomnij na chwilę o fabryce snów, przyłóż się tu do roboty i załatw swoje sprawy osobiste. Zgoda?

Była to w istocie oferta pomocy i wsparcia ze strony tego niemal emeryta. Nikt nigdy dotychczas nie przyszedł do mnie i nie powiedział: „Przestań tak się zachowywać. Usiądź. Zastanów się. Załatw swoje sprawy, a my ci pomożemy”. Angus był o wiele bystrzejszy, niż mogłoby się wydawać. Gdybym tylko potrafił wówczas docenić jego propozycję. Zamiast tego ją zlekceważyłem.

– Słuchaj, ze mną wszystko w porządku – powiedziałem, wciąż przekonany, że każda wzmianka o „stresie” czy „kłopotach” zakończy moją karierę.

– Jasne, jeśli tak twierdzisz – odparł Angus z niechęcią i niedowierzaniem w głosie. – Nie uważam, że powinienes to robić, ale zgodziliśmy się pozwolić ci na dwa lub trzy dni w tygodniu zajmowania się dla fabryki snów tym pieprzonym nonsensem w Romford.

– Piękne dzięki! – krzyknąłem.

– Ale musisz się ogarnąć, Christianie – dodał Angus.

– Tak, tak, oczywiście – rzuciłem lekceważąco, wyszedłem z gabinetu i poszedłem na górę do SO10. Zostałem tam Briana i Rega, jednego z pełnoetatowych tajnych funkcjonariuszy. Najwyraźniej miałem z nim współpracować przy tym nowym zadaniu.

Przeszliśmy do małego pokoju na tyłach, gdzie Reg wprowadził mnie w szczegóły. Miałem przez pewien czas przesiadywać w pubie (doprawdy zaskakujące) w Romford, naprzeciw koczowiska, czyli obozu cygańskiego. Reg wyrobił sobie już pozycję w tej społeczności i założył swoją bazę w innym pubie w pobliżu. Wyznaczono mi rolę pracownika założonej przez Rega fikcyjnej firmy, mającej w tej okolicy duży magazyn i firmową furgonetkę. Moje zadanie polegało na uważnym

obserwowaniu zwłaszcza pubu, będącego z pozoru siedliskiem przestępstwa; koczownicy codziennie handlowali tam ponoć narkotykami i bronią, a reszta klientów, nie lepsza, stanowiła doborową gromadę niegodziwców. Miałem spędzać tam co najmniej dwa dni w tygodniu i zostawać na przynajmniej jedną noc w mieszkaniu Rega.

Dobra, pomyślałem, spróbuję. Trochę denerwowało mnie, że SO10 nadal ma obsesję na punkcie pubów, ponieważ zupełnie nie pasowałem do tego rodzaju nędznych przybytków pełnych irlandzkich koczowników. Miałem jednak cichą nadzieję, że ta praca umożliwi mi przejście na pełny etat do wymarzonej tajnej jednostki SO10.

Ku wielkiej irytacji Angusa wykreśliłem dwa dni w tygodniu z naszego rozkładu obowiązków. Następnego dnia poznałem nadinspektora kierującego operacją i dostałem od niego instrukcje. Postanowiłem poinformować go, że moja druga połowa jest w pierwszej połowie zagrożonej ciąży, nie mam więc zamiaru spędzać na miejscu akcji dwudziestu czterech godzin na dobę. Obawiałem się trochę reakcji nadinspektora, moja zapowiedź nie zrobiła jednak na nim wrażenia. Wydawało się, że nie widzi żadnego problemu. Ruszyłem na pierwszą wizytę do The Tramshed.

Pub, usytuowany na skraju dużego osiedla komunalnego, wyglądał jak betonowy barak. Trudno – a właściwie prawie niemożliwe – było się domyślić, że mieści się tu lokal publiczny. W małych okienkach tkwiły zardzewiałe kraty, po obu stronach przysadzistego pudła widać było masywne stalowe drzwi. Naprzeciwko pubu rozpościerał się spłacheć trawy, na której pasły się dwa brudne konie, z pewnością z obozowiska koczowników.

Po raz pierwszy pojawiłem się tam koło południa, w porze lunchu. Można by uznać, że był to doskonały pretekst do wizyty w pubie, lokal ten nie znajdował się jednak przy drodze, nie wpadali tam przejezdni. Był to pub osiedlowy, tylko i wyłącznie dla mieszkańców, a każdy „wpadający” budził podejrzenia.

Na zewnątrz siedzieli przy dwóch stołach miejscowi, wszyscy w najmodniejszych butach Sports Direct–Lonsdale oraz górach od dresów Adidasa. Na potrzeby tego zadania dostałem parę ładnych butów Nike Air Max, chyba z nieco zbyt wysokiej półki. Gdy wchodziłem do pubu, wybiegła z niego mała, może dwuletnia dziewczynka; jej matka siedziała na dworze, paląc papierosa. Dziecko miało na sobie tylko opadającego pampersa i podróbkę koszulki piłkarskiej, ale za to złote kolczyki w uszach. Dziewczynka trzymała przed sobą paczkę słonych chipsów i plastikową butelkę fanty. Śniadanie, jak przypuszczałem.

No to do jaskini lwa. Pub był w środku niemal pusty. Przy barze siedziało kilku starszych mężczyzn, a w drugim końcu sali (wkrótce zorientowałem się, że był to

rewir koczowników) grupa młodych, wygolonych na łyso mężczyzn głośno rozmawiała; mówili z silnym irlandzkim akcentem. Jak się spodziewałem, nikt nie przerwał rozmowy i nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć, tylko wesoła barmanka zagruchała zza baru:

– ...ńdobry, kochaniutki, co ci podać?

Niechętnie przechodząc na okropny udawany akcent, poprosiłem o piwo stella i bułkę z szynką.

– Paul, jedną bułkę z szynką, proszę! – wrzasnęła barmanka, nalewając moje pełne jasne do kufła.

Usiadłem za barem, sączyłem piwo i czytałem kupioną wcześniej gazetę, bez słowa przypatrując się otoczeniu i klientom pubu. Po około dziesięciu minutach Paul, siedemdziesięcioletni właściciel lokalu, postawił przede mną wyszczerbiony talerz z chrupiącą bułką; między jej połówki wciśnięty był gruby na pół centymetra plaster szynki, a hojnie rozsmarowane masło wyciekało ze środka.

– Bułka z szynką? – zapytał Paul.

– Dzięki – powiedziałem i ostrożnie wgrzyłem się w bułkę. Była absolutnie niejadalna. Gruba warstwa taniego masła (wolę cienko rozsmarowaną niskotłuszczową margarynę) i twarda, gumowata szynka to nie były specjały, których chciałbym jeszcze raz spróbować. Każdy kęs popijałem dużym łykiem stelli, krztusząc się za każdym razem.

Tego pierwszego dnia przesiedziałem w pubie do około szóstej. Wypiłem tylko trzy piwa, ale czułem się trochę pijany. Jako doświadczony tajniak, wręcz weteran, pozbierałem się jakoś i wróciłem do domu.

W następnych kilku miesiącach przesiadywałem w The Tramshed całe godziny, czasem w ciągu dnia, czasami wieczorem, nigdy jednak później niż do dziewiątej, ponieważ chciałem być w domu, z Grace. Wkrótce poznałem stałych bywalców, personel i właściciela pubu. Wszyscy klienci, zwłaszcza bywający tu wieczorem, byli ludźmi pracy. Widziałem, jak popełniali różne drobne grzeszki – kupowali na przykład DVD od pewnego Wietnamczyka, który pojawiał się co czwartek; co pewien czas jakiś typek urywał się do toalety, by wciągnąć kreskę koki, albo zaćpany złodziej sklepowy sprzedawał ukradzione rzeczy. Jak to w zwykłym, niczym się niewyróżniającym osiedlowym pubie.

Po dłuższym czasie nadinspektor zapytał mnie, jak przedstawia się sytuacja.

– Ten pub nie jest przestępczą meliną, szefie. Owszem, odbywają się tam jakieś drobne przekręty, ale z pewnością nic poważnego, a bywalcy pubu to w większości ludzie pracujący, zarabiający na utrzymanie rodziny.

– W porządku, rób swoje. Tam się musi coś dziać – zakończył nadinspektor.

Zacząłem odczuwać pewne zniechęcenie tym wszystkim. Nic w tym pubie nie wykraczało poza normalność i w ogóle nie wydawało się warte uwagi. Koczownicy, choć byli bardzo hałaśliwymi łobuzami, nie przysparzali większych problemów; jeśli się bili, to między sobą. Nie zauważyłem niczego, żadnych szeptanych rozmów po kątach, co mogłoby sugerować podejrzane interesy lub handel narkotykami.

Zacząłem powtarzać sobie w myślach: „Co ja tu robię, do cholery? To nie ma najmniejszego sensu. Nie cierpię pubów. Nie znoszę tej części Londynu”. Za każdym razem wracałem stamtąd po czterech czy pięciu piwach, pijany, służbowym samochodem. Gdyby zatrzymała mnie policja, byłbym skończony. Wiele razy prowadziłem pod wpływem, za co groziło natychmiastowe zwolnienie, ale nic mnie to nie obchodziło. To była droga do samozniszczenia. „Skoro chcą, żebym robił właśnie to – tłumaczyłem sobie – niech tak będzie”. Nie mogłem jednak tworzyć przestępców. Ci ludzie nie mieli szczęścia, walczyli o przetrwanie. Jeśli jakiś facet kradł mięso w Tesco, aby sprzedać je w pubie, kimże ja byłem, żeby go zatrzymywać? Nie byłoby w porządku chwytnie ich w sieć tylko dlatego, że SO10 chciał pochwalić się wynikami. Nie po to robiłem ogólnokrajowy kurs dla tajnych funkcjonariuszy.

To było do kitu.

Pewnego dnia dostałem telefon z SO10, od Briana.

– Christian, chcemy, żebyś spędził tam cały wieczór i noc.

Najwyraźniej nadinspektorowi nie podobało się, że przesiaduję w pubie tylko po kilka godzin. Odparłem, że wieczorem wracam do domu, ponieważ nie byłoby w porządku wobec Grace zostawiać ją samą na całą noc; przecież ona jest w ciąży.

– Tak, wiemy o tym, ale musisz spędzać tam trochę więcej czasu. W czwartek jest wieczór karaoke. Wyślę tam także Freddy’ego.

– O Boże, niech już będzie – zgodziłem się.

Freddy, zachowujący się jak aż nadto typowy gangster, mówiący cockneyem, był bardzo doświadczonym UCO i świetnym kompanem. Lubił wypić, ja zaś byłem pewny, że jeśli ktoś zdoła wywęszyć w tym pubie jakieś przestępstwo, to na pewno tylko on.

Freddy odgrywał już epizodyczną rolę w tej operacji, teraz uznaliśmy, że mógłby grać kogoś, dla kogo pracowałem w przeszłości. Tak więc w ciepły czwartkowy wieczór, około siódmej, weszliśmy do pubu i zaczęło się picie. Freddy jak zawsze zachowywał się hałaśliwie i swobodnie. Z pewnością zwracał na siebie uwagę. Muszę przyznać, że bardzo szybko zrobiło mi się wesoło. Podejrzewam, że dolewano tam

czegoś do piwa, nigdy się jednak nie dowiem, czy rzeczywiście tak było. Podczas karaoke Freddy rozśmieszył mnie do łez, co z pewnością zostało zauważone przez bywalców.

W pewnym momencie Freddy wrócił z toalety i szepnął:

– Właśnie zostałem zdemaskowany.

– Co masz na myśli?

– Wiedzą, że jestem policjantem.

– O cholera. Kto?

– Ci włóczędzy – odparł Freddy. – Ale nie martw się, wszystko w porządku.

Prawdopodobnie zbyt duża ilość wypitego alkoholu sprawiła, że nie zwróciłem zbyt wiele uwagi na ten niewróżący nic dobrego obrót wydarzeń. Wieczór przeciągnął się do północy. Nie osiągnąłem wiele z wyjątkiem potężnego spicia się. Ledwie widziałem i z trudem trzymałem się na nogach, wiedziałem jednak, co muszę zrobić.

Zataczając się, przeszedłem przez zajmowaną przez koczowników część pubu do odległego wyjścia i wypadłem na zewnątrz, na chodnik. Nachyliłem się, włożyłem dwa palce głęboko do gardła i zwymiotowałem. Powtórzyłem ten zabieg kilka razy.

Zadowolony z rezultatu powoli się wyprostowałem i omijając wymiociny, ruszyłem w stronę drzwi do pubu. Wychodziła z niego właśnie grupa koczowników – przez ostatnich kilka tygodni widywałem w pubie ich wszystkich, choć nie zawsze w pełnym składzie.

– Na razie, chłopaki! – zawołałem.

Jeden z Cyganów klepnął mnie mocno po plecach i uśmiechnął się.

– Na razie, sierżancie!

Ogólny śmiech.

– No – przytaknął drugi. – Wracasz teraz na komisariat, policjancie.

Dotarło do mnie, co oni mówią – że jestem gliną. Nie byłem gliną, tylko Christianem Sulyenko. Niczego się nie boję, zwłaszcza po alkoholu.

– Co ty pieprzysz? – zapytałem, z twarzą przy twarzy największego osobnika z grupy. – Mówisz, że jestem policjantem?

– Tak – odparł, delikatnie mnie odpychając. – Ty i twój gruby koleś jesteście cholernymi śmierdzącymi gliniarzami i myślimy, że powinniście się odpieprzyć.

Dzięki alkoholowi nie czułem wielkiego strachu.

– O czym ty, do cholery, mówisz, piździelcu?! – krzyknąłem. – Cholernymi gliniarzami? Jaja sobie robisz?

Zauważyłem, że Paul, właściciel pubu, i Freddy wyszli na zewnątrz.

Freddy włączył się do wymiany zdań, wszyscy obrzucaliśmy się wyzwiskami. Kilku koleś zaciskało pięści, niektórzy ponosili z ziemi kamienie.

– Słuchajcie, gnojki, jeśli nie chcecie skończyć z rozwalonymi głowami, lepiej spieprzajcie, ale już! – wrzasnął prowadzący.

– Nigdzie nie będę spieprzał! – odkrzyknął Freddy, gdy grupa zaczęła nas otaczać.

– Wchodźcie do środka, do cholery! Wy dwaj – rzucił Paul, chwytając mnie za ramię.

– Piździelce! – wrzeszczał Freddy, gdy Paul wypychał nas do środka i szybko ryglował stalowe drzwi.

Koczownicy zaczęli walić w drzwi, kopać i krzyczeć. Zrobiło się strasznie. A wszystkiemu winien był alkohol – obaj z Freddyem za dużo wypiliśmy.

– Zostańcie tu, chłopaki – przykazał Paul.

Walenie i krzyki ucichły po kilku minutach. Paul szybko zerknął przez okno.

– Wszyscy poszli. Brudne włóczędzy, zawsze narobią kłopotów – powiedział.

– Cholera wie, o co im poszło – zastanawiałem się głośno. – Policjanci? Skąd im to przyszło do głowy?

– A tam, nie przejmuj się – powiedział Paul. – To po prostu dlatego, że was nie znają. I tyle.

Widziałem w jego oczach podejrzliwość.

Wciąż nietrzeźwi postanowiliśmy z Freddyem wracać do tajnego mieszkania, które mieliśmy w pobliżu. Oznaczało to przejście koło obozowiska koczowników.

– Dzięki, Paul – powiedziałem. – Dziękuję za wyciągnięcie nas z tego.

– W porządku. Spokojnej nocy, chłopaki.

Ruszyliśmy w ciemność, a gdy tylko znaleźliśmy się jakieś dwadzieścia metrów od pubu, popatrzyliśmy na siebie i wybuchliśmy śmiechem. Powędrowaliśmy przed siebie chwiejnym krokiem, wspominając wydarzenia wieczoru, a opowieść o nich już zaczęła obrastać w szczegóły i zamieniać się w anegdotę, którą latami będzie powtarzana w SO10. Gdy zataczając się, mijaliśmy cygański obóz, krzyknęliśmy zgodnie:

– Palanty!

I uciekliśmy niczym para dzieciaków.

W mieszkaniu uderzyliśmy w kimono i obudziliśmy się wcześniej rano. W głowie mi się kręciło. Dopiero wówczas dotarła do mnie powaga sytuacji. Wszystko mogło

skończyć się źle, mogliśmy obaj z Freddyem wylądować w szpitalu albo jeszcze gorzej.

Można by pomyśleć, że po takiej wpadce ktoś porozmawia z nami o tym, co zaszło. Nic podobnego. Nie rozmawiałem o tej sprawie z nikim, z żadnym tajniakiem ani zespołem. Nikt nie powiedział: „Spieprzyłeś to. Koniec zadania. Nie padło ani jedno słowo. Sprawa, która była priorytetem – zlikwidowanie gniazda przestępców – przestała istnieć. O ile wiem, prowadzono ją dalej już bez udziału mojej jednostki.

Targały mną sprzeczne emocje. Radość, że skończyłem z zadaniem, które doprowadzało mnie do rozpacz, a jednocześnie frustracja, że stało się to w taki sposób. Miesiącami przesiadywałem w tym pubie i nikt nie podejrzewał, że jestem gliniarzem. A potem, gdy wysłano posiłki, wystarczył jeden wieczór. Freddy i ja różniliśmy się diametralnie, lecz jak mi się wydawało, tego rodzaju rzeczy nigdy nie brano w SO10 pod uwagę.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniłem strasznego błędu, pokładając tyle wiary w tajną jednostkę. Teraz z pewnością nie uważałem jej już za elitę. Zastanawiałem, co teraz przyniesie mi los.

Samobójstwo

Znowu się zaczyna. Czuję, że jest coraz bliżej. Dziwne uczucie spokoju, kiedy się wie, że sprawy zaczynają wymykać się spod kontroli.

Na ogół uważa się, że człowiek załamuje się po jakiejś poważnej katastrofie, często jednak decydują o tym błaha drobiazgi. Nigdy nie myślałem, że Grace, próbując odwieść mnie od powrotu do palenia, wpędzi mnie w depresję. Żadnej innej przyczyny po prostu nie jestem w stanie dostrzec. Grace chodziło tylko o moje zdrowie, a ja czułem się jak narkoman, któremu nie udało się przekonać bliskiej osoby, że jest czysty.

Brzmi to głupio, lecz właśnie tak się zaczęło. Skoro w oczach Grace nie byłem dość dobry, znaczyło to, że w ogóle jestem do niczego. Była dla mnie wszystkim. Bez niej nie miałem po co żyć.

Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że szalę przeważała konfrontacja z grupą agresywnych Cyganów. W rzeczywistości jednak cieszyłem się, że te gnojki chciały się ze mną zmierzyć. Przynajmniej na chwilę stanąłem twarzą w twarz z problemem, widziałem kamienie i cegły, którymi ci ludzie we mnie rzucali. Zniósłbym nawet nieprzyjemności w pracy, które mogły mnie w konsekwencji spotkać. O wiele gorszy był brak reakcji. To właśnie było zabójcze – ta niewiedza, co myślą przełożeni i jak planują mnie ukarać. Doprowadzało mnie to do szału.

Tępy ból głowy, nękający mnie podczas każdego stresującego zadania, nie opuszczał mnie teraz ani na chwilę, nie pomagały żadne tabletki. Mimo to najbardziej chciałem znów rzucić się w wir pracy, znowu być gliniarzem. Potrzebowałem czegoś, co wyrwałoby mnie z tego postępującego paraliżu.

Przed powrotem na służbę wziąłem kilka dni zwolnienia, ale już czułem, że źle ze mną. Wyciągnąłem szufladę i patrzyłem na stos pogniecionych paragonów – drwiły ze mnie, przypominały mi, że jestem do niczego. Wydawało mi się, że ta bezładna kupa papieru kiedyś mnie wykończy, wciąż nie mogłem się jednak zabrać do uporządkowania jej. Śmieszne. A mówiono, że kim my jesteśmy? Najlepszymi z najlepszych? SAS w policji? Nie byliśmy elitą, w żadnym przypadku. To jakby mówiono o kimś, że jest w SAS, a w rzeczywistości ten ktoś byłby urzędnikiem w sztabie.

Teraz jeden z tak zwanej elity musiał ślęczeć nad papierkową robotą. Niemal widziałem nagłówki w gazetach: „Najlepszy glina doprowadzony do samobójstwa

przez gryzipiórków”. To byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było tak przerażające.

Nie chodziło, oczywiście, tylko o paragony. W moich notesach służbowych brakowało tylu szczegółów, że czasami nie mogło być z nich żadnego pożytku. Rozmyślałem o długiej serii podjętych przeze mnie złych decyzji – na pierwszym miejscu plasował się pomysł wstąpienia na ten cholerny kurs dla tajniaków. Co się ze mną stało? Nie tak dawno temu byłem zajebistym gliną. Teraz – tylko nędznym psem.

Całkiem chore było już to, że chciałem, by moje pogarszające się wyniki w pracy zwróciły uwagę kolegów ze Scotland Yardu. Chciałem, by ktoś zauważył, jak bardzo byłem popieprzony. Nic z tego. Nikt nie powiedział słowa, nikogo nie obchodziło, co się ze mną dzieje. Miałem ochotę wejść do biura SO10 i wrzasnąć: „Nie rozliczyłem żadnych wydatków od miesiąca, wy idioci! Możecie mi pomóc, do cholery?!”.

Leżałem na podłodze salonu, po twarzy płynęły mi łzy; zanosiłem się płaczem, gwałtownie wdychając duże hausty powietrza. Zaszło mi w gardle, poczułem że cuchnie mi z ust i śmierdzą potem. Nie brałem prysznic, nie ogoliłem się, nie umyłem zębów. Odrażające.

Łzy nie przestawały płynąć. Coś pękło. Musiałem z tym skończyć – skończyć ze wszystkim. Nie będzie więcej zapominania, kim jestem, gdy rano wychodzę z domu, nikt w SO10 nie będzie już uważał mnie za bezużytecznego fiuta. Żadnego więcej przejmowania się zawałoną papierkową robotą, sprawiania Grace zawodu moim żalonym zachowaniem. Popadam w obłąd, pomyślałem. Muszę się nad tym zastanowić. Ale skoro wiem, że popadam w obłąd, czy naprawdę jestem szalony?

W końcu uspokoiłem się, wstałem z podłogi. Kręciło mi się w głowie, nic nie czułem. I nagle wszystko stało się jasne. Znalazłem rozwiązanie.

Zabiję się. Sama myśl o tym uspokoiła mnie, rozjaśniła w głowie. Miałem plan. Wydawał się zupełnie prosty; ot, zwykłe zadanie do wykonania.

Następnych kilka godzin spędziłem jak w półśnie. Mechanicznie porządkowałem sprawy. Wziąłem prysznic. Należało to zrobić. Nie chciałem, by znaleziono moje ciało nieumyte czy w brudnej bieliźnie. Nie byłoby dobrze, pomyślałem.

Spakowałem do małej torby wszystkie dokumenty używane podczas tajnych operacji – trzy paszporty, trzy prawa jazdy, kilka kart płatniczych i kredytowych, drugą legitymację policyjną. Zabrałem również z szuflady mnóstwo paragonów, gotówkę i formularze wydatkowe i chyba wrzuciłem też do torby trochę ubrań, po prostu dla zachowania pozorów.

Jak mówiłem, plan wydawał się prosty. Miałem pojechać na dworzec Victoria, wsiąść w pociąg do Dover, a potem, używając jednego z fałszywych paszportów, na prom przez Kanał La Manche. Znalazłszy się na pokładzie, miałem wrzucić do Kanału wszystkie dokumenty z SO10 i wszystkie nagromadzone cholerne

papierzyska. A potem sam wyskoczyć. Ze szkolenia dla policji rzecznej wiedziałem, że w zimnej wodzie szybko stracę przytomność, a potem spokojnie utonę.

Wziąłem z samochodu blok biurowy i koperty. Napisałem krótkie liściki do swoich bliskich, w tym także do nienarodzonego syna – znalazły się w nim takie oto słowa: „Jeśli jesteś podobny do swojej mamy, będziesz ideałem”.

Najdłuższy był list do komisarza, obwiniający Metropolitan Police o pchnięcie mnie do tego kroku. Do koperty włożyłem moją prawdziwą legitymację policyjną.

Wszystkie siedem listów, starannie zaadresowanych, ułożyłem w kuchni na kredensie.

Wyjąłem baterię ze smartfona i rozładowany zostawiłem w salonie, razem z kluczykami do jaguara, którego zaparkowałem przed domem w zatoczce dla mieszkańców. Być może żywiłem w duchu nadzieję, że dostanę mandat za nieprawidłowe parkowanie, a policja sprawdzi wóz w swym komputerze i zawiadomi SO10 o możliwym problemie. Chyba było to ostatnie wołanie o pomoc.

Zabrałem swoje rzeczy i zamknąłem frontowe drzwi. Dopiero gdy znalazłem się na ulicy, dotarła do mnie cała okropność tego, co robię. Chwiejnym krokiem powlokłem się do stacji metra za rogiem. Popłakiwałem, głowa mi się trzęsła. Na peronie usiadłem, z głową w dłoniach, dygocząc w sposób nie do opanowania.

Tam przyszedł moment otrzeźwienia. Co ty robisz, do cholery? Wracaj do domu. Może nie całkiem oszalałem. Ruszyłem do domu, lecz zanim tam dotarłem, znów dopadły mnie czarne, jeszcze czarniejsze myśli.

W domu chwyciłem smartfon, włożyłem baterię i znów szybko wyszedłem na stację, tym razem bardziej zdeterminowany. Jak w transie dotarłem do Victorii, kupiłem latte w Starbucksie. Co tam, samobójstwo popełnia się tylko raz, pomyślałem.

Kupiłem bilet w jedną stronę do Dover i usiadłem tuż przy ruchliwym dworcu autobusowym. Popijałem kawę, a przez głowę przelatywały mi oderwane myśli. Bez przerwy sprawdzałem telefon w nadziei, że ktoś zadzwoni lub przyjdą jakieś wiadomości, które odwiodą mnie od moich zamiarów. Nic nie przyszło.

Wiedziałem, że jeśli wsiądę do pociągu do Dover, raczej nie będzie powrotu. Zastanawiałem się, jak przejdę w porcie przez kontrolę bezpieczeństwa. A jeśli przeszukają moją torbę i znajdą różne paszporty? Co wtedy zrobię?

Scotland Yard był niedaleko. Z pewnością ktoś, kogo znam, będzie tędy przechodził, zobaczy mnie i zatrzyma się, by porozmawiać. To będzie znak, żeby zrezygnować.

Wróciłem myślami do listów, które zostawiłem. Grace miała klucze do mojego

mieszkania. Wyobraziłem sobie okropną scenę – ona tam wchodzi, a potem zaczynają się wszystkie te okropieństwa, wielkie poszukiwania, dochodzenie. Była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała Grace w swoim stanie.

Pragnąłem, by ktoś utwierdził mnie w postanowieniu. Zadzwoiłem do swego kumpla, Justina. On będzie wiedział, co powiedzieć. Zrozumie i odradzi mi zrobienie tego, co zamierzałem. Telefon Justina dzwonił. No już, odbierz. Jeśli to był znak, w tamtej chwili wskazywał tylko jedną drogę.

I wówczas znów pomyślałem o tym nienarodzonym synu.

To było tak, jakby strzelił we mnie piorun. Poderwałem się i ruszyłem na dworzec, lecz zamiast skierować się do pociągu, poszedłem do stacji metra. W głowie kołatała mi się tylko jedna, jedyna myśl – żeby wrócić do domu przed Grace i zabrać listy. Powrót trwał wieczność. Zaczął oblewać mnie pot. Cholera, a jeśli ona znajdzie te listy? To byłby koniec wszystkiego. Wtedy przypomniałem sobie o samochodzie. A co, jeśli zajęła się nim policja? Naprawdę miałbym problemy. Zaledwie parę chwil wcześniej modliłem się, by tak się stało; teraz desperacko pragnąłem przerwać ten łańcuch wydarzeń.

Wróciłem do domu i z ulgą zobaczyłem, że jaguar stoi, jak stał. W mieszkaniu znalazłem nietknięte listy pożegnalne. Wyjąłem legitymację policyjną, zmiąłem wszystko i cisnąłem do kosza na śmieci. Na wszelki wypadek wyrzuciłem zawartość kosza do pojemnika przed domem.

Znów siedziałem w pustym mieszkaniu. Nic się nie zmieniło. Nie zniknął żaden mój problem, stres ani złe myśli. Nie czułem się ani trochę lepiej. Ani gorzej. Nadal czułem się źle, chciało mi się płakać, bolała mnie głowa i miałem mdłości.

A potem, w rzadkim momencie jasności umysłu zadzwoniłem do szefa administracji SO10 i poprosiłem o skierowanie mnie do psychologa. Miałem nadzieję, że zdiagnozuje on, jak bardzo jestem popieprzony.

Na razie musiałem jednak skupić się na pracy. Czekał mnie kolejny dzień w SO10.

Na pełnym etacie

Masz przy sobie kartę kredytową? – wybełkotał pijany sierżant.

– Hm, owszem – odparłem. – Dlaczego pytasz?

– Ty płacisz, synu – zaśmiał się.

– Tak, Sulyenko – rzucił szyderczo drugi sierżant. – Twoja kolej.

Zapłaciłem więc rachunek za wspaniałą chińską kolację dla mnie i kilku innych tajniaków, w tym paru gości z zagranicy, których „podejmowaliśmy”. Wieczór zaczął się jako szybki wypad do pubu na piwo czy dwa z kolegami z innych krajów. Miałem pracować z nimi w przyszłości przy operacjach w zachodnim Londynie – mówiliśmy tym samym językiem – i właśnie wówczas ich poznałem.

Wszyscy oczywiście występowaliśmy pod fałszywymi nazwiskami i utrzymywaliśmy pozory tajności. Jak zwykle szybko zamieniło się to w farsę – prowadziliśmy głośne rozmowy o tajnych operacjach w przeszłości i obecnie; o tym, kto kupił największą partię prochów lub broni. Jak zawsze też każdy przechwalał się, ile wlezie. Nie mogłem niczym się pochwalić (oczywiście ze względu na tajemnicę zawodową), więc milczałem.

Ostatecznie poszliśmy do pobliskiej chińskiej restauracji. Wołałem wrócić do domu, ale w tej sytuacji nie wypadało, musiałem zostać do końca.

Mimo swego niezbyt dobrego stanu psychicznego nadal chciałem w tym być. Nie wiem, dlaczego, lecz wciąż głupio pragnąłem zostać jednym z tych wspaniałych chłopców, pełnoetatowców. Robiłem błahe rzeczy, a chciałem zostać tajniakiem w pełnym tego słowa znaczeniu – ci chłopcy naprawdę byli zajebiści. Mój mózg odrzucał obawy i niepokój o dziecko, o Grace, o moje podejście do pracy, o to, że zaledwie kilka tygodni wcześniej chciałem popełnić samobójstwo. Nie, to się nie liczyło. Chciałem znaleźć się na szczycie!

Mimo tych idiotycznych pragnień w głębi ducha zdawałem sobie sprawę, że nie będę w stanie tego robić. Nie będę w stanie poświęcić się tej pracy bez reszty. A poza tym naprawdę uważałem, że większość ludzi z SO10 ma o sobie nieco przesadne wyobrażenie. Złościły mnie zwłaszcza ich opowieści o swych wyczynach. Czułem, że żaden z nich nie poradziłby sobie w roli narkomana, a wciąż uważałem, że zakupy kontrolowane to walka na pierwszej linii i najbardziej niebezpieczny rodzaj pracy.

Na tym nieoficjalnym przyjęciu jeden z policjantów szepnął mi konspiracyjnie, że

wkrótce będą wolne etaty. Potraktowałem to jako swego rodzaju zielone światło, milczącą aprobatę faktu, że złożę podanie i zostanie przyjęty. Ucieszyło mnie to niezmiernie.

Nieco zakłopotany kolejnym wydatkiem pokrytym z karty służbowej – a wiedziałem, że pokwitowanie zapłaty wkrótce, tak jak pozostałe, pokryje kurz – zataczając się wyszedłem z restauracji z całym towarzystwem. Wreszcie mogłem wrócić do domu.

Kilka dni później dostałem od jednego z sierżantów z SO10 telefon z informacją, że można składać podania o przyjęcie do tajnej jednostki na pełny etat.

Moi koledzy z SDU doskonale zdawali sobie sprawę, że jestem czymś zaabsorbowany. Spędzałem całe godziny poza biurem, paliłem jak smok, krążyłem tam i z powrotem wokół Scotland Yardu i wciąż byłem zdenerwowany. W kilku ostatnich operacjach nie zrobiłem nic, by wytypować lub zwerbować informatorów, toteż aura sukcesu towarzysząca mi przez pierwszy rok pracy w SDU szybko się rozviała.

Nadinspektor, który mnie zatrudnił, stracił wszelką wiarę we mnie, zwłaszcza po historii z Cyganami, Angus zaś tylko nieustannie mnie ganił za chęć wstąpienia do fabryki snów. Kazał mi siadać i tonem mądrego jogina napominał, bym zapomniał o SO10, a skupił się na uporządkowaniu życia osobistego, bym załatwił rzeczy najważniejsze, a potem zabrał się do pracy w SDU. Lekceważyłem go, uważałem za starego nudziarza tuż przed emeryturą, niewiedzącego, o czym mówi. Żałuję, że nie posłuchałem jego rad. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że zawiodłem wielu porządnych ludzi, wówczas jednak bez przerwy czułem się przygnębiony, pozbawiony celu w życiu.

Sądziłem, że praca na całym etacie będzie niczym kopniak w tyłek, tak bardzo mi potrzebny.

– Nic z tego – powiedział nadinspektor. – Podpisałeś umowę z SDU na dwa lata.

– Wiem, szefie – odparłem – ale to okazja, jaka nie często się zdarza. Wie pan, jak oni działają. Jeśli odrzuci się propozycję, nigdy nie dostanie się następnej.

– A gdzie to jest napisane? Powiedz mi, a zaraz pójde prosto do dowódcy.

– No cóż, to niepisana zasada, szefie.

– Bzdury. Nie odejdziesz – zakończył i odwrócił się na krześle.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem dwóch kolegów, Jimmy'ego i Sergeia, zgiętych w pół przy dziurce od klucza. Podsłuchiwali. Sergei uśmiechnął się, wróciliśmy do naszego pokoju.

– Cholera, synu, szef nie chce, żebyś odszedł, co? – zapytał Sergei.

– Hm, nie, stary. Wydaje się, że nie.

Nie wiem, dlaczego chciałem wywołać jeszcze więcej zamieszania, lecz pognałem do biura SO10. Złapawszy szefa, poskarżyłem mu, że nadinspektor nie chce pozwolić mi odejść.

– Dobrze, dobrze, zostaw to mnie – powiedział tylko.

Wszedłem z biura, prawdę mówiąc, zupełnie rozbity. Grace wciąż miała problemy z ciążą, a ja nikomu w pracy nic jeszcze nie powiedziałem. Przechodziliśmy koszmar podczas wizyt w szpitalach. Życie dziecka mogło być zagrożone, żyliśmy w ciągłym stresie. Zdawałem sobie sprawę, że skarga w SO10 spowoduje interwencję starszych oficerów, to zaś wkurzy Angusa i nadinspektora.

Zupełnie się tym nie przejmowałem. Nadal źle odnosiłem się do kolegów, niewiele czasu poświęcałem na pracę. Funkcjonowałem jak w letargu, a jedyne, o czym mogłem myśleć, to ogromne zmiany szykujące się w moim życiu. Nie miałem pojęcia, jakie będą ich konsekwencje, lecz udawało mi się robić dobrą minę do złej gry.

Wszyscy koledzy wiedzieli, że się rozwiódłem, lecz nikt nie zadawał żadnych pytań. Chyba przypuszczali, że to typowy kryzys wieku średniego. Nie sądzę. Byłem i nadal jestem w stu procentach pewny, że stało się tak, jak powinno się stać.

Zacząłem tracić kontakt z kolegami, z którymi wcześniej pracowałem, nie odpowiadałem na ich telefony i e-maile. Zamykałem się sobie, siedziałem w domu, a często spędzałem beczynn timer cały dzień w łóżku lub w salonie. Zdarzało się, że ni z tego, ni z owego zaczynałem płakać albo wydawało mi się, że głowa zaraz mi pęknie od nawału myśli.

Nie byłem w stanie zabrać się do uporządkowania spraw finansowych, czyli rozliczenia wydatków, aż w końcu na samą myśl o tym czułem się chory i po prostu wyrzucałem tę kwestię z głowy. Dziś wydaje się to całkowicie absurdalne – do licha, musiałem przecież wypełnić tylko trochę formularzy. Przytłaczały mnie rozmaite problemy, lecz wszystkie moje lęki skupiły się wokół nierozliczonych wydatków. Przypuszczam, że był to sposób radzenia sobie z ukrywanymi przed światem zmartwieniami, nerwami i, jak sądzę, depresją.

Zdawałem sobie sprawę, że potrzebuję pomocy, a jednak nie poprosiłem o nią. Zapisałem się co prawda na wizytę u psychologa, ale nie naciskałem na jej przyspieszenie i wciąż się obawiałem, że jeśli przyznam się, iż jestem trochę stuknięty, będę mógł pożegnać się z marzeniami o całym etacie. Gdybym myślał rozsądnie, w ogóle nie brałbym tego pod uwagę. A prawdę mówiąc, SO10 nigdy nie powinien rozważać zatrudnienia mnie na etacie.

Kilka dni po moim gwałtownym wyjściu z gabinetu nadinspektora zostałem przez

niego wezwany.

– Dobrze. Dowódca podjął decyzję. Zaczynasz na górze w poniedziałek – powiedział bez cienia uśmiechu.

– Świetnie! Dziękuję, szefie! – zawołałem uradowany i wygłosiłem płomienne przeprosiny za kłopoty, których mu przysporzyłem.

Szkoda, że nie posłuchałem Angusa. Do dziś dręczy mnie uczucie, że zawiodłem i jego, i nadinspektora. Obaj byli doskonałymi, porządnymi gliniarzami, znali się na swojej robocie. Powinienem był się ich trzymać.

Takie sprzeczne myśli przelatywały mi przez głowę, lecz wciąż parłem do przodu. Wpadłem do biura SDU, by zawiadomić kolegów o tym, że wkrótce odchodzę.

– Cholera! – skomentował Sergei. – Ktoś musiał pociągnąć za jakieś sznurki, co?

– Tak przypuszczam – odparłem ze śmiechem.

Byłem w siódmym niebie. Znalazłem się w elicie. Osiągnąłem szczyt kariery, udało mi się to, o czym marzy każdy tajny glina. A jednocześnie czułem się okropnie niespełniony. Głupie. Choć rozpiełała mnie radość, że w końcu tego dokonałem, zdawałem sobie sprawę, że nie będę w stanie podołać obowiązkowi pełnoetatowego tajniaka.

Niewiele osób wie o istnieniu jednostki SO10, lecz jeśli chodzi o tajne działania, stanowi ona elitę brytyjskiej policji. Prawdziwą elitę. Dostać się tam to sukces. W jednostce służy około dziesięciu policjantów, którzy prowadzą długofalową „infiltrację społeczności lokalnych”, czyli robią coś zgoła innego niż zakłada „system współpracy policji ze społecznością lokalną”. Operacje mogą trwać od roku do dziesięciu lat. Jak wskazuje nazwa, infiltracja społeczności oznacza mieszkanie w konkretnym rejonie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Można mieć tam sklep, firmę, a nawet „prawdziwą” pracę. Jak, do licha, mogłem myśleć, że temu podołam? Och, wszystko będzie w porządku, myślałem. Oni rozumieją.

Operacje tego typu zawsze muszą być dobrze uzasadnione. Ich istotą jest wtrącanie się bez skrupułów w ludzkie życie i oczywiście oszustwo.

Dobrym przykładem długofalowej infiltracji są działania Marka Kenney’ego, który przeniknął do grupy obrońców środowiska naturalnego. Na długo, zanim poznałem Marka, spędził on siedem lat, śledząc działaczy zielonych jako pracownik Głównego Wydziału Wywiadu ds. Porządku Publicznego (National Public Order Intelligence Unit, NPOIU), tajemniczej organizacji założonej przez oficerów policji, a zajmującej się zbieraniem informacji o zielonych i ekstremistach. W 2003 roku Mark przybrał fałszywe nazwisko Stone – miał na to nazwisko paszport i prawo jazdy – zapuścił

włosy, zrobił sobie piercing i tatuaże i udawał zawodowego alpinistę, aby infiltrować grupy protestujące przeciwko zmianom klimatu. Jako tajniak przeniknął do dziesiątek grup, podróżował po dwudziestu dwóch krajach i odegrał pierwszoplanową rolę w kilku największych demonstracjach w Zjednoczonym Królestwie, między innymi w protestach przeciwko spotkaniu G-20 w Londynie.

W 2011 roku rola Marka – a także działania jednostki, w której służył – zostały jednak zakwestionowane po tym, jak sąd uchylił zarzuty wobec sześciorga działaczy oskarżonych o planowanie wdarcia się do elektrowni węglowej w Ratcliffe-on-Soar w hrabstwie Nottingham. Oskarżyciele nie podali do wiadomości obrońcom, że Kennedy był tajnym policjantem. Sprawa stała się głośna, a jeden z podsądnych oskarżył Kennedy'ego o to, że brał udział w planowaniu akcji jako agent prowokator, nie zaś bierny widz. Mark, którego pamiętam jako faceta godnego zaufania i świetnego policjanta, przeprosił za swe poczynania, utrzymywał jednak, że jego przełożeni byli przez cały czas informowani o wszystkich jego krokach. Rozpętała się dyskusja o roli tego tajnego funkcjonariusza policji, zainteresowanie wzbudził również tajemniczy NPOIU, który w 2010 roku dysponował podobno budżetem w wysokości 5,7 miliona funtów i zatrudniał od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu policjantów.

Czasami nachodziła mnie myśl, że powody podejmowania infiltracji były, łagodnie mówiąc, słabe. Zakupy kontrolowane uzasadniano przez powiązanie ich z aktualnymi tendencjami dominującymi w świecie przestępczym i to samo uzasadnienie stosowano do o wiele kosztowniejszych i wymagających znacznie większej liczby ludzi tajnych operacji.

Każda z tych operacji była otoczona tak wielką tajemnicą, że zwykle nawet koledzy z tajnej jednostki nie wiedzieli, kto z nich bierze w którejś udział. Oprócz udziału w długofalowych operacjach od policjantów oczekiwano współuczestnictwa w innych, mniej rozciągniętych w czasie zadaniach oraz budowania i podtrzymywania legendy w tej części Londynu, do której zostali wysłani i gdzie mieściło się wynajęte dla nich mieszkanie.

Mimo wszelkich skrupułów i niepokojów byłem jednak podekscytowany i czułem się zaszczycony wejściem do tak elitarnego towarzystwa. Pierwszego dnia zabrałem się do urządzania swego nowego tajnego mieszkania. Przypuszczałem, że zatrudniono mnie w przewidywaniu kolejnej długofalowej operacji. Zastanawiałem się, co to będzie, i brałem pod uwagę wszelkie możliwości – od infiltrowania gangów narkotykowych po zdemaskowanie międzynarodowej bandy handlarzy bronią.

Gdy po tak długim oczekiwaniu na przyjęcie do tajnej jednostki dostąpiłem w końcu tego zaszczytu, spotkało mnie pewne rozczarowanie. Pierwszych kilka tygodni spędziłem, objając się i czekając, aż ktoś mi powie, co mam robić. Często

dostawałem polecenie budowania legendy lub spotkania się z pracującymi w Zjednoczonym Królestwie tajniakami z zagranicy. Wytręcało mnie to z równowagi. W owym czasie byłem niemal zaprogramowany na wychodzenie do pracy rano i powrót do domu wieczorem. W jednostce wyglądało to inaczej.

Zaczynała męczyć mnie potworna, wkurzająca nuda. To miała być ekscytująca nowa praca, o której zawsze marzyłem. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Nie dawałem jednak nic po sobie poznać.

Nawet gdy traktowano mnie jak zwykłego chłopca na posyłki, po prostu z uśmiechem wykonywałem polecenia. Musiałem chodzić i odbierać samochód nadinspektora albo przestawiać samochody w naszym garażu, albo podrzucić coś komuś na mieście – prawdziwa policyjna robota. Na domiar wszystkiego, musiałem załatwiać wszystkie bzdety związane z nową tożsamością – płacić rachunki, odpowiadać na telefony i e-maile.

Tęskniłem za jakimś interesującym zajęciem. Czułem, że tracę zapał i muszę zaangażować się w coś, co przywróci mi trochę wiary i ożywi przybladłe marzenie, by robić coś dobrego. Moje „magiczne oko” wciąż było na miejscu, poważnie obawiałem się jednak, że tracę serce.

Pułapka na złego

Aha, oto i człowiek do roboty – uśmiechnęła się Carrie, arogancka sierżant pochodząca z północy kraju.

Spojrzałem na nią nieco zdziwiony, wchodząc do pokoju.

– Masz ochotę popracować?

– Oczywiście – odparłem.

– Bierzemy się za pedofilów. Przyjdź trochę później na rozmowę z szefem z SCD5.

– W porządku – zgodziłem się mocno zaniepokojony.

SCD5 była jednostką zwalczającą pedofilię. Większość pracy wykonywano w niej przez Internet; policjanci udawali pedofilów lub dzieci, by przyłapać zбочeńców szykujących się do popełnienia przestępstwa. Zasadnicza część tej pracy polegała na zbudowaniu relacji online z przestępcami, aby można się było umówić z nimi na spotkanie. Gdy taki idiota przychodził przekonany, że uda mu się doprowadzić do seksu z dzieckiem, przymykano go.

Niestety większość, jeśli nie wszyscy faceci z SCD5 byli wyszkoleni i upoważnieni tylko do pracy przy komputerze. Nie mogli chodzić na spotkania z podejrzanymi. Dlatego właśnie się zaniepokoiłem. Podejrzałem, że będę musiał mieć bezpośrednio do czynienia z pedofilami. W jednej ze swych książek Irvine Welsh określił osobników wykorzystujących dzieci jako wcielenie zła. Zgadzałem się z tym. Jeśli chodzi o mnie, uważałem wykorzystywanie seksualne dzieci za najohydniejszy czyn popełniony przez człowieka. Często moje liberalne poglądy nie pasowały do przekonań wielu szeregowych policjantów, lecz jeśli chodzi o pedofilów, liberalizm się kończył.

Zważywszy na mój niestabilny stan psychiczny, powinienem był uprzejmie odmówić. Ugruntowane poglądy na tego rodzaju sprawców i obecne problemy sprawiały, że prawdopodobnie nie było to zajęcie dla mnie. Powinienem zrezygnować, lecz uznałem, że sobie poradzę. Cóż złego może się wydarzyć? Mimo wszelkich zastrzeżeń przeważyło przeświadczenie, że operacja ta może przysporzyć mi tak bardzo upragnionego prestiżu wśród towarzystwa z SO10.

Do wykonania tego zadania z pewnością nie było wielu chętnych. Nie wiązało się ono z efektownymi wyczynami, jazdą na sygnale, mieszkaniem w luksusowym

apartamencie; nie pozostaną po nim opowieści o „strzałach”, „proszku” czy „masakrach”. Stanowczo nie było to zadanie dla bandy gangsterów ze wschodniego Londynu, na których pozwali niektórzy chłopcy z SO10. Miałem wrażenie, że podjęcie go wyróżnia mnie w pewien sposób, ponieważ większość znanych mi tajniaków zrezygnowałyby, rzekomo dlatego, że ich takie sprawy nie rajcowały, a w rzeczywistości powodem była odraza, jaką żywili do takiej roboty. Mimo swego ryzykanctwa i opowieści o brawurowych wyczynach, nie mieli do tego jaj.

Pełen obaw spotkałem się więc z grupą facetów z jednostki do zwalczania pedofilii. W obecności Carrie poinformowali mnie, na czym polega zadanie i czego ode mnie oczekują. Mówiąc krótko, jeden z policjantów z SCD5 udawał w Internecie osobnika, który chciał stręczyć swoich dwoje dzieci podejrzanemu o pedofilię typkowi imieniem Tony. Miałem występować jako Martin, takiego imienia używał ten policjant w sieci. Pokazano mi zapisy rozmów na czacie i udzielono krótkiego szkolenia na temat zachowań tych wstrętnych drani oraz używanego przez nich języka. Poradzono mi, bym zaczął od czegoś niewinnego w rodzaju: „Czy to nie fajne, gdy twoje małe dziewczynki siedzą ci na kolanach?”. Poczulem, że żołądek podchodzi mi do gardła.

Ten akurat osobnik udawał naturystę i używał eufemizmu „rozbieranie” na określenie wykorzystywania seksualnego małych dzieci. Już sama lektura tych czatów była czymś odrażającym i choć nie znajdowało się tam nic otwarcie nawiązującego do seksu, podtekst rozmów był bardzo niepokojący.

Policjanci z SCD5, którzy dzień w dzień siedzieli w Internecie, byli prawdziwymi bohaterami – babrali się w tym paskudztwie, w tej zgniliznie moralnej, a potem wracali do domu, do swoich rodzin. Nic dziwnego, że oferowano im silne wsparcie psychologiczne, niemal natychmiastowy dostęp do psychiatrów i specjalistów medycyny pracy, a także pomoc ze strony przełożonych. Nikt nie ośmieliłby się zwolnić z miejsca lub obmawiać za plecami „zestresowanego” policjanta z SCD5.

– A więc – zwróciłem się do szefa jednostki – chce pan, bym zadzwonił do tego faceta, Tony’ego, i zaaranżował spotkanie, aby on mógł uprawiać seks z moimi dziećmi? O to chodzi?

– Owszem, Chris. Nie masz nic przeciwko temu?

Pytanie to zadawano mi wiele razy tego dnia i później. Miła była świadomość, że komuś naprawdę leży na sercu moje dobro, uległem jednak hołdowanemu w SO10 ideałowi macho i wyrzuciłem z głowy wszelkie niewygodne i przyprawiające o mdłości refleksje. Owładnięty myślą, że mogę pomóc powstrzymać tego gnojka napastującego dzieci, odparłem:

– Jestem gotowy, szefie. Kiedy mam wykonać pierwszy telefon?

Spodziewałem się, że nastąpi to w przyszłym tygodniu albo w nieokreślonej przyszłości.

– Za około dziesięć minut, jeśli to możliwe – oznajmił szef.

– Och – zbladłem i przełknąłem ślinę. – W porządku, bez obaw.

Poszukałem po omacku w podręcznej torbie (noszonej przez wszystkich tajniaków z SO10, choć przypominała damską torebkę) i wyjąłem urządzenie do nagrywania rozmów telefonicznych (czyli po prostu dyktafon). Zorganizowałem sobie niezarejestrowany telefon komórkowy i jeszcze raz przeczytałem zapis rozmów na czacie, aby się przygotować do akcji.

W zespole SCD5 panowała ogólna zgoda co do tego, że Tony będzie na początku podejrzliwy, zada mnóstwo pytań, a potem prawdopodobnie umówi się na następny telefon. Jeśli będziemy mieli szczęście, zgodzi się na spotkanie. Nie oczekiwaliśmy niczego więcej prócz dziesięciminutowej rozmowy telefonicznej.

I tylko na to się przygotowałem. Napięta sytuacja sprawiła, że mój udręczony, pokręcony umysł skupił się tylko na tej jednej kwestii; nie nachodziły mnie żadne myśli samobójcze, zniknęły niepokoje. Skoncentrowałem się wyłącznie na pracy. Dziwaczy paradoks – stres uleczony przez stres. Zapewne miało to coś wspólnego z charakterem pracy. Czułem, że zadanie jest tak ważne i ze względów moralnych, i prawnych, że oddałem mu się całym sobą. W głębi duszy miałem nadzieję, że nagrodą za przyszpilenie pedofila będzie dobra karma.

Tak więc, zamknięty w jakimś pokoju w SCD5 (telefony wyłączone, żadnych głośników, policyjnego radia itd.) podłączyłem dyktafon, wybrałem numer Tony'ego i czekałem.

Odebrał zalewie po paru dzwonekach.

– Halo?

– Halo, Tony, mówi Martin z czatu.

– O, cześć, stary... Poczekaj... Jak się masz?

Głos miał przyjazny, na początku rozmowy wydawał się zupełnie zwykłym człowiekiem. Small talk trwał jednak zaledwie sekundy.

Szybciej, niż byłem na to przygotowany, Tony przeszedł do rzeczy i wspomniał o dzieciach i „rozbieganiu”. Dla kogoś nieznanego sytuacji rozmowa mogła brzmieć z początku całkiem niewinnie, wiedziałem jednak, jak złowrogi podtekst się kryje pod słowami tego człowieka.

Rzuciłem luźną uwagę, że bardzo przyjemnie jest patrzeć na dzieci wychodzące z kąpieli, czy coś w tym rodzaju – chciałem go skłonić, by zaczął mówić o swoich niemoralnych poczynaniach. Mój Boże, to było jak podpalenie lontu.

Nagle aura poprawności gdzieś wyparowała i Tony zaczął ze szczegółami opowiadać o seksualnym wykorzystywaniu małych dzieci, głównie chłopców; z jego wynurzeń wynikało jasno, że mowa o dzieciach przed okresem pokwitania. Zbierało mi się na mdłości. Nie przytoczę jego słów w druku, ponieważ nie chcę mieć nic wspólnego z jakimś chorym pedofilskim porno. (Dawniej sprzedawano w więzieniach zeznania ofiar gwałtu i molestowania; więźniowie się nimi podniecali). Facet nie przestawał mówić przez czterdzieści minut. Gadał i gadał.

Powinienem pomyśleć: „Świetnie. Opowiada o wykorzystywaniu małych dzieci. Przyznał się do molestowania własnych. Mówi o uwodzeniu dzieci młodych rodziców na campingach w Europie”.

Zamiast tego zrobiło mi się niedobrze. Musiałem udawać zachwyty, przytakiwać temu osobnikowi, udawać, że rozmowa mnie podnieca, że mi staje i jestem tak pobudzony, że muszę obciągnąć druta. Czułem, że z każdym wypowiedzianym słowem dosłownie powiększa mi się gęła w gardle.

Wiedziałem, że to tylko gra, nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, że słowa Tony’ego (i moje odpowiedzi, mające uwiarygodnić odgrywaną przeze mnie rolę) jakoś mnie zakażają. Czułem się chory. Chciałem tylko wrzasnąć: „Ty popieprzony chory piździelcu!” i rzucić telefonem.

Byłem jednak zawodowcem, toteż ciągnąłem rozmowę, dopóki byłem w stanie, aż w końcu udałem, że przyszedł „kolega” i muszę kończyć. Pożegnałem się szybko i wziąłem głęboki oddech. Pobieźnie streściłem przebieg rozmowy do dyktafonu, wciąż włączonego, i dołączyłem przeprosiny, mówiąc, że musiałem przerwać, ponieważ źle się czuję.

Zebrałem się w sobie i ruszyłem chwiejnym krokiem do gabinetu szefostwa SCD5. Jeden z sierżantów powiedział mi później, że byłem blady jak płótno.

– No więc, co się działo? – zapytał komisarz.

Rozemocjonowany szybko zrelacjonowałem, co mówił Tony, a obecni wydawali się uszczęśliwieni. Zdobyli bardzo mocny dowód. Jak to w SCD5 natychmiast zaproponowano mi pomoc psychologa. Zapytano, czy wszystko ze mną w porządku i czy będę mógł kontynuować zadanie. Odrzuciłem propozycję ze śmiechem. Wielki tajniak z SO10, który nie może poradzić sobie z obrzydliwym pieprzonym pedofilem? Nie ma mowy.

Opowiedziałem Carrie o telefonie. Była zadowolona. Gdy spotkałem się z nią kilka dni później w biurze SCD10, zapytała mnie półgłosem (w pokoju siedziało kilku wygolonych twardzieli z SO10), czy nie potrzebuję porady lekarza. Słyszała nagranie rozmowy i chciała się upewnić, że nic mi nie jest. Była to jedyna propozycja pomocy psychologicznej, jaką otrzymałem od kogoś z SO10, a wyszła od ślicznej damy, która

ze względu na okoliczności musiała zadać mi pytanie w taki sposób, jakbyśmy dyskutowali o najlepszym przepisie na jamajskiego kurczaka na ostro podczas wiecu Frontu Narodowego.

Oczywiście znów odmówiłem.

Przekonany, że podołam zadaniu, odbywałem kolejne rozmowy telefoniczne z tym obrzydliwcem Tonym. Dwa razy dzwoniłem do niego rzekomo z domu, a w rzeczywistości z samochodu pod domem. Podczas jednej z rozmów z samochodu udawałem, że zgadzam się z Tonym co do najlepszego wieku, w jakim powinni być gwałceni analnie chłopcy, gdy w szyby zapukali rodzice mojej partnerki. Przybyli z niespodziewaną wizytą. Nie mieli pojęcia, że rozprawiałem o czymś do gruntu złym z pedofilem, który mieszkał w tym samym mieście, co oni.

W końcu umówiłem się na spotkanie z tym gnojkiem w jakiejś kafejce w zachodnim Londynie, przy stacji metra. W mniemaniu Tony'ego mieliśmy spotkać się po to, by razem przyjść do mojego domu i wykorzystać seksualnie moich dwoje dzieci, siedmio- i dziesięcioletnie. Kompletnie chory zboczeniec. Do dziś na myśl o tym ogarnia mnie gniew.

Wspomniałem w rozmowie, że dzieci lubią czekoladę. Jeśli Tony przyniesie ją ze sobą, nie będzie mógł się upierać, że to wszystko wymysł. Będzie więcej dowodów, że naprawdę zamierzał wykorzystać dzieci.

Rano w dniu spotkania zespół SCD5 zrobił mi odprawę. Potem, zdenerwowany jak diabli, poszedłem do stacji metra. W drodze otrzymałem od jednego z sierżantów esemesa, że Tony (którego zespół identyfikował i wziął pod obserwację) już czeka w kawiarni. Siedział tam od ponad godziny i obserwował otoczenie. Zdenerwowało mnie to jeszcze bardziej, bałem się, że podejrzewał pułapkę.

Doszedłszy na miejsce, zauważyłem Tony'ego siedzącego przed kawiarnią. Zespół podał mi jego rysopis, oczywiście musiałem jednak udawać, że rozglądam się za człowiekiem, z którym się umówiłem.

Wybrałem jego numer, telefon zadzwonił. Tony spojrzał na mnie. Miałem go. Mój niepokój wzrósł – przypomniałem sobie miejską legendę mówiącą, że pedofil może rozpoznać drugiego pedofila, po prostu patrząc mu w oczy. Tony przyglądał mi się uważnie. Udało mi się wytrzymać jego spojrzenie zaledwie przez ułamek sekundy. Miałem ochotę go udusić. Tony wyciągnął do mnie rękę. Pamiętam, że przeleciała mi wtedy przez głowę kompletnie idiotyczna myśl: „Cholera, on nie ma wątpliwości. Czy to znaczy, że wyglądam na pedofila?”. Niechętnie uścisnąłem mu dłoń, czując rosnącą gulę. Wiedziałem, że ta szorstka, stwardniała ręka wyrządziła nieopisaną krzywdę małym dzieciom. Musiałem powtarzać sobie, że to wszystko nie potrwa długo.

Zmusiłem się do uśmiechu i zaproponowałem, że wejdziemy do środka na szybką kawę. O dziwo zgodził się, weszliśmy, polska kelnerka przyjęła ode mnie zamówienie na dwa cappuccino. Przy sąsiednim stole zauważyłem detektywa z SCD5. Oprócz niej w kawiarni siedział tylko tłumek niczego niepodważających młodych mamus.

Policjantka z SCD5 dzwoniła gdzieś, a ja zabawiałem rozmową Tony'ego, który wyznał mi, że nie mógł się doczekać dzisiejszego dnia i spotkania z moimi dziećmi. Odparłem z uśmiechem, że one również czekają na spotkanie z nim. Tony powiedział, że ma dla nich prezenty – w torbie na zakupy u jego stóp zauważyłem jakieś drażetki czekoladowe Cadbury'ego. Zapewniłem, że dzieciaki będą naprawdę wdzięczne. Każde słowo w tej rozmowie naładowane było dwuznacznikami i podtekstami seksualnymi, o dość jednoznacznym charakterze.

Zaledwie dwie lub trzy minuty po zakończeniu rozmowy przez dziewczynę z SCD5 zostaliśmy otoczeni przez czterech czy pięciu detektywów. Gdy staliśmy skuci kajdankami, jeden z policjantów głupio przedstawił się na cały głos, informując klientów kawiarni, że jest z jednostki do zwalczania pedofilii. Jeśli więc słowa te czyta ktoś, kto tamtego rana popijał kawę lub obsługiwał gości w kawiarni koło stacji metra Barons Court, chciałbym zapewnić tę osobę, że nie jestem pedofilem!

Tony został oskarżony o molestowanie i skazany na trzy lata więzienia. O tym, że o sprawie zaczęły rozpisywać się gazety, dowiedziałem się od rodziców Grace, ponieważ sprawa ta wywołała skandal w ich małym miasteczku. Do dziś pozostają oni w błogiej nieświadomości, że miałem w niej swój udział i że niemal zostali świadkami akcji zbierania dowodów.

Tony spędził w więzieniu półtora roku, mój wyrok okazał się o wiele dłuższy. Do tej pory nie potrafię wymazać z pamięci naszych rozmów i tych potwornych rzeczy, które mówił. Przez miesiące i lata po tym wydarzeniu każdego, kto zbliżał się do moich dzieci, rozmawiał z nimi, traktowałem bardzo podejrzliwie. Po dziś dzień każdą taką osobę mimo woli podejrzewam o nieczne zamiary. Brud, którym zapaskudził mnie Tony, sprawił, że czułem się nieswojo nawet na wzmiankę o kąpieli własnych dzieci, ponieważ natychmiast przypominały się obsceniczne opowieści tego człowieka. Nigdy mu nie wybaczę, że splamił to, co powinno zostać niewinne. Próbuje zapomnieć, ale mimo że miałem z tym do czynienia tylko przez krótką chwilę, jest to trudne.

Pogodziłem się z tym, że nie uwolnię się od tych odczuć przez resztę życia. Jednak nawet teraz uważam, że było warto. Lubię myśleć, że uratowałem przynajmniej jedno dziecko od straszliwego doświadczenia; że nikogo, a tym bardziej małe dziecko, nie powinno spotkać nic podobnego z rąk tego potwora.

Po powrocie do SO10 gratulowano mi, może z pewną dozą zazdrości, niektórzy

sierżanci przyznawali nawet, że nigdy nie zdołaliby przeprowadzić tego rodzaju operacji. Zadowolony i na chwilę podniesiony na duchu niecierpliwie czekałem na następne zadanie.

Karabiny z Croydon

To wszystko, co muszę zrobić? – zapytałem.

– Tak – odparł Kevin, jeden z sierżantów z SO10.

– W porządku – powiedziałem. – Doskonale.

– Tylko tego nie spieprz – dodał sierżant.

Zdenerwowany udałem, że się śmieję.

Od kiedy wstąpiłem na pełny etat do tajnej jednostki, nie dostawałem zbyt wielu „tradycyjnych” zadań, polegających głównie na zakupach narkotyków i broni. Takich, które dają prestiż i wiążą się z akcjami. Takich, o których rozmawia się w pubie i na szkoleniach. Niebezpiecznych i ekscytujących.

Teraz przypadkiem dostałem takie zadanie. Często się zdarza, że ktoś zostaje wyznaczony do takiej pracy po prostu dlatego, że akurat przechodził przez biuro SO10. Kevin złapał mnie, gdy szedłem korytarzem i oznajmił, że jest na urlopie i potrzebuje zastępcy. Usiedliśmy w małym pokoju zebrań.

– Dobra, jesteś mi potrzebny do zakupu broni – wyjaśnił. – W Croydon. Wszystko jest ustawione, bułka z masłem.

Takie słowa zawsze budzą obawy. Nic nigdy nie jest aż tak proste.

– W porządku – powiedziałem, przełykając ślinę.

Nienawidzę broni. Brzmi to śmiesznie, gdy się pomyśli, że w młodości marzyłem o wstąpieniu do jednostki zbrojnej. Strzelałem z broni palnej tylko przy dwóch okazjach. Raz podczas wyjazdu do Budapesztu, gdzie „instruktorzy” byłych węgierskich sił specjalnych zachęcali do swobodnego strzelania z różnych rodzajów broni na „strzelnicy”, czyli w magazynie w paskudnej dzielnicy przemysłowej miasta. Wyglądało to zupełnie inaczej niż wówczas, gdy strzelałem na policyjnej strzelnicy na komisariacie w Marylebone, pod okiem surowych i nadgorliwych inspektorów, stosując się do wszystkich obowiązujących zasad bezpieczeństwa.

Na kursie dla tajnych funkcjonariuszy na wykłady o broni palnej, której znajomość jest rzeczą podstawową w SO10, przeznaczono tylko dwie godziny i polegały one głównie na gadaniu i prezentacji rozmaitych rodzajów broni. Polityka jest taka, że nie uczy się tajnych funkcjonariuszy strzelania, ponieważ nie ma potrzeby, a przy tym jeśli ktoś nauczy się obchodzić z bronią jak glina, będzie z nią chodził po ulicy, co może doprowadzić do niebezpiecznych sytuacji.

– Co kupuję? – zapytałem.

– Karabin – odparł Kevin spokojnie. – Obrzyna, z nabojami.

– Dobra.

Musiałem wyglądać na trochę zdenerwowanego, bo Kevin zapytał:

– Dasz radę? Znasz się na karabinach? Wiesz, jak działają?

– Jasne, oczywiście – skłamałem, ponieważ bardzo chciałem mieć „prawdziwe” zadanie na swoim koncie. W rzeczywistości nie miałem pojęcia o broni i bardzo się bałem.

Następnego popołudnia odbyła się odprawa z detektywami z oddziału specjalnego policji londyńskiej, elitarnej jednostki zwalczającej najcięższe przestępstwa związane z handlem bronią i narkotykami; jej siedziba mieści się w nieoznaczonym biurówcu i kompleksie magazynów na przedmieściach Londynu. Siedziałem w pokoju odpraw i czekałem na instrukcje.

– A niech mnie, tylko nie ty, Christian! – huknął głęboki głos z akcentem z północy.

Odwróciłem się i zobaczyłem Dave’a, sierżanta, który kierował moją pierwszą akcją zakupów kontrolowanych. Teraz miał kierować moim najnowszym tajnym zadaniem.

Ucieszony widokiem znajomej twarzy nieco się rozluźniłem, lecz gdy pokój się zapełniał, głowa zaczęła mi pękać, a zdenerwowanie narastało. Jeśli Met otrzyma wiarygodne dane wywiadowcze, bardzo poważnie traktuje przestępstwa związane z bronią palną. Stało się to dla mnie więcej niż oczywiste, gdy na odprawę wkroczył zastęp uzbrojonych gliniarzy w cywilnych ubraniach, a wszyscy mieli „ukryte” pod kurtkami kamizelki kuloodporne i glocki u pasków wytartych lewisów.

Cholera, pomyślałem, to wszystko dlatego, że jestem tu, by kupić karabin. Wariactwo. Teraz znów, tak jak wówczas, gdy siedziałem w tłumie gliniarzy przed swym pierwszym zakupem kontrolowanym, miałem tremę i łupało mnie w skroniach. Musiałem się jednak skupić. Sprawa była poważna.

Po odprawie podszedł do mnie jeden z gości z glockami. Szykowny jak diabli.

– W porządku, stary? – zapytał.

– Cześć – odparłem potulnie.

– Dobra, plan jest taki, że przyskrzyniamy ciebie i obiekt, muszę więc wiedzieć, czy byłeś kiedyś trzymany na muszce.

– Hm, nie.

– W porządku. No więc tak: będzie dużo broni, wszystko wycelowane w was.

I paralizatory. Rób dokładnie to, co ci mówię. Nikt nie będzie do ciebie strzelał. Cała broń jest załadowana i będzie wyglądała jak wycelowana prosto w ciebie. W rzeczywistości będziemy celowali w obiekt. Powalimy cię na ziemię i założymy kajdanki samozaciskowe. Jasne?

– Hm, jasne.

– Jeśli będzie się poniewierała jakaś broń, ta, którą kupisz, my się nią zajmujemy. W porządku?

– W porządku.

Porzuciłem swą prawdziwą tożsamość, zostawiłem legitymację policyjną i rzeczy osobiste u Dave'a. Poklepałem się po tylnej kieszeni, by się upewnić, że jest w niej portfel mojego alter ego, Sulyenki.

Przydzielono mi samochód, na nieszczęście był to jaskrawoniebieski jaguar. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to świetny wóz. Ma wszystkie bajery, włącznie z telewizorem. Nigdy nie czułem się jednak dobrze, prowadząc go. Tego rodzaju samochodami jeżdżą sześćdziesięcioletni emerytowani dyrektorzy banków, wożąc w bagażniku kije golfowe. Nie paliłem się oczywiście, by poruszać tę sprawę w SO10 i byłem szczerze wdzięczny, że w ogóle dostałem wóz. Gdy pracowałem w wydziale kryminalnym, bardzo często brakowało wolnych samochodów albo były, ale zepsute. Wiedziałem, że jestem szczęściarzem.

Jaguar był zarejestrowany na jedno z moich przybranych nazwisk i adres w południowym Londynie; mieszkanie było wynajmowane i opłacane przez firmę. Osobiście uważałem, że to bezsensowna strata pieniędzy. Byłem w tym mieszkaniu dwa razy; dzieliłem je z innym UCO, a chodziło o to, by umocnić naszą wiarygodność w tamtej okolicy, zbudować legendę. Polegało to głównie na chodzeniu do miejscowego pubu lub baru i „obnoszeniu twarzy”, byśmy wydawali się mieszkańcom znajomi. Chodziło o to, żebyśmy przepytani przez przestępcę mogli pokazać, że mamy prawdziwe mieszkanie, swój pub, siłownię itd. Wydawało się, że siłownie i puby to miejsca, które koniecznie trzeba odwiedzać, by zdobyć nowych kumpli z podejrzanego środowiska.

Jeśli chodzi o budowanie legendy, robiłem to zaledwie kilka razy. Po pierwsze, nie bardzo wierzyłem w skuteczność tych zabiegów; uważałem, że picie w pubie, na co nie miałem specjalnej ochoty, nie przynosi żadnego pożytku. Po drugie, miałem ważniejsze rzeczy do robienia poza pracą, zwłaszcza że wciąż istniały obawy o stan dziecka.

Wskoczyłem do jaguara, ruszyłem. Spotkanie miało się odbyć na parkingu Sainsbury's w Thornton Heath. Osobą, z którą miałem się spotkać, był niejaki Fajsal, który umówił się już z Kevinem, że sprzeda mu broń za dwa tysiące pięćset funtów.

Pobrałem z Yardu pieniądze, które teraz leżały schowane w kole zapasowym w bagażniku jaguara.

Musiałem dotrzeć na parking około dwadzieścia minut przed wyznaczonym terminem, tak by zespół obserwacyjny śledzący mnie i Fajsala mógł się przygotować i zacząć obserwację. Przyjechałem pół godziny przed czasem, a ponieważ otworzyła się bramka, by mnie wpuścić, postanowiłem zaparkować kilka metrów od wejścia do hipermarketu.

Mogłem teraz nawiązać kontakt z moim szefem przy tym zadaniu, Maxem, i powiadomić go, że jestem na miejscu. Max i komisarz kierowali całym przedsięwzięciem i wszystkie informacje musiały przechodzić przez tego pierwszego.

Czekałem. Nerwy w strzępkach, gardło suche i zaciśnięte, a do tego po głowie zaczęły chodzić mi straszne wizje. Co się stanie, jeśli Fajsal wyprowadzi mnie w jakiś ślepy zaułek? A jeśli zespół obserwacyjny i faceci ze wsparcia zbrojnego mnie zgubią? A co jeśli? Co jeśli? Jak zwykle zamierałem ze strachu, lecz mimo to coś nie pozwalało mi się poddać.

Pięć minut przed umówionym czasem zadzwoniłem do Fajsala, by mu powiedzieć, że właśnie przyjechałem. Odparł tylko, żebym tam czekał, i rozłączył się.

Czekałem więc, przebierając nogami, jakby chciało mi się siku, i jak szalony obgryzając paznokcie. Dwie lub trzy minuty później pojawił się młody, około dwudziestoletni facet. Podejrzliwie obrzucił wzrokiem samochód, potem spojrzał na mnie i skinął głową. Cholera, pomyślałem. On musiał tu być od jakiegoś czasu. Czy widział, jak wjeżdżałem? Zauważył kogoś z zespołu obserwacyjnego?

Wsiadł.

– W porządku, bracie? – zapytałem, wracając, mimo jaguara, do ulicznego slangu, którego używałem jako TPO.

– Jesteś kumplem Kevina, zgadza się? – zapytał.

– Tak. To co z tym interesem?

– Nie tutaj, ziom. Po prostu jedź. Powiem ci, gdzie.

Zdenerwowany ruszyłem w stronę wyjazdu z parkingu.

Cholera. Cholera. Cholera. Jeśli stało się tam ponad pół godziny, przy wyjeździe trzeba okazać bilet parkingowy. A niech to. Podjechałem jednak jakby nigdy nic do bramki i czekałem, aż się otworzy. Nie otworzyła się, opuściłem więc szybę i z oburzeniem stuknąłem w interkom.

– Halo! – krzyknął parkingowy przez tandetny, trzeszczący głośnik.

– Cześć, szefie! – zawołałem. – Nie mogę wyjechać!

– Bo musisz mieć bilet, przyjacielu – odparł ledwie zrozumiały afrykański głos w interkomie.

– Dlaczego? Przyjechałem tylko dziesięć minut temu.

– Nie, nie, nie – zaprotestował głos. – Przyjechałeś trzydzieści siedem minut temu. Obserwowałem cię przez kamerę.

Kurwa. Spojrzałem na Fajsala. Wydawał się bardzo niespokojny.

– Co do diabła! – wrzasnąłem. – Gadasz pierdoły, stary. Daj mi wyjechać z tego pieprzonego parkingu, ale już!

Żałowałem tego wybuchu, ale na szczęście parkingowy prawdopodobnie nie chciał wdawać się w awantury i bramka podniosła się bez dalszych dyskusji.

– Kutas! – krzyknąłem, odjeżdżając.

Fajsal usadowił się na fotelu pasażera. Podczas jazdy spoglądałem w lusterko wsteczne, próbując wypatrzeć jakiś podążający za mną samochód, lecz bez powodzenia. Miałem tylko nadzieję, że po prostu nasi ludzie są gdzieś z tyłu.

Fajsal prowadził mnie, rzucając monosylaby, przez niekończący się gąszcz bocznych ulic południowego Londynu. W końcu skręciliśmy w ślepo zakończoną ulicę, Fajsal kazał mi się zatrzymać na małym parkingu przed blokiem mieszkalnym. Jakby sprawdzała się jedna z moich czarnych wizji. Nie było jednak czasu na głupstwa. W lusterku wstecznym nadal nie widziałem nikogo. Gdzie, do diabła, podział się zespół obserwacyjny? Nie miałem nawet pojęcia, na jakiej jestem ulicy. Cholera.

Fajsal kazał mi czekać i wysiadł z samochodu, chyba chciał zadzwonić. Szybko wybrałem numer Maxa i położyłem włączony telefon na kolanach, aby Max mógł słyszeć i wiedział, co się dzieje.

Fajsal wrócił, zamieniłem z nim parę grzecznościowych słów, po czym rzuciłem, wskazując na znajdujący się w pobliżu blok:

– O, Dom Florence Nightingale? Moja babcia tam mieszka.

Desperacko próbowałem w ten sposób powiedzieć Maxowi, gdzie się znajduję.

– Hm – mruknął Fajsal, wciąż nieco podenerwowany. Spojrzał na mnie, jakbym spadł z księżycy i przypuszczam, że chciał właśnie coś powiedzieć, gdy do okna od strony pasażera podjechał na rowerze chłopiec, nie więcej niż ośmioletni, i wręczył Fajsalowi zrolowaną torbę JD Sports.

Fajsal rzucił mi ją na podolek, a chłopiec szybko odjechał. Licząc na to, że wszystko szybko się skończy, rozwinąłem torbę przy nogach i otworzyłem ją. W środku znajdował się stary, nieco pordzewiały obrzyn oraz trzy lub cztery naboje.

– O żesz ty, przecież to pieprzony antyk. Czy to chociaż działa?

– Jasne, że działa – zapewnił Fajsal.

Ostrożnie wziąłem broń i poszukałem małego uchwytu – chciałem otworzyć karabin przede wszystkim po to, by się upewnić, że nie jest naładowany, ale też aby sprawdzić, czy nie jest zapchany lub zabrudzony, a więc nie do użytku. Brzmi to tak, jakbym wiedział, co robię, nie miałem jednak najmniejszego pojęcia, zapewniam. Z kursu dla UCO pamiętałem tylko, że jeśli znajdę uchwyt z kreskowaniem, należy go pociągnąć, pchnąć, podnieść lub obrócić i to pomoże. Znalazłem więc uchwyt, pchnąłem w bok i otworzyłem karabin. Uf! Pusty.

Spojrzałem na Fajsala i odpowiednio autorytatywnym, mam nadzieję, tonem powiedziałem:

– Tak, wygląda dobrze. Daj mi zadzwonić do Kevina.

Pod pretekstem telefonu do Kevina zadzwoniłem oczywiście do Maxa, który zdążył już się rozłączyć. Bóg wie, co bym zrobił, gdyby Fajsal chciał porozmawiać z Kevinem. Na szczęście tak się nie stało. Mój telefon do Maxa był oczywiście sygnałem dla bohaterów chwili z karabinami Heckler & Koch, czyli chłopców z SO19, że mają natychmiast wkroczać.

Muszę uczciwie przyznać, że nic mnie nigdy tak nie ucieszyło, jak widok kilka sekund później ogolonych na łyso gliniarzy w kurtkach Timberlanda i Berghausa. Oczywiście mieli również kabury, kamizelki kuloodporne, hełmy i gogle, a mnie przeleciało przez głowę pytanie, dlaczego po prostu nie noszę munduru.

Na poboczu zatrzymał się przed nami z piskiem opon mercedes veto i wysypali się z niego ci goście z wycelowaną w nas bronią.

– Policja! Policja! Pokazać ręce. Już! – wykrzykiwano rozkazy.

Przed maską mego samochodu trzech czy czterech gliniarzy celowało we mnie z karabinów maszynowych i pistoletów, a jeszcze jeden stał obok z paralizatorem.

– Policja! Nie ruszać się, do cholery! – wrzasnął któryś z nich.

Dobra, dobra, szepnął cichutki głos w mojej głowie. Przecież się nie ruszam. Podniosłem ręce.

– Cholera – powiedziałem tylko, gdy gwałtownie szarpnięte drzwi mojego wozu otworzyły się i zostałem wyciągnięty na jezdnię pod lufą glocka; było to bez wątplenia bardzo widowiskowe. Zanim zdążyłem pomyśleć, leżałem na ziemi skuty kajdankami. Nie zdemolujcie samochodu, proszę, pomyślałem. Gdyby był to samochód przestępców, chłopcy „nieumyślnie” rozwaliliby go w drobny mak, doskonale zdawali sobie jednak sprawę, że jaguar jest własnością SO10.

– Broń! – obwieścił jeden z gliniarzy, znalazłszy obrzyn na podłodze, w miejscu na

nogi kierowcy. Widziałem przez prześwit między kołami, że po drugiej stronie jaguara Fajsal także leży skuty na ziemi.

Była to dziwna chwila, gdy patrzyliśmy na siebie z poziomu jezdni, z twarzami przyciśniętymi do szorstkiego asfaltu. W końcu Fajsal odwrócił głowę; twarz miał pozbawioną wyrazu.

Na stronie, po której leżał, roilo się od kurtek Timberlanda, adidasów Merrella i butów Hi-Tec Magnum. Ktoś zapytał:

– Dobra, czyj to samochód?

Fajsal odwrócił się twarzą do mnie i uważnie mi się przyglądał; obaj wciąż leżeliśmy na ziemi. To on odpowiedział na pytanie.

– W porządku, to samochód policjanta! – krzyknął, uśmiechając się do mnie złowrogo. – Tak, to samochód policjanta – powtórzy nieco ciszej i znów odwrócił głowę.

Prawdopodobnie podejrzewał mnie od chwili, gdy się spotkaliśmy, lecz postanowił podjąć ryzyko. Często zastanawiam się, czy wiedział, że mógłby wziąć od chłopca broń, załadować, zastrzelić mnie i nikt by go nie zatrzymał.

Po cierpkich słowach Fajsala nabrałem przekonania, że nie będę już mógł jeździć tym luksusowym samochodem, ponieważ każdy, kto widział moje aresztowanie, mógł zapamiętać numery rejestracyjne. W południowym Londynie wykonywałem zadania dla jednostki pozyskiwania źródeł, pracowałem z tajniakami z Europy Wschodniej. Nie można było wykluczyć, że ktoś powiązany z tureckim gangiem przemytników broni zapamiętał mnie i powie: „To ten gość, który przymknął tego, jak mu tam. Zlikwidujemy go”.

To właśnie tłumaczyłem facetowi przydzielającemu samochody.

– Myślę, że ten wóz jest spalony – powiedziałem mu. – Jest jakaś szansa, że dostanę inny?

– Nie, nie mamy żadnych wolnych samochodów – odparł.

Musiałem przekazać nagranie z całego wydarzenia. W najbardziej sprzyjających okolicznościach sytuacja, gdy wyciągają cię z samochodu, jest dość stresująca, wszyscy jednak zdawali się uważać, że to nic nadzwyczajnego. Obowiązywała postawa, że to po prostu praca i trzeba ją wykonać. Udało nam się usunąć broń z ulicy, a więc zadanie zakończyło się sukcesem.

Krótko potem dostałem telefon od sierżanta z tajnej jednostki.

– Możesz przyjść jak najszybciej do Scotland Yardu? – zapytał. – Komisarz chce cię pilnie zobaczyć.

Czyżby chciał mnie pochwalić za dobrą robotę?

Koniec epoki

Bim-bam!

Dzwonek w drzwiach sklepu zadzwonił, obwieszczając wejście klienta. Wiedziałem, że gdy tylko drzwi się otworzą, włączą się kamery i mikrofony, a zespół obserwacyjny ulokowany w anonimowym mieszkaniu dwadzieścia parę kilometrów dalej będzie monitorował sytuację.

- Cześć, stary – przywitałem wychudzonego faceta o ziemistej twarzy.
- Cześć, bracie. Kupujesz paszporty?
- Tak, stary, cokolwiek masz – odparłem ze znużeniem, wiedząc, co się stanie.

Facet ukradkiem rozejrzył się dookoła.

– Zamknij drzwi, stary – powiedziałem zza wysokiego, sięgającego do ramion kontuaru. Podszedł do drzwi, zamknął, po czym przesunął fioletowy paszport po kontuarze.

Otworzyłem go, by sprawdzić. Był prawdziwy. Na zdjęciu, najwyraźniej zrobionym jakiś czas temu, rozpoznałem go natychmiast – ta sama twarz, tylko młodzieńcza, jeszcze nie zniszczona trudami życia w podupadłym rejonie śródmieścia Londynu.

- To twój – powiedziałem.
- Tak, wiem, bracie. Mówią, że kupujesz, co nie?

Cholernie śmieszne, pomyślałem. Setki tysięcy funtów z pieniędzy podatników, najnowsza technologia, horda pełnoetatowych tajniaków, a my kupujemy od ludzi ich własne paszporty. A niech mnie.

Wyjąłem zwitek banknotów i podałem chłopakowi sto pięćdziesiąt funciaków. Wziął bez cienia uśmiechu i nie dziękując, włożył pieniądze do kieszeni obwisłych spodni od dresów Nike.

Jest rok 2011. Witamy w elicie. Po to przechodziłem szkolenia. Po to były wszystkie moje starania, by teraz wylądować w sklepiku skupującym rzeczy używane w Cricklewood, gdzie my, pieprzona policja, kupowaliśmy od ludzi ich własne paszporty. Jezu!

Szalał kryzys, w sklepie pojawiali się więc wszelkiego rodzaju desperaci oferujący na sprzedaż paszporty, karty płatnicze i kredytowe, karty ubezpieczenia społecznego

itd., często własne, czasem ukradzione lub znalezione. Sklep stanowił znakomity rynek zbytu dla okolicznych mieszkańców, którzy dzięki jego istnieniu mogli uzupełnić swe skromne dochody sprzedając tożsamość własną lub innych osób.

Ludzie sprzedawali tam też wszelkiego rodzaju rzeczy używane. Bardzo mi było żal ich wszystkich. Nawet nasz tak zwany główny obiekt, zawodowy włamywacz skończył, kradnąc dla nas – gdyby nas tam nie było, nie przynosiłby buchniętego towaru. Proste. Nie po to wstąpiłem do policji i z pewnością nie to spodziewałem się robić w elitarnej jednostce.

Koledzy rozpracowywali handel bronią lub narkotykami, ale nie zazdrościłem im. Miałem za dużo własnych problemów, by się tym przejmować. Na razie byłem nie więcej niż zwykłym przebierańcem, wykonującym pracę, której nie chciałem i do której zupełnie nie miałem serca.

Było to moje pierwsze „długofalowe” zadanie. Razem z Terry, „głównym rozgrywającym” w tej operacji, miałem codziennie pracować w sklepie, potem – jak należało się spodziewać – do późna w noc przesiadywać w miejscowym pubie, a wreszcie udawać się na nocleg w wynajętego w okolicy mieszkania. Terry, tajniak bez porównania lepszy niż ja kiedykolwiek mógłbym sobie marzyć, był dobrym mężem i ojcem. Skończył właśnie trwającą dwa lata operację i bardzo rzadko widywał rodzinę. W tamtym momencie w żaden sposób nie mógłbym pozwolić sobie na coś podobnego. Szesnaście lat wcześniej byliśmy razem na szkoleniu, znaliśmy się więc i dobrze się dogadywaliśmy. Wyjaśniłem mu, że moja druga połowa jest w ciąży i że to dla mnie trudny czas. Powiedziałem i jemu, i kierującemu operacją komisarzowi, że choć powinienem, nie mogę pracować całymi dniami i nocami. Nie pozostawiłem w tej kwestii żadnych wątpliwości. Terry nie miał nic przeciwko temu, nie mam natomiast pojęcia, jak przyjął moje słowa komisarz. Tak czy inaczej nie powinienem był wykonywać pracy, która wymagała tak dużego zaangażowania.

Od razu na początku polecono mi przesiadywać w pubie. Niespodzianka, czyż nie? Pub znajdował się w Edgware, niezbyt daleko od Cricklewood, udało mi się więc wyskoczyć tam kilka razy w ciągu miesiąca czy coś koło tego. Było to okropne, przypominało zadanie w The Tramshed w Romford, z którego w tak zagadkowy sposób mnie wyeliminowano. Chodzenie do pubu wieczorami, gdy było w nim tłoczno, okazało się dla mnie trudne, praktycznie niemożliwe. W każdym razie zamierzałem, podobnie jak w przypadku Tramshed, przez kilka tygodni bywać w pubie w dzień, poznać personel i klientów, a dopiero później zacząć przychodzić wieczorami.

Aby ułatwić sobie zadomowienie się w tej jaskini nieprawości, w której największą zbrodnią, jaką zauważyłem, były stroje właścicielki, wykupiłem sobie karnet do miejscowej siłowni. Za wszystko płaciłem naturalnie z tajnych funduszy.

Paragony dorzucałem oczywiście do sterty pozostałych papierów. Nie miałem pojęcia, co kupuję na którą kartę i na jaki rachunek. Kompletnie się w tym pogubiłem. Nie wiedziałem, jaką rolę mam odgrywać w tym pubie, nie bacząc więc na względy bezpieczeństwa, nosiłem przy sobie dwa komplety dokumentów.

W każdym razie chodziłem na siłownię, próbując sprostać wymaganiom SO10, zakładającym częste bywanie w siłowniach i pubach. To znaczy – poszedłem chyba ze dwa razy. Kolejna strata pieniędzy. Zapisalem się też na zajęcia z jogi w zachodnim Londynie, aby podeprzeć swą legendę na potrzeby współpracy z tajnymi agentami z Europy Wschodniej. I również poszedłem dwa razy, jeśli się nie mylę.

Po prostu nie chciałem być w pracy. Za bardzo martwiłem się o dziecko i Grace. Bez przerwy o nich myślałem. Cały czas miałem przy sobie prywatny telefon komórkowy, co było z zasady źle widziane. Miałem w nim zapisane setki numerów gliniarzy i przybranych nazwisk, kolekcję zdjęć moich i kolegów zrobionych na komisariacie czy w samochodach policyjnych i mnóstwo innych tego rodzaju rzeczy. Gdyby telefon dostał się w ręce jakiegoś łotra (nie żebym miał kiedykolwiek szansę zadawać się z kimś takim), skończyłbym marnie.

Przez kilka tygodni używałem inteligencji w ograniczonym stopniu, aż wreszcie polecono mi, bym skupił się na zasadniczej części operacji i pracował wraz z Terryem w sklepie w Cricklewood. Sklep prowadził z pozoru skup rzeczy używanych lub brał je pod zastaw, w praktyce kupowano tu absolutnie wszystko.

Chodziło oczywiście o to, by skłonić miejscowych włamywaczy i rabusiów, aby przychodzili do sklepu ze swymi łupami. Pomysł może i dobry, rzeczywiście pojawiało się tu mnóstwo ukradzionych rzeczy, wkrótce okazało się jednak, że nasza zasada „nie zadawać żadnych pytań” przynosi nieoczekiwany skutek – w sklepie zaroiło się od wszelakiego typu klientów, zwłaszcza narkomanów, którzy przynosili na sprzedaż swoje paszporty, karty do bankomatów, książeczki czekowe, karty ubezpieczenia społecznego, prawa jazdy, a wszystko to za niemałe pieniądze. Za paszport płaciliśmy sto pięćdziesiąt funtów – całkiem sporo dla mającego złą passę narkomana, który raczej nie wybierał się w najbliższym czasie na wakacje na Costa del Sol.

Chyba jedynym przestępcą, którego tam spotkałem, był miejscowy facet, w przeszłości skazywany za włamania. Pamiętam, jak zatrzymałem się kiedyś przed sklepem; byłem w białej furgonetce, jaguar został przydzielony komuś innemu.

- Cześć, stary – przywitał się ten gość. – Jesteś kumplem Terry’ego, tak?
- Tak – odparłem ostrożnie.
- Och, w porządku. Po prostu się zaniepokoiłem, to wszystko.

– O, a dlaczego?

– Twoja furgonetka wygląda jak te, których policja używa do obserwacji, i tyle. Cholernie podejrzanie, jeśli chcesz wiedzieć – uchwyt na drabinę na dachu, a drabiny nie ma.

– No tak. Kumpel pożyczył drabinę – wyjaśniłem. (W obawie, że mogę zostać wzięty za glinę prowadzącego w furgonetce obserwację, pojechałem później za róg i kupiłem jakąś aluminiową drabinę).

– Jasne, w porządku – zapewnił ochoczo facet. – Powiedz Terry’emu, że tu byłem, dobra?

– Dobra – odparłem zaintrygowany.

Miałem wrażenie, że ten facet robił interesy tylko z Terryem. Sądzę, że sprzedał kilka kradzionych komputerów lub coś w tym rodzaju i że nie był zawodowcem, lecz raczej osobą uzależnioną od narkotyków. Szczerze mówiąc, uważam, że gdyby tego sklepu nie było, nie ukradłby niczego, żeby nam to sprzedać.

Czułem się naprawdę nieswojo w tej sytuacji, lecz nie zdradzałem się z tym. Ta praca nie wymagała szczególnego wysiłku. Podobały mi się stałe godziny. Rano otwierałem sklep, cały dzień gadałem z Terryem, a wieczorem zamykałem interes i wracałem do domu. Odpowiadało mi to. Nie miałem serca do zwykłej roboty policyjnej. Bez przerwy dzwoniłem do domu lub urywałem się, by pojechać do szpitala i tym podobne.

Takie właśnie zajęcie komisarz pośpiesznie uznał za odpowiednie dla mnie po zadaniu z karabinem. Gdy zostałem wezwany, nie miałem pojęcia, co mnie czeka, nie spodziewałem się jednak niczego dobrego. To nie w ich stylu. Przypuszczałem wówczas, że chodzi o moje wydatki. Kompletnie zaniedbałem tę sprawę i spodziewałem się, że wcześniej czy później SO10 dobierze mi się do skóry. Miałem jednak inne rzeczy na głowie. Nazbierało mi się kłopotów.

Poczułem swego rodzaju ulgę. I dobrze, pomyślałem. Zorientowali się, że nie rozliczam wydatków. Dostanę ochrzan i może jakąś pomoc w uporaniu się z tym. Może nawet powiedzą, że mogę wziąć kilka tygodni wolnego. Nic z tych rzeczy. Właśnie wtedy sprawy zaczęły iść naprawdę źle.

Komisarz chciał widzieć mnie o trzeciej po południu. Za dziesięć trzecia wysłałem do sierżanta esemesa, że utknąłem w korku i będę najszybciej, jak to możliwe. W biurze zjawiłem się dziesięć po trzeciej i poszedłem na spotkanie z komisarzem.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. Wysłałem esemesa, że stoję w korku.

– To nie jest wytłumaczenie, do cholery – rzucił komisarz.

– Co? Żartuje pan?

Naprawdę myślałem, że to głupi żarcik w typowym dla tego towarzystwa stylu.

– Porządkowałem dowody ze sprawy z bronią – wyjaśniłem.

– Mam to gdzieś, do diabła – warknął komisarz. – Nie waż się spóźnić na spotkania ze mną.

Dobra, pomyślałem, próbujesz popisać się władzą. Może jest w tym pokoju ktoś, na kim chcesz zrobić wrażenie.

– Pan żartuje, prawda? Naprawdę bardzo przepraszam – powiedziałem.

– Nie, nie żartuję.

– Jeśli pana obraziłem, jeszcze raz przepraszam.

– Dobrze, mniejsza o to. Mamy dla ciebie następne zadanie.

Komisarz wprowadził mnie w szczegóły nowego zadania; z perspektywy czasu – najgorszego, jakie mogło mi się przytrafić. Niemal natychmiast zacząłem się rozsypywać. Przejście z SDU na pełny etat do tajnej jednostki okazało się pomyłką. W SDU wszyscy wiedzieli, że mam problemy osobiste. Sierżant wciąż powtarzał, że przez rok spisywałem się doskonale, a potem nagle straciłem zapał.

Mój przypadek dobrze ukazuje wady obowiązującego systemu. Byłem zaskoczony, że zatrudnienie na pełny etat odbywa się bez odpowiednich procedur, czyli oceny kondycji psychicznej kandydata. W SO10, należącym do tego samego tajnego świata, co SDU, musiano wiedzieć – ktoś na pewno albo mówił o tym oficjalnie, albo wspomniał mimochodem – że jestem w niezwykle trudnej sytuacji. Szkoda, że nikt nic mi nie powiedział: „To nie jest dla ciebie odpowiednia chwila na przyjście tutaj”. Gdyby tak się stało, nie pisałbym dziś tych słów.

Sądziłem, że przejście na pełny etat sprawi, iż przestanę nieustannie myśleć o swych problemach. Liczyłem na dużą swobodę działania i możliwość robienia tego, co uznaję za stosowne. Okazało się, że jest zupełnie inaczej.

Pewnego dnia dostałem w sklepie telefon od Grace, zapłakanej i bardzo zdenerwowanej.

– Mam krwotok – powiedziała – i nie mogę go zatamować.

A niech to. Zawołałem do Terry’ego, że wychodzę.

– W porządku, stary! – odkrzyknął.

W drodze do szpitala, z niezapiętymi pasami, przekraczając szybkość, dotarło do mnie, że za cholere nie chcę już w ten sposób pracować. Po zaledwie kilku zadaniach wykonanych w tajnej jednostce zdałem sobie sprawę, że mam ważniejsze rzeczy na głowie i naprawdę nie mogę poświęcić pracy tyle czasu, ile mogłem dawniej. Teraz jednak musiałem po prostu dojechać do szpitala.

Spocony, bez tchu, trzęsąc się ze zdenerwowania znalazłem końca Grace. Dzięki Bogu, czuła się już dobrze.

Coś we mnie zaskoczyło. Czas znaleźć nową pracę, pomyślałem, interesującą, lecz wolną od stresu. Musiałem odejść z policji, już dość. Miałem pewien pomysł.

Sądzę, że jeśli chodzi o kierującego operacją komisarza, moje wyjście ze sklepu przebrało miarę. Następnego dnia pojechałem, jak zwykle, na cotygodniowe zebranie tajnych funkcjonariuszy i sierżantów z SO10. Zebranie odbywało się w północno-zachodnim Londynie, w budynku kupionym przez policję za milion funtów i udającym elegancki biurowiec jakiejś firmy budowlanej. Budynek był wykorzystywany raz w tygodniu przez mniej więcej godzinę. Być może niektórzy tajniacy bywali tam nieco częściej, powszechnie jednak uważano, że w tym miejscu bywa się raz na tydzień na odprawie lub by dostać ochrzan.

Każdy z nas mówił krótko o tym, co robi i jakie są plany na następny tydzień. Sierżanci opowiadali, co się dzieje w firmie i co nowego się zdarzyło, i to na ogół było wszystko.

Gdy wstaliśmy do wyjścia, Kevin, jeden z sierżantów, zawołał:

– Christianie, poczekaj chwilę, musimy porozmawiać.

Jego głos brzmiał złowieszczo. Wiedziałem. Wiedziałem, cholera. Stało się. Spodziewałem się surowego upomnienia za nierozliczenie wydatków i rozkazu, bym wziął się do roboty i skończył ją w wyznaczonym terminie. Byłem niemal zadowolony. Przynajmniej będę miał to z głowy, któryś z przełożonych zauważy, że potrzebuję jakiegoś rodzaju pomocy albo solidnego ochrzanu, żeby się ogarnąć.

Byłem zdenerwowany, ponieważ oznaczało to, że spieprzyłem, że zaniedbałem ważną część papierkowej roboty i nie jestem dość pojętny, by poradzić sobie z archaicznym systemem, którego w istocie nie rozumiałem.

Usiadłem koło Kevina i Maxa, którzy mieli przed sobą odręcznie sporządzony wykaz godzin przepracowanych przeze mnie w ostatnim tygodniu. Zauważyłem też formularz wydatkowy.

– Dobra – zaczął Kevin. – Pojawiły się pewne kwestie dotyczące twojego zaangażowania w pracę. Widać, że się nie przepracowujesz.

Byłem zaskoczony. Zdawałem sobie sprawę, że mój zapał do pracy znacznie się zmniejszył, że moje zaangażowanie, zainteresowanie i entuzjazm zmalały niemal do zera, lecz usłyszeć, jak ktoś mówi o tym głośno, to prawdziwy wstrząs.

Kevin wyjaśnił, że komisarz kierujący operacją w Cricklewood zakwestionował moje godziny pracy przedstawione w wykazie. Cholera jasna, to było oburzające. Machlojki przy wykazach były – i nadal są – powszechną praktyką, nigdy jednak nie

podawałem większej liczby godzin, niż miałem prawo, i to właśnie powiedziałem Kevinowi.

Max pchnął w moją stronę formularz wydatkowy.

– Wydaje się, że kupujesz bardzo dużo cappuccino i latte – powiedział.

– Owszem, piję dużo kawy – wyjaśniłem.

– Ale ty kupujesz trzy lub cztery kawy dziennie.

– I co z tego. Piję dużo kawy.

Moja miłość do Starbucksa była powszechnie znana.

– I kupujesz ją w Waltham Abbey? Co to ma wspólnego z twoją pracą w Cricklewood?

Odparłem, że od chwili gdy wyjdę z domu i wsiądę do służbowego samochodu zarejestrowanego na fałszywe nazwisko, jestem osobą noszącą to nazwisko. Może źle zrozumiałem, ale panuje ogólna zgoda co do tego, że moje wydatki w czasie prowadzenia tajnej operacji są pokrywane.

– Nie. Nie bądź śmieszny. Komisarz odmawia zatwierdzenia tych kaw – oznajmił Max.

– W porządku, w takim razie jeszcze raz wypełnię formularz – odparłem czerwony na twarzy.

– Słuchaj – włączył się Kevin – wiem, że masz problemy osobiste i że to nie moja sprawa, ale czy naprawdę uważasz, że powinieneś wykonywać tego typu pracę w tym momencie?

– Prawdopodobnie nie – odparłem ze łzami w oczach.

– No cóż, w gruncie rzeczy myślę, że podoba ci się ten styl życia, ale nie lubisz pracować.

W tej właśnie chwili magiczna wiązka przyciągająca mnie do SO10 rozproszyła się i rąbnąłem z hukiem o ziemię. Górę wzięły gniew i zdenerwowanie. Byłem cholernie dobrym gliniarzem, a teraz musiałem z wilgotnymi od łez oczyma tłumaczyć się z kupowania cappuccino przed ludźmi z wydziału, który odpuszczał o wiele gorsze rzeczy. Po moim pierwszym zadaniu – operacji Park Lane – nie padło ani jedno słowo na temat policjantów, którzy przyszli do eleganckiej restauracji hotelowej po wyjściu przestępców i raczyli się jedzeniem i piciem! Nikt nie kwestionował, że firma płaci za szaleństwa w drogich lokalach! Nikt nie kwestionował wydatku z mojej karty kredytowej za wystawną kolację dla kolegów policjantów – w istocie niemal rozkazano mi zapłacić! A teraz muszę tłumaczyć się z kilku kaw. Najgorsze ze wszystkiego było jednak oskarżenie, że fałszuję godziny

pracy.

W uszach wciąż dźwięczały mi słowa Kevina: „Podoba ci się ten styl życia, ale nie lubisz pracować”.

Nigdy przenigdy nie zarzucano mi lenistwa. Byłem wstrząśnięty.

– Styl życia? – zapytałem, opanowując łzy. – Jaki? Taki, że nie wiem, kim jestem? Nie wiem, kim będę tego dnia? Że muszę pamiętać, które tablice rejestracyjne założyć do samochodu? Że kupuję paszporty od narkomanów? Taki styl życia? Nie, nigdy mi się taki styl nie podobał.

– No cóż – powiedział Max – musimy się zastanowić, jakie podjąć działania i co z tym zrobić.

– Wiecie co? Chciałem powiedzieć wam w przyszłym tygodniu, ale powiem teraz. Odchodzę. Mam nową pracę.

– No to nie mamy już o czym mówić – zakończył Max, zamykając z hukiem leżącą przed nim teczkę.

Epilog

Dostanie się do tego owianego aurą tajemniczości świata było trudne. Oznaczało dla mnie konieczność udawania kogoś innego, osoby, której nie lubiłem i której bym nie tolerował. Aby mieć tam dostęp, trzeba być służalcem i pochlebcą, kłaniać się w pas i podlizywać. Śmiać się z głupich żartów i samemu je opowiadać. Podle traktować kolegów.

Można więc zapytać, dlaczego, do cholery, tak bardzo chciałem być częścią tego wszystkiego. Najlepszy powód, jaki mi przychodzi do głowy – i tu wkracza domorośla psychologia – jest taki, że zawsze brakowało mi pewności siebie. „Zaniżone poczucie własnej wartości” to zawsze wygodne wytłumaczenie. Nigdy nie byłem twardym facetem, typem wojownika, lecz gorąco pragnąłem sprawdzić się w tym bardzo męskim, trudnym, hermetycznym świecie. Zależało mi na prestiżu i statusie. Ci faceci, mimo wszystkich swoich wad, byli najlepiej znającymi się na rzeczy i najbardziej doświadczonymi specjalistami od tajnych operacji. Sądziłem, niesłusznie, że jeśli do nich dołączę, będę taki jak oni. Zadowolony. Nie będę musiał niczego sobie udowadniać. Nieustannie chciałem czegoś więcej, pragnąłem nowych wyzwań, czegoś mi brakowało. Większość z tych gości stylizowała się na gangsterów. Z jednej strony wyśmiewałem ich za to, drugiej – chciałem być jednym z nich. Osobliwe połączenie podziwu i niechęci.

Odszedłem, ponieważ trudno mi było pogodzić się z wieloma rzeczami. Tuż przed moją oficjalną rezygnacją urodził mi się cudowny syn. Dzięki niemu mogłem zacząć wszystko od nowa, jakbym dostał od życia drugą szansę.

Nie utrzymywałem kontaktów ze zbyt wieloma osobami, ale dowiedziałem się pocztą pantoflową, że krąży na mój temat dużo plotek. Niektórzy sądzą, że wylano mnie z pracy. Inni – że jestem teraz bezdomnym ćpunem. Jeszcze inni przypuszczają, że wciąż pracuję jako tajniak, a moje odejście było częścią planu. Tego rodzaju śmieszne opowieści sprawiają, że jeszcze bardziej cieszę się, iż odszedłem z policji.

Po spotkaniu z Maxem i Kevinem miałem jeszcze tylko jedną rozmowę, o papierkowej robocie. Później już prawie z nikim z policji londyńskiej nie zamieniłem słowa. Przed przyjęciem zostałem dokładnie prześwietlony przez służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo, spodziewałem się więc rozmowy z wydziałem do spraw bezpieczeństwa, nigdy jednak nie nastąpiła. Ktoś z moją pozycją miał prawo przypuszczać, że któryś z wyższych przełożonych zapyta go o powody odejścia. Nic takiego się nie stało. Jakby Met chciała pozbyć się mnie jak najszybciej.

Rozmawiałem z psychologiem – wizyta została umówiona na moją prośbę przed

złożeniem przeze mnie rezygnacji. Nie mogłem się doczekać ostatniego spotkania z nim. Zwykle zadawał pytanie: „Czy miał pan jakieś myśli samobójcze?”. Zamierzałem wyznać mu prawdę, wyrzucić z siebie wszystko i pozbyć się tego ciężaru. Chciałem opowiedzieć mu o dniu, w którym miałem rzucić się z promu do morza, o serii moich niepowodzeń. Psycholog nie zadał tego pytania. Ten jedyny raz, gdy chciałem, by to zrobił, pytanie nie padło! Gdy powiedziałem mu, że odchodzę z pracy, uznał, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Ale w dalszym ciągu mamy obowiązek opieki – dodał, jak się wydawało, z pewną niechęcią.

Nic z tego później nie wyszło.

Pozbierałem cały swój dobytek i wyłożyłem na biurko – mnóstwo telefonów, GPS i różne inne rzeczy kupione na kartę służbową. Wszystko to zwróciłem. Sądziłem, że zwrot zostanie odnotowany, skończyło się jednak na tym, że każdy brał, co chciał, z komentarzem w rodzaju: „O, jakie ładne”, i chował do kieszeni.

Ostatniego dnia pracy usiadłem w biurze SDU twarzą w twarz z moim fatum – formularzami wydatków. Wypełniłem je wszystkie starannie i wraz z paragonami, wypowiedzeniem, świadectwem urodzenia i innymi drobiazgami włożyłem do dużej brązowej koperty zaadresowanej do odpowiedniego wydziału. Zabawne, doszło wszystko oprócz wniosków o zwrot kosztów.

Później wyszedłem z budynku policji i wróciłem do domu.

Wkrótce potem zadzwonił do mnie mój bliski przyjaciel, Bernard, który przed lata wprowadzał mnie w intrygujące tajniki operacji zakupów kontrolowanych, a teraz był głównym inspektorem policji.

– Co ty robisz? – zapytał. – Czy ktoś z tobą o tym rozmawiał?

Gdy opisałem mu sytuację, rzucił:

– To jest skandaliczne.

Bernard skontaktował się z nadinspektorem odpowiedzialnym za tajne operacje.

– Czy ktoś rozmawiał z Christianem Plowmanem? – zapytał. – Odchodzi. To jeden z najlepszych policjantów, z jakimi kiedykolwiek pracowałem. Ktoś musi spotkać się z nim i porozmawiać. Nie powinno się pozwolić odejść takiemu człowiekowi.

Nadinspektor – ten sam, który kilka tygodni wcześniej chwalił mnie za wzorowe wykonanie zadania w Manchesterze, gdzie przechwyciłem broń – zdziwił się.

– Z Christianem... Jakim Christianem...